



W. Nawatóna

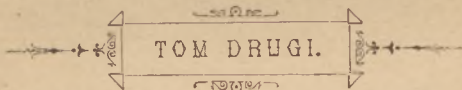
W OKOWACH.



W OKOWACH.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

WILHELMA FELDMANA.



LWÓW.

NAKŁAD KSIĘGARNI POLSKIEJ.

1890.



090795

DRUKIEM JÓZEFA FISCHERA

Kraków, ulica Grodzka 62.

I

Przez siedm długich tygodni była Jądwiga z dziećmi zamknięta w mieszkaniu szlachetnego doktora. Nie uległa chorobie — owszem, wyszła z dziećmi cało i zdrowo, z zapasem sił i myśli, które sprawiły epokę w jej życiu.

Wyszła — wprost do nowego mieszkania, na przeciwległym przedmieściu. Było to pod koniec lipca.

Poraz pierwszy w życiu odczuła potężnie piękność przyrody.

Dzień był wesoły i ciepły. Na podwórzu, obla-
na słońcem, wyciągnęła mimowoli ku niemu ręce. Białe jej palce srebrzyły się, różowiały i prawie przezroczystą przybrały delikatność. Promienie przesunęły się po jej głowie, ześliznęły po szyi,

jak fale otoczyły ją całą, w serce weszły, w krew. Słonecznie i rozkosznie jej się zrobiło; podniosła dzieci i ze łzami zaczęła je całować.

One zaś przyjmowały pieszczoty niecierpliwie. Tańczyły przez całą drogę, paplały i śmiały się z całą rozkoszą ptaszków, wylatujących z ciasnej, stęchłej izby ku słonecznym przestworom; cała droga od doktora do mieszkania była jednym tańcem tryumfalnym.

Mieszkanie to leżało także wśród sadu, w jednym rzędzie z siedzibami najwyższej arystokracji miejscowej. O nią jednak Jadwiga nie pytała, pragnęła tylko drzew, przestrzeni i oddalenia od bezpośredniego sąsiedztwa ludzkiego — nauczona niedawnem wspomnieniem rodziny Koczkowiczów.

Weszła do sadu.

Zdawało jej się, że drzewa zaszumiały, schyliły swe korony na jej powitanie, że blade różowe pączki uśmiechnęły się łagodnie. Przenikła ją wrażliwość nadzwyczajna, tak że wsłuchiwała się kwadransami w szmery roślin i szumy nadpowietrzne. Tu ciemna zieleń liści była przetykana srebrnymi promieniami słońca i obwieszona pękami owoców. Kępy krzaków spletały naumyślnie łądyżki, by otulić gniazdko. Tęczowe rzędy kwiatów miały skórę tak czułą i delikatną, że motyl nie drażnił jej skrzydłem, lecz pieszczotli-

wie muskał. A potężne te drzewa — toż to żyjące światy! Jadwiga czuje się jakby listkiem wielkiego pnia przyrody, spojona z nim sto- ma niemi łodygi, żyjąca jego sokami! zginała się wraz z nim podczas burzy, płakała razem podczas deszczu, a weseliła się i kwitła pod słońkiem.

Mimo to jest istotą odrębną. W jej mózgu pracuje jakaś siła, drugie «ja». Ono patrzy, słu- cha, zachwyca się i zdaje sobie z tego sprawę. Każdy płatek tutaj tak subtelnie rzeźbiony, to aksa- mitny, to odpychający! W każdym powiewie tyle brzmi tonów, tyle drgnień rozkosznych! A kielki te, wyrastające w jednej nocy tak cudownie, tak bo- gato; te wonie słodkie, rozmarzające, owe kolory o tysiącu odcieni, operlone rosą, bramowane zło- tem południowych blasków... wszystko to oddy- cha, czuje, boleje, raduje się, walczy... Wszystko zlewa się, skłębia w jeden strumień wrzący. Wpa- da w jej pierś zmęczoną...

Jadwiga uczuwa przyływ krwi, tętno namię- tne... Uczucia jej zlewają się w jeden okrzyk :

— Oh, piękny, boski świat! Oceni cię nie ten, kto cię stracił, lecz kto cię odzyskał..

I dzieci to czują; fruują, szczebiocą. Blade ich twarzyczki — zarumienione, oczy jaśnieją szczęściem. Wreszcie przypadają do mamy, wie-

szają się na jej szyi, i razem padają na murawę, jedną tworzą grupę — szczęśliwą.

Szczęśliwa ona teraz.

Choroba, doktor należy już do przeszłości. Straszna była ta przeszłość... W łóżeczkach, po prawej i po lewej jej stronie, dzieci. Ohydne maski plam i obrzmienia na ich twarzyczkach ślicznych; majaczenia chrypliwe zamiast świegotu rozkosznego. A ona, trawiona gorączką a myśląca o nich; wydzierająca gwałtem ze stanu nieprzytomnego każdą chwilę, by ją małym mózgiem poświęcić; wpadająca na długie godziny w bolesną martwość, a trawiona halucynacjami jeszcze boleśniejszymi...

Nic to... pamięta chwilę, kiedy jej przyszło na myśl, że może umrzeć. Tutaj i na obczyźnie, czy gdziekolwiek, nikt lży po niej nie uroni i pamięć o niej zagaśnie. I drobne te dzieci, opuszczone jak pisklęta bezskrzydłne, którym matkę złowiono, mogą zginąć, lub pójść w świat... zapomnieć... za lat kilka nie myśleć, nie wiedzieć, jak wyglądała ta, która obecnie katusze znosi...

Uczuła wówczas w całej pełni sieroctwo i osamotnienie, rozpacz...

Wezwała była proboszcza i doktora, mówiła o swoim życiu i o nadziejach, pokładanych w dzieciach, o testamencie, i gdzie i jak mają być wy-

chowane i mówiła... a jeszcze więcej płakała... aż umysł jej zaciemnił się, i wpadł w wizye gorączkowe... Widziała ojca, uśmiechającego się sarkastycznie, widziała jego, wyciągającego ramiona, jak sploty węzowe...

Przeszło to, minęło!

Gorąca, żywsza krew tętni w niej obecnie. Twarz wraca powoli do poprzedniej, czystej, delikatnej białości, usta nabierają świeżych barw purpurowych. Zdrowie, siła ogarnia ją, przepelnia poraz pierwszy od lat wielu. Kibić uzyskała gibkość i elastyczność dziewczą, dziewczęce rumieńce biły jej w twarz... Humor, ba, wesołość i pustota opanowują ją... Rekonwalescentka tak na ciele, jak i na umyśle — nie może się opierać temu nadmiarowi szczęścia, który z niej tryskał.

Niejednokrotnie chce odpędzić tę swobodę umysłu, która jej się wydaje zdrożną lekkomyślnością, i sili się na purytanizm.

...Ostatnie wypadki wskazały mi — rozumuje — jak niepewnem moje położenie. Jeden wypadek, krótka choroba — i byt mój zniweczony, a dzieci — na skrzydłach burzy. Trzeba ułożyć plan inny...

Do dawniejszej surowości wrócić atoli nie może. Spiąca dotąd, czy skrępowana siłą ocknęła się w niej młodość. Dwadzieścia sześć lat już koń-

czy, a z tych na palcach zliczy tygodnie przyjemne, dni szczęśliwe. Teraz chęć do życia w niej wybucha, do życia, do życia...

Nie jest to chwilowe podniecenie nerwowe, lecz stan trwały; jak burza, co przechodzi po polu, zmiata porozrzucane gałęzie, kłosa, czyści grunt i atmosferę, a zostawia wszystko, co silniej tkwi w ziemi, powodując raźniejszy jego rozkwit — tak burza ostatnia wyrwała z serca Jadwigi narzucone wstręty i zakonne usposobienie, i obudziła dawniejszą żywość i ogień temperamentu. A dzieci, które odzyskała po tak ciężkiej próbie...

Tym nie już teraz do szczęścia nie brak.

Widzą oczy mamy tak błyszczące, tak słodki uśmiech na twarzy, tyle słów miłosnych, że oblane niemi radują się jak ptaszęta pod pocałunkami słońca. Trzepocą się, latają, co chwila wybuchają dzwięczną gamą śmiechu, a Oleś, choćby się na chwilę uniósł, rozkaprysił, to tylko po to, by niebawem z podwójnym ogniem całować jej suknię i wołać:

— Mamusiu dyamentowa...

Zachwyty, rozrzewnienie, uczucia potężne, słowami określić się nie dające, ani na zimno zrozumieć, przejmują Jadwigę:

— Moje wy, moje! — powtarza, przyciskając je do piersi.

...Tak jest! — snuje myśl swą dalej. — Moje one i nikt więcej do nich nie ma prawa. Ona wydała je po tęsknotach i bólach bezbrzeżnych, wykarmiła je mlekiem własnem, a jak często zraszala łzami! Nie było ani jednej godziny, kiedyby ręka jej nie działała dla ich dobra; nie miała ani jednej myśli, któraby się z niemi nie wiązała. Dniem i nocą stała nad niemi, wśród burzy i ciszy, obok nich i z niemi wisiała między życiem a śmiercią; a nawet wówczas... wszystkiemi strunami zbolełego ciała, wszystkiemi niemi przytomnej myśli była przy nich... Teraz trzyma je za ręce, wprowadza dusze ich w świat, otwiera im oczy i naucza widzieć, czuć, rozumieć zjawiska wszelkie... Kto jej zaprzeczy, kto zdolen odebrać prawo do tych dzieci?

...Nikt — nic...

...Tem mniej zmory, cienie... Przeszłości nikt już nie odwoła, na przyszłość jest uzbrojoną w siłę, w rozum, w poświęcenie. Nie czuje wcale na szyi łańcucha „jego“... żyje jak wolny, oświecony człowiek, jest sobą, uwolniona od więzów, uwolniona od kłamstwa, uwolniona z labiryntów życia; żyje dla tych małych, kochanych...

— Moje wy, moje! — powtarza w uhiesieniu.

...Będziecie mojami nie tylko po ciele. Ziarno myśli własnej rzucę w was, a nauka i świat wykształcą je na wspaniałe kwiaty i drzewa. Ludzi z was zrobię, ludzi dzielnych, prawdziwych, wolnych od oków, jakie inni dobrowolnie biorą na się w postaci przesądów, kastowości, filisterstwa. A wy sami dokończycie dzieła, zaczniecie łamać okowy, jakie w koło siebie dostrzeżecie... A ja na to własnymi będąc patrząc oczyma, jak Oleś, silny, męski, śmiałą dłonią zacznie rozrywać łańcuchy, których jedno ogniwo matkę pętało...

Przed błyskiem tej nadziei zamykała oczy, a szczęście zapierało jej oddech w piersi.

Oleś tymczasem i Stefka rozwijały się bardzo dobrze. Lato i jesień na powietrzu, a w zimie również marsze i ćwiczenia — zawsze czynne i najczęściej pod okiem matki. Znała Jadwiga zasady higieny, przyswajała sobie wykształcenie psychologiczne, ale przede wszystkim miała serce macierzyńskie, uczucie o silnym nastroju, który intuicyjnie wznosi się nieraz do wyżyn, dokąd analityczny rozum przez wieki całe pęłza.

Oleś nie porzucił jeszcze zapalów rycerskich; przeciwnie, rosną one w nim od czasu jak poznaje różnych bohaterów i królów. Stefka jest adjutantem jego, a w tej chwili — całą armią.

Trzyma w ręku szablę wielką, świecąca, na ramieniu karabin, a Oles, dziwnym porządkiem, jest równocześnie doboszem i komendantem.

— Naprzód wiara! — woła poważnym, rytmicznym głosem. — *Ajns, cwaj, ajns, cwaj.*

W takt bębna maszerowali oboje, stukając z fantazją o podłogę, prostując z godnością lili-pucie swe postacie, a przed matką, siedzącą z książką w ręku, następuje komenda:

— *Halt, prezentirt!*

Stefka, niewyćwiczona jeszcze dobrze w regulaminie musztry, ani w lingwistyce austriackiej, podnosi na pierwszą komendę broń przed twarzą, później dopiero staje.

— A ty rekrucie głupi! następuje wrzask dowódcy.

— Znowu klótnia, Olesiu — odezwał się łagodny, ale stanowczy głos matki. Za kilka chwil siedzieli już oboje na jej kolanach. Oles obejmował ją namiętnie za szyję, obcałowywał twarz całą, kołnierzyk, suknię, a Stefka opierała cicho głowę na jej piersi i wznosiła ku niej wielkie, czarne jak węgiel oczęta.

— Prawda mamó, że ja będę żołnierzem, munciu! — zaczynał Oles codzień regularnie.

— Prawda, mój drogi, prawda — potwierdzała matka, gładząc niespokojnie rozczochraną jego

główkę. Jak będziesz odważny, mądry, silny, to zostaniesz wojakiem.

— A... czy będę ja taki, jak Sobieski? powiedz mammo, moja złota...

— Mówiłam ci dziecko. Sobieski za młodu uczył się bardzo dużo, chodził do szkół w Krakowie, potem zaczął ciężką służbę.

— Mammo, moja jedyna, dyamentowa mamunciu! opowiadaj co o wojnach...

A malutka Stefka przytulała się do matki, jak ptaszę ciche i drżące, gdy Olesia twarz pałała, oczy iskrzyły się, a z ust wylatywały wykrzyki entuzjazmu:

— Ach, mamus! a dużo było wrogów? a wiele armat zdobył? A co się stało z Turkami, mammo...

Z opowieści tych tworzyły się w jego fantazyi całe epeje. Wieczorem siadał w kącie na sofie, obok niego Stefka i roił, cały wzburzony. Kreslił przed nią awanturnicze plany wypraw i czynów wojennych, szturmował do twierdz i wyzywał na pojedynki, tysiące zmiatał głów; a Stefka zadumana, cicha, słuchała nabożnie, pełna uwielbienia dla bohaterskiego braciszka, pełna przestrachu przed klęskami, jakie on szerzył. Zadużo ich było, zadużo widziała krwi leżącej się, i żał ją ogarniał... Wstawiała się do potężnego jenerała,

prosiła o miłosierdzie dla biednych Turków, o uwolnienie jeńców, lecz on był rozżarty.

Najczęściej chodzili tedy do mamy, dając jej do rozstrzygnięcia losy nieprzyjaciół, zwyciężonych, związanych, oczekujących sądu w śmiertelnej trwodze.

Mama nie rozstrzygała jednak prędko. Pytała Olesia, w czym ci biedacy zawinili, może postępowali tylko podług cudzego rozkazu, a sami złych nie mieli zamiarów, może się poprawią...

Takie sądy wojenne niebardzo się podobały rycerskiemu animuszowi Olesia, lecz zmuszały go do zastanawiania się, do odróżniania złego od dobrego, niewinnego narzędzia od rozkazodawcy.

Wojny, choćby trwały najdłużej, muszą przecie mieć swój koniec. Jadwiga chętnie pozwałała na nie, bo dzieci doskonale się bawiły, rozwijały spryt i pomysłowość, wykonywały ćwiczenia gimnastyczne. W chwilach odpoczynku chodziła z niemi na spacer. Sad, choć tysiąc razy zwiedzany, nastroczał jej niezliczone nowości. Opowiadała dzieciom historią każdego drzewka, rozkładała każdy kwiatek. A żyjątko! tyle zajmowały Olesia, co sami generałowie. Jadwiga nie słuchaczom swoim nie opisywała, improwizowała jeno cudowne historye, w których rodzina mrówek żyła, pracowała, budowała korytarze i spichrze, polowała na mszyce lub

dźwigała ziarno, obwarowywała obóz i ustawiała kraty. Tu zbierały się ptaszki na naradę, sprzeczały się, kto piękniej śpiewa lub upierzony, występowały z popisami... Innego dnia towarzyszyły dzieci Robinsonowi, od kolebki do przejść i dzieł największych, jakie kiedykolwiek człowiek wyśnił...

Opowiadania takie były mistrzowskie, inaczej byłyby dzieci śmiertelnie nudziły. One słuchały jednak zachwycone, szczęsne. Pobudzone do myślenia — wkraczały same w dziedzinę wypadków bójki, rozstrzygając jej koleje.. Wybrały Piasta księciem po Popielu, podzielały radość ptaszka, kochanego przez kwiatki, kwiatka, pieszczonego przez słońce, pojonego rosą...

Nietylko wyobraźnie, ale i zmysł krytyczny ich się rozwijał, a rozporządzał znacznym zbiorem faktów.

Bała się znowu Jadwiga, czy nie przeciąża zbyt młodziutkich umysłów i starała się o rozmaitość. W zimie zamieniał się jej pokój na warsztat... wszyscy pracowali... W lecie miały dzieci grządki swoje w sadzie, kolekcye owadów, suszenie kwiatów...

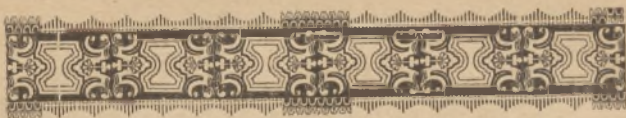
Ubóstwiały mamę. Patrzyły jej w oczy i mrugnięcie powieki wystarczało do kierowania nawet

Olesiem, który skłonny był do przesady w żądaniach i do uporu w chęciach.

Jadwiga dobrze swe życie odczuła. I widząc świeże, zdrowe twarzązki małych, inteligentne minki i świecące oczy, słysząc rozumne pytania lub wykrzykniki zapalu, porywała je w objęcia:

— Moje wy, moje...





II.

Do spotęgowania tego nastroju w duszy Jadwigi przyczyniło się w wielkiej mierze nawiązanie bliższych stosunków ze światem lipnikowskim.

Cztery lata przepędziła obok niego, lecz nie wpośród. Wzdrygała się przed towarzystwem w ogóle, a te egzemplarze, które spotykała, zachęty nie dodawały. Książki i dzieci wystarczały jej najzupełniej.

Teraz zetknęła się nasamprzód z rodziną doktora. Konsyliarz z małżonką złożyli jej wizytę zaraz po urządzeniu się w nowem mieszkaniu. On niskiego wzrostu, o okrągłym obliczu, ozdobionym sumiastym wąsem, był człowiekiem towarzyskim, jowialnym, nader serdecznym, co

zjednywało mu w całym mieście nie tylko chłodny szacunek, lecz i miłość. Ona, kobieta w średnich latach, może nawet starsza od męża, miała twarz dość pospolitą, oczy piwne, bardzo poczciwe i łagodne, nosiła ubiór daleki od mody, ciemny, bez cienia pretensjonalności. Odwiedzała była pacjenta męża niejednokrotnie w przyległym do jej mieszkania pokoiku, z wielką serdecznością dbała o jej wygody i osładzała ciężkie chwile rekonwalescencyi — tak, iż polubiły się wzajemnie.

Jadwiga uścisnęła ją, ucałowała ze łzami w oczach.

— Dzieci, powitajcie panią doktorową — wyrzekła. — Wiecie, że pan doktor uratował wam życie, i powinniście go taksamo kochać, jak mnie.

Doktorowa rozczuliła się. Ich małżeństwa Bóg nie pobłogosławił potomstwem. I konsyliarzowi łza zakręciła się w oku; przejęło go wzruszenie, z jakim Jadwiga dziękowała za opiekę i troskliwość.

— Ależ pani dobrodziejko... zawołał rubasznie, aby zapanować nad sobą i wprowadzić rozmowę na inne tory. — Rezygnuję z dalszych serdeczności, rezygnuję... I tak magnifika robi mi sceny zazdrości w domu.

Jadwiga się uśmiechnęła.

— I owszem — rzecze. — Gdybym nawet

wiedziała, że się stanę przyczyną niesnasek małżeńskich, nie przestanę powtarzać, że kocham pana.

— W mojej obecności? oburzyła się doktorowa wesoło.

— Właśnie, że wobec pani.

Doktor szpakowaty pokręcił wąs.

— Nieszkodliwy ze mnie amant, pani dobrodziejo.

— Widzi pani, jaki on chytry? zauważyła żona.

— Nawet na ten lep pójdę, bo dążę do tego samego celu. W dodatku popełnię rzecz najzdrożniejszą... panią też wciągnę do tego spisku miłosnego..

— O Boże..! jęknęła doktorowa.

— I doprowadzę do tego, że państwo zaliczy-cie mnie i dzieci do swojej rodziny...

— Na to nie trzeba aż tyle dyplomacyi...

— Jakżeż... gwałtem nie opanuję państwa..

— Mnie pani nie potrzebuje opanowywać... już mnie pani całkiem podbiła... niewolnikiem jestem pani...

— Czy tak posłusznym, jak posłuszną ja byłam przez dwa blisko miesiące?

— I więcej nawet...

Doktor się rozochocił.

Wkrótce przekonała się Jadwiga, że posiada

on nietylko niezwykłą pocztwością i uczynność dla biednych, lecz i wykształcenie głębsze. Przegłądał książki z jej biblioteczki. Co prawda obojętnie przechodził obok poezyj, nowelistyki nowszej, obojętnie nawet obok rozpraw treści socyalnej, jakie Jadwiga czytywała; lecz zdziwienie malowało się w jego oczach na widok grubych poszytów miesięczników poważnych i rosło, gdy się spotkał z traktatami o anatomii i fizyologii, o higienie i psychologii.

Znał dosyć Jadwigę, z proboszczem mówił nieraz o niej, lecz tyle się nie spodziewał, zwłaszcza, że ona nie miała w sobie z niebieskiej pończoszki, nie wczynała ciężkich dysput, nie kochała się w uczonych lub dowcipnych cytatach, a posiadała prostotę, naturalność i wdzięk pięknej kobiety dwudziestokilkoletniej.

Z prostotą i wdziękiem mówiła też o przedmiotach poważnych; uczyła się od doktora, a ten od niej korzystał. Nie znał n. p. języka francuskiego, i nadzwyczaj był ucieszonym, dostawszy od niej wyjaśnienie wielu zagadnień z higieny i psychologii dziecięcej, których opracowania w polskim języku prawie że nie ma.

Z domem doktora stanęła Jadwiga wkrótce na stopie zażyłej przyjaźni, o ile taka mogła istnieć między nią a starszą, niebardzo wykształconą

konsyliarżową lub wiele pracującym mężem. Niebawem zaś cały »Przegródek,« rodzaj Saint-Germain'a lipnikowskiego, wszedł w stosunki z obmawianą niedawno i dziwaczną »tajemniczą damą«..

Ona pierwszego kroku nigdzie nie zrobiła, a wszyscy do niej ręce wyciągnęli. Przyczyną tego było odezwanie się proboszcza. W salonie naczelnika sądu obwodowego była mowa o chorobie lokatorki Koczkowiczowej, co dało okazję do najróżniejszych plotek i domysłów, w których celowała szczególnie komornikowa.

— Mościa dobrodziejko! ozwał się wówczas proboszcz. — W tych historyach, które ktoś pani napłócił, nie ma ani słowa prawdy. Muszę bronić nieobecnej...

— Ależ księżę proboszczu. Ta kobieta ani razu nie była w kościele...

— A więcej warta, niż sto takich, co aż nadto naprzykrzają się Panu Bogu... odparł szorstko.

— Znam ją dość dobrze... — dodał.

Proboszcza szanowano, a jeszcze więcej obawiano się powszechnie. Interwencja jego wywołała radykalną reakcją na rzecz Jadwigi—nie na jej korzyść... zainteresowano się nią tylko goręcej.

Do tego przyłączył się fakt drugi, o którym całe przedmieście arystokratyczne długo szeptało.

Coś w kilka tygodni po opuszczeniu lecznicy weszły do mieszkania trzy damy. Jedna mała, dychawiczna, grubo otynkowana, dwie nieoznaczonego wieku, przedługie, anemiczne, w białych lekkich stanikach, ozdobionych rozkwitłymi różami. Weszły wszystkie trzy, w ogromnych fantazyjnych kapeluszach, patrząc wokoło małemi swidrującemi oczkami.

Jadwiga podniosła się niezmiernie zdziwiona. Cóż miała do niej komornikowa, ze starszemi córami?

— Pani łaskawa — wzięła prędkim, cienkim głosikiem. — Jestem żoną notaryusza tutejszego, a oto — pani pozwoli — moje dzieci: Stasia, Joasia...

Jadwiga odkloniła się.

— Raczie panie usiąść, zanim się dowiem, jakiemu trafowi zawdzięczam...

Konwencyonalny frazes utkwił jej w gardle.

— Ach, pani, zaszczyt i przyjemność tylko po naszej stronie, tylko po naszej...

— Tylko po naszej — dodała ze swojej strony jedna z córek, skromnie podnosząc wzrok na gospodynię domu.

— Przychodzę do pani... a właściwie mówiąc, przysłała mię tutaj obowiązek chrześcijański, jaki mam wobec pani.

— Nie rozumiem, o co się rozchodzi — wyrzekła Jadwiga, wpadając w coraz większe zdumienie.

— Och, pani nie rozumie.. a właściwie mówiąc, pani zbyt dobra, aby chować urazy.

— Ależ doprawdy nie wiem, o co pani szanownej idzie...

— Przed dwoma laty jeszcze, gdy pani wprowadziła się do naszego miasta, wyrządziłam pani wielką przykrość... Pamiętam na koncercie, postąpiłam sobie, a właściwie mówiąc...

Twarz Jadwigi rumieńcem się oblała.

— Oh, pani łaskawa, rzecz ta należy już do historii...

— Ale ja o niej nie zapomniałam... ja nie. Sumienie mi nie dawało spokoju do ostatniej chwili... Znajdowałam się tylko pod wpływem złego ducha, tej pani Koczkowiczowej...

— Proszę mi wierzyć, że najmniejszej urazy nie chowam do pani. Zostawmy to w niepamięci.

— Ah pani! prawdziwa z pani chrześciana...

Jedna z córek schyliła się nad różą, aby ukryć uśmiezek przy tych słowach, druga obrzuciła wzrokiem podziwu swą mamę.

— We wszystkim wogóle to tylko ta stara feldfeblowa zawiniła.

Jadwiga znowu nie nie rozumiała.

— Ta tak zwana pani sekretarzowa, która — właściwie mówiąc — jest wdową po zwykłym pisarczyku sądowym. Ona to oczerniła panią, kopała dołki, odstręczała nas od zaznajomienia się... To też Pan Bóg ją ukarał...

— Co się z nią stało? zapytała Jadwiga, aby na inny przejść temat.

Komornikowa wpatrzyła się w nią z osłupieniem.

— Jakto, więc pani nie wie?

— Tak bardzo nie interesuję się tą panią, aby zasięgać o niej informacyi...

— Hm... ależ całe miasto...

— Ja też jestem poza obrębem całego miasta.

Komornikowa obejrzała się niespokojnie. Córki siedziały na krzesłach schylone, zawzięcie naprawiając zapięcie u staników; nikogo więcej nie było.

— A jak się pani pięknie tu urządziła... wczęła na nowo komornikowa. — Ten garniturek — śliczny i te portyery... czy tutaj kupione? Aa... bibliotekę nawet posiada pani! Cudownie! W naszej bibliotece, a właściwie mówiąc, w kasynie, nic nie ma porządnego, nic do czytania... Czy pani pozwoli obejrzeć te książki?

— Proszę bardzo...

Komornikowa nie podniosła się.

— Stasiu, Joasiu! wyrzekła. — Przejrzyjcie te książki. Może znajdziecie coś ciekawego...

Panny podniosły się, jak na komendę i zagłębiły twarze w półkach.

— Bo widzi pani — przemówiła komornikowa szeptem. — Nie mogłam wobec dzieci, ale to skandal, skandal okropny.

— Co właściwie?

— No, ta awantura u Koczkowiczów. Pani sobie wyobrazi, gdy z panią tak niegodziwie się obeszła, iżeś pani musiała mieszkanie opuścić, musiała... och! wiemy to aż nadto dobrze!.. to klucz z jednego pokoju dostał — wie pani kto? pan Adam...

— Któż to?

— Któż inny, jak nie aptekarz... ten potwór! Jadwiga zaczęła rozumieć... przypomniała sobie ów wieczór i parę gruchającą w ogrodzie.

— I raz złapano go, gdy... no, gdy był zamknięty z tą... głupkowatą. to jest z profesorową... wieczorem...

— Co pani mówi? Jadwiga cała pokraśniała.

— To, co pani słyszy — odrzekła komornikowa, musztrując wzrokiem panny swe, które całkiem zatopily się w stosie ilustracyi. — Tak, pani... To rzecz niesłychana.. w naszym poczci-

wem mieście, kobieta mająca dzieci... Kto wie od wielu lat ten grzeszny stosunek...

Jadwiga zadumała się. Odtwarzała sobie doskonale psychologią biednej profesorowej. Rozumiała tę kobietę, której — po tylu latach niewoli i pracy, po życiu tak posępnem i ogołoconem ze wszelkich wzruszeń i przyjemności — uśmiechnęło się nagle słońce, w postaci lalkowatej twarzy donżuana małomiasteczkowego. Obudziła się w niej żądza nowości i rozkoszy; woli ani inteligencji zbyt wykształconej nigdy nie posiadała, jakżeż mogła oprzeć się temu samcowi, który tak silnie targnął wszystkie jej spiące instynkta samicze... Ale ma dzieci! Czyż to samo nie powinno zająć całego jej serca, być jedyną myślą, najsilniejszym hamulcem... Smutek ogarniał Jadwigę przy samem rozważaniu tej brudnej historii.

Komornikowa tymczasem brnęła w niej z wielką lubością. Nikt się czegoś podobnego nie spodziewał po panu Adamie, który był bardzo przyzwolonym młodzieńcem, posiada majątek, stanowisko i rozum. Że też rozumny człowiek mógł zająć się takim ciełociem... Ach, mężczyźni, mężczyźni! Mszczą się wszyscy na kobietach za to, że Ewa skusiła Adama — dokończyła z miną wielce dowcipną.

W tej chwili panienki, pogrążone z całą u-

wagę w przeglądaniu ilustracji, spojrzały po sobie.

— Co też mama wygaduje... szepnęła jedna.
— Jestem pewna, że on temu nie winien! On mnie jedną tylko...

— Przepraszam cię, moja droga, mnie wyłącznie...

— Co znowu... kiedy bo mnie tyle razy mówił...

— A mnie... niezliczone razy zapewniał...

Jeszcze raz spojrzały po sobie z osłupieniem po odkryciu tajemnicy takiej wielotwarzowej polityki; długie ich nosy wydłużyły się jeszcze bardziej a pięście mimowoli zaciskały.

Komornikowa nie ustawała w swoich wynurzeniach. Musiała przecie dać folgę swojemu oburzeniu na skandaliczne żony. Ostatnie słowa akcentowała. A gdy rzecz się już stała... hm... to stara Koczkowiczowa dopełniła miarki, a właściwie mówiąc, ona zrobiła największą awanturę. Zdradzony mąż - profesor domyślał się widać, podpatrzył, zaczął szturmować do drzwi. Stara wyszła ze swego pokoju, usłyszała, o co idzie, wyłamała drzwi i wpadła. Musiało zajść coś straszego... Stara jęcza silna, jak dziesięciu parobków. Niewiadomo czem zaczęła walić... zdaje

się, że ogromnym pękiem kluczy... no, i zbiła córkę... zraniła aptekarza...

Jadwigę wstręt brał. Nie mogła dalej słuchać; myśleć nie mogła o tej »karze bożej,« jaka padła na sekretarzową.

Na szczęście komornikowa przerwała. Usłyszała szmer — to córeczki spiesznie, jakby przestraszone, uciekły od szafki z książkami. Spłoszyło je coś okropnego.., dostrzegły człowieka... całkiem nagiego... w książce o anatomii.

— I pomyśleć, że pani kochana musiała przez trzy lata mieszkać z takimi osobami, żyć pod jednym dachem, a właściwie mówiąc: cierpieć... Wszyscy jesteśmy obecnie po stronie pani, wszyscy wyrażają przezemnie chęć naprawienia złego i służenia pani...

— Oh, zbytek łaski! odparła Jadwiga oschle.

— Nam robi pani przyjemność! A przysięgam... pani tutaj całkiem obca, zamykasz się pani, ukrywasz, a potem gdy przychodzi nieszczęście, jesteś pani — Boże zmiłuj się — jak wędrowiec w puszczy... Niechże pani powie, czy to dobrze?

W ostatnich słowach leżała spora doza dobrze udanego uczucia. Dobra Jadwiga uścisnęła komornikową za rękę.

— Przyszłyśmy ofiarować pani, że tak powiem, honorowe obywatelstwo naszego miasta...

— Tak wygórowanych pretensyi nie mam. Pani zbyt dobra...

— Ale gdzieżtam... to tylko obowiązek... I jak mówiłam już... pożytek i przyjemność dla nas. Poczciwy doktor tyle nam o pani opowiadał, jakę się pani dla dzieci poświęcała, jaką pani ma śliczną edukacją...

— A u nas w mieście wszyscy tacy prozaiczni.. zmateryalizowani... westchnęła panna Joasia.

Odeszły po półgodzinie, otrzymawszy od Jądwigi przyrzeczenie, że »zaszczyci ich skromny domek swą obecnością« w najbliższą niedzielę.





III

Gdy poraz pierwszy od pięciu lat siadła przed zwierciadłem, by zrobić wielką toaletę, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Jak dawno już temu, gdy w buduarze stały przed nią pudełka z klejnotami, garderobiana z kluczami od tuzina szuflad, gdy w jedwabiach, uszytych podług ostatniej mody, była królową szyku i elegancyi. Od osiedlenia się w Lipnikach żadnej nie sprawiła sobie sukni, i dała sobie słowo, że zużyje stare do ostatniej nici. Teraz rozpuściła bogate swe warkocze, a zwierciadło wskazało jej twarz olśniewająco białą, o świeżej, zdrowej cerze, lecz z dwiema poprzecznymi liniami poprzez czoło poważne. Powaga ustępowała powoli uśmiechowi melancholijnemu na widok srebrnych włosów, wijących się wśród hebanowych splótów.

— Ukryć je, czy nie? — pomyślała Jadwiga. Za chwilę roześmiała się do siebie głośno:

— Kokietka ze mnie!

Ubrała się prędko, wysłała dzieci na spacer i poszła na wizytę. Weszła do małego «pokoju bawialnego», który wyglądał jak stare, gnijące pudło, napełnione tuzinem lalek w pstrokatych gałgankach, a naokoło nich szastały się nalane jak beczki lub tyczkowate figury w czarnych tuzurkach i pretensjonalnych uśmiechach.

— Ah, ah! — wykrzyknęła komornikowa z zachwytem.

— Ah, ah! — zakrzyknęła młodzież z jeszcze większym zachwytem.

— Jak ślicznie pani wygląda! — paplała dalej gospodyni, przedstawiając ją po kolei licznemu towarzystwu, a równocześnie sarknęła do córki:

— Patrzaj... stanik... co za krój... i z czarnym haftem... teraz..! Jakby na wsi wychowana... po koczko-dańsku...

— A czemu dzieci swoich pani nie przypro-wadziła? — pytała dalej ze słodkim uśmiechem. — Takie miłe, takie śliczne...

— Czy to być może? — wykrzyknął stojący obok sędzieja. — Doprawdy, wierzyć się nie chce, abysy pani była matką tak słusznych dzieci.

Jadwiga kłaniała się, przywoływała na pamięć wszystkie znane sobie formułki konwenansowe i zdawkowe karmelki towarzyskie. Każdy kompliment płaski, jaki jej uczyniono, każdy ukłon konwencyonalny, na który musiała także twarz do uśmiechu składać, raził ją i drażnił głęboko. Nareszcie dostrzegła dobrze znaną sobie konsyliarżową na sofie, między starszemi damami. Przyśiadła się do niej a miejsce to stało się niebawem punktem środkowym towarzystwa.

— Ależ pani łaskawa... — protestował gorąco pan sędzia, widząc ją między matronami.

— I mnie już los w siwe ozdobił włosy — odrzekła wesoło.

— Boże, co to za kokieterya u tej kobiety! — westchnęła panna Joasia do panny Stasi.

-- Skończona kokietka, nosi niby to prosty, niemodny nawet ubiór, ale jakie to wyszukane, twarzowe... Ciemny, aby pokazać białą pleć... Ciekawa, czem się myje, że taka biała... Możebyś wypytała jej pokojówkę... Albo może to pudr taki, którego my jeszcze nie znamy...

— Czyś pani bardzo wdzięczna memu mężowi za poznanie naszej śmietanki? — zapytała doktorowa sarkastycznie.

— Za reklamę — wcale nie, za towarzystwo —

to się pokaże. Zresztą, czy istnieje ciekawsza książka, niż człowiek ?

— Oh, co do tego bądź pani spokojna. Ciekawych egzemplarzy mamy aż nadto. Począwszy od naszej poczciwej gospodyni, która straciła pana Adama dla jednej z trzech córek, a skończywszy na adjunktowej, która go w domu ci-cho oplakuje...

— Oh, bardzo zacni, bardzo godni ludzie! — wmieszała się sąsiadka o żółtej twarzy, żółtych zębach i w żółtej bufiastej sukni. — Już to przyznać trzeba, że nasze towarzystwo to dobrane.. Widziałam ja już, moja pani, piękny kawał świata, ale co prawda...

Tu nastąpiła krótka, wymowna charakterystyka. Oto żona radcy sądowego, piękna jeszcze kobieta, która niedawno na majówce ogromnie «popolitowała się» z jakimś nauczycielem; państwo pocztmistrzowie, poczciwi, kochani ludzie, choć on był kiedyś wachmistrzem przy żandarmeryi; pan mecenas, człek nadzwyczajnych zdolności i charakteru, którego żona ma dużo szyku, lecz o której lepiej nie mówić; sekretarz, bardzo miły, lecz niebezpieczny; dyrektorowa, najrozumniejsza kobieta pod słońcem, ale nosząca jeszcze czarne warkocze, mimo iż ma całą głowę siwą; młody



doktór z żoną, człowiek dowcipny i wesoły, którego ojciec pejsów jeszcze nie obciął itd. itd.

Wszyscy ci przed Jadwigą przedeflowali, wszyscy ściskali ją za rękę, a ze wszystkimi prawie zeszła się za tydzień znowu, a w jesieni — w swoim saloniku, na «proszonej» herbatce.

Więc dom otwarty zaczęła prowadzić, czynnym być członkiem społeczeństwa lipnikowskiego. Zainteresowali ją ci mali ludzie z małymi swemi umysłami, wąskimi drogami, a marnymi w życiu celami. Śmiech brał ją pusty na widok powag miastowych, kobiet lalkowatych, lub nadętych i zielonych jak żaby, na widok całego tego ogółu, złożonego z setek pojedynczych kółek, z których każde żyło osobno w nieświadomości, iż stanowi część całości; każde funkcyonowało rażno lub leniwie, stosownie do tego, czy było smarowane brudnym olejem, czy okolone pajęczyną i rdzą. A całość? Całość — to zegar przestarzałej formy, nakręcany od czasu do czasu przez pana domu, częściej jeszcze przez swawolnego dzieciaka lub służę. Dlatego zegary galicyjskie, w porównaniu z zachodniemi, spóźniają się i bałamuca... I one mają wskazywać czas krajowi... historyi...

Śmiech brał Jadwigę pusty, lecz serce bolało.

Od kółek tych nieświadomych miała się za wyższą. W całej pełni rozwinęło się w niej po-

ezucie wolności i swego indywidualizmu. Była odrębnym duchem — pośród kobiet otoczenia, podobnych i pod tym względem do dzikich, że nie posiadały żadnych prawie znamion osobistych, lecz tylko cechy gatunkowe. Bajką jest, co mówią o sfinksach, o niezglębionych naturach kobiecych. Z wyjątkiem kobiet, co dużo doświadczały nieszczęść, lub kobiet wysokiej arystokracji, mającej od wieków kształconą subtelność umysłu i wyrafinowaną nadezłość nerwów, są wszystkie do siebie podobne, mają równie niezróżnicowane organa inteligencji, równie prawie nieskomplikowane charaktery, należą do kategorii typów nie indywidualów. Jadwiga czuła się inną.

Była wolna, niezależna! Tysiące miała myśli, setki planów, dziesiątki dróg w życiu — z własnej głowy wysnutych, ciepłem własnego serca ogrzanych. Nie była martwą częścią mechanizmu; owszem — żyła dla siebie i знаła jego rozkład, budowę, cel.

Była wolną! nad sobą i w sobie żadnych oków — prócz sumienia, żadnego pana — prócz rozumu... Ah, jakiej doznawała rozkoszy... mózdz żyć tak swobodnie, pełną piersią, nie fantazyą, lecz w czynach, mózdz działać, latać, dzieci wodzić — dokąd i jak chce... Serce jej wzbierało szczęściem, wierzyć sobie nie chciała, i pytała, czy warta ta-

kiej opieki nieśmiertelnych bogów, i co im da wzamian. Dobrze wychowane dzieci — to nie zasługa, to tylko spełnienie rozkazów instynktu; trzeba zdobyć się na coś więcej... na szerszej widowni... i innym rzucić kilka gwiazd z tych, jakie jej przyświecają i jakie w sercu nosi...

Za ciasny jej teraźniejszy krąg życia, niewygodny! Gdzie się obróci w towarzystwie, w mieście — uderza ona o jakąś zaporę, jakby społeczeństwo ustawiło wokoło niej mury graniczne w postaci konwenansów salonowych i mozołów kuchennych, i mówiło: potąd, i nie dalej! Więc tylko konwenanse salonowe i kuchnia, i kołyska dzieci jej dziedziną?

Dzieci opuściły już kołyskę, bawią się na wolności, bezustanne stróżowanie krępowałyby ich swobodę i nie dawało rozwinąć ich zdolnościom. Salony miejscowe są jej wstrętne, a w kuchni panuje niepodzielnie kucharka. Cóż więc mi teraz pozostaje? — pytała Jadwiga.

Nie może wrócić do cichego, kontemplacyjnego życia, jak wprzód. Parność, duszność czuje w piersiach, gdy siedzi w swym pokoju; oburzenie silne, ochota do miażdżenia wszystkich posągów głupoty porywa ją nieraz w towarzystwie dam miejscowych; żywą pulsacją krwi, głośne tętno myśli, porywy, nieznane dawniej: do ruchu,

do silnych, lepszych jakichś wrażeń, do czynienia czegokolwiek... wszystko to czuje w sobie i usiłuje jasno sformułować.

Więc życie jej dosyć puste, jeżeli zostawia miejsce na tyle różnych życzeń... Więc czas jej niezapełniony, jeżeli zostawia tyle chwil na szamotanie się z niejasnymi dążeniami... Bo to też prawda, że kobiety w dziwnym są położeniu. Mężczyzna, czem więcej pracuje, czem większy zjednywa sobie rozgłos, na jak większą liczbę bliźnich wpływ wywiera, tem powszechniejszej zażywa czci. A o kobiecie powiadają coś wręcz przeciwnego. A to czemu? Skąd te okowy?

... Nie, Jadwiga znieść ich nie może. Chwilami, wskutek bezustannego gęgania gęsi, gąsek i gąsiorów «z towarzystwa» — niedobrze jej się robi; chwilami wpada w senność, apatyą, wskutek jednostajnego, siedzącego trybu życia; chwilami znowu czuje obawy przed rozmiękczeniem mózgu, wskutek ciągłego uderzania o zapory kamienne przed jej myślą i czynem.

...Nie, czynu, ruchu potrzebuje! A jeszcze bardziej potrzebują ożywienia ducha Lipniki — anemiczne, skrepowane dotąd w powijakach lub będące dopiero w stadyum zabawy z lalkami duchy Lipniczanek...

Było to nad wieczorem pięknego dnia zimo-

wego. Gościńcem, prowadzącym z miasta na dworzec, a będącym zwykłym miejscem spacerowem, szło liczne towarzystwo. Pola były jak miękkim pokryte puchem, a droga, wydeptana przez przechodni, lśniła miejscami, jakby obsiana dymencikami, wśród których ciągnęły się długie, wdali ginące pasma stalowe — ślady sanek. Powietrze było także puchem przepelnione, rzadkim u dołu, lecz gęstniejącym coraz wyżej, aż nie dającym się odłączyć od ogromnej półkuli śnieżnej, jaką wydawało się niebo.

Wiatr spoczywał, cisza i łagodny mróz panowały.

Towarzystwo było bardzo ożywione. Pierwszą parę stanowiła komornikowa i konsyliarzowa z Jadvigą pośrodku. Za niemi szły panny Joasia, Basia i Stasia w trzech jednakowych jubkach, jednakowych kapeluszach aksamitnych, i z trzema jednakowo sinemi nosami. Obok nich greczny dependent odpowiadał półgębkiem na niewyczerpane pytania, jakimi go zarzucały, a pilnie łowił słówka, wymawiane w pierwszym szeregu.

— Co będzie z naszym festynem na lodzie?
— wołała panna Joasia.

— Kiedy bal u marszałkowstwa? — pytała panna Stasia.

A panna Joasia szepnęła :

— Powiedz pan, co pan sądzisz o czapeczce męskiej na głowie kobiecej?

Grzeczny dependent był jakoś rozdrażniony. To też odrzekł:

— Pani Zimowieckiej we wszystkim ślicznie...

Jakoż wyglądała bardzo ładnie. Plusz i futerko sobolowe nie deformowały smukłej, wytwornej jej kibici, a mróz nie plamił zbyt jaskrawymi rumieńcami jej twarzy; była ona czystszej jeszcze bladości niż zwykle, a oczy w tej chwili miała tak czarne, tak pryskające iskrami, jakby w nich słońce leżnie zostawiło swe promienie. Na warkoczach, splecionych dokoła głowy, nosiła małą, bobrową czapeczkę, z pod której spadała na czoło — swawolna krucza grzywka.

— Nie, stanowczo ja pani nie rozumiem — perorowała żywo. — Jabym w tej atmosferze i tym trybem żyć nie mogła! To życie salonowe takie czcze, poziome, a bez myśli, bez pożytku!

— Piękne komplimenta! — sarknęła komornikowa oburzona.

— Ale prawdziwe. Nie dotykam zresztą osób, chodzi mi atoli o fatalne stosunki ogólne. Niechże panie same wyznają, czego więcej między nami: pretensyj czy nudów?..

Komornikowa zasznurowała usta, konsyliarzo-
wa nawet popatrzyła na swą towarzyszkę z nie-

milem zdziwieniem; jedna tylko adjunktowa, kręcąc w powietrzu parasolką, wziętą dla parady, zawołała :

— Brawo, brawo! Jak z pod serca wyjęłaś mi pani te słowa. Nasza kochana komornikowa już się dąsa, jak widzę — ale my naturalnie nie myślimy o jej salonie, który jest wyjątkowym!.. — zakończyła ironicznie.

— To zresztą rzecz bardzo prosta — kontynuowała Jadwiga. — Jest nas grono szczupłe, nie żyjemy ani z okoliczną szlachtą, ani z tutejszymi nauczycielami, kupcami...

— Jeszczeby czego nie stało... mruknęła komornikowa.

— Widujemy się dosyć często, i o czymż mamy mówić? Albo o gospodarstwie, albo o tajemnicach bliźniego, bo to jeszcze najwięcej zajmujące ciekawości i nie wymagają wcale natężenia umysłowego... Ja, co do siebie, jestem zdania, że, jak na inteligencją tak dużego miasta, robimy trochę zamała; że moglibyśmy lepiej się bawić i czas uprzyjemnić, a co najważniejsza: zużytkować, gdyby panie przyjęły mój projekt.

— Byle coś interesującego! — ozwała się adjunktowa. — Ja się chętnie z góry piszę na wszystko, coby sprawiło choć trochę senszacyi... Zginać tu można z nudów... Ah, wiem już, pani

zapropnuje zapewne *kinderbal* przed Bożem Narodzeniem...

— Nie zgadłaś pani...

— Naturalnie — rzekła z przekąsem komornikowa. — Nasza kochana pani Jadwiga nie zajmie się podobnemi zabawami. Pewnie zapropnuje... zbieranie składek dla biednych dzieci ze szkoły tutejszej...

— Tocy wcale źle nie było — zaśmiała się Jadwiga — ale ja myślę o czems szerszem, ważniejszym.

— Słuchamy! — wymówiły z drugiego rzędu panienci.

— A może... może urządziłybyśmy bał kostiumowy historyczny? co sądzicie?

— To, co ja proponuję, tyczy się jedynie nas, kobiet...

— Czy mam to uważać za wskazówkę, iżem niepotrzebny? — zapytał dependent, który oka od mówiącej nie odrywał.

— I owszem, zostań pan, i panie — tu zwróciła się Jadwiga do idących za nią dyrektorowej i mecenasowej — zapraszam na kazanie, które chcę wygłosić pod gołem niebem.

Całe towarzystwo skupiło się w dwóch szeregach, tak że zajęły całą szerokość gościńca. Szły przed się, w kierunku stacy kolejowej, naprzeciw słoń-

ca, które wytoczyło się jak czerwona kula z pośród bieli i nieruchomo wisało u zimowego niebios stropu.

— Wyobraźcie sobie państwo — ciągnęła dalej Jadwiga — taką kombinacją. W niedzielę najbliższą zbieramy się wszystkie w kancelaryi — przypuszczam — pani dyrektorowej, jako na miejscu neutralnem i najszerszem, i zapraszamy także wszystkie kobiety inteligentniejsze z naszego miasta. A więc będą i nauczycielki, i kupcowe, i modniarki, co wykształcześnie i porządniejsze...

Komornikowa zatamowała oddech.

-- Będzie nas wtedy obecnych przeszło pięćdziesiąt kobiet, różnego pochodzenia, inteligencji i stanowiska, ale cel zjednoczy nas wspólny...

— A tym celem? — zapytała niecierliwie adjunktowa.

— Tym celem — praca.

Gdyby z chmur śniegowych grom był spadł, nie byłyby więcej sprawił zdumienia.

— Co? czego? doprawdy? — posypały się głosy.

— Tak, praca wspólna — mówiła Jadwiga, podnosząc głos, który silnie rozbrzmiewał pięknym kontr-altem. — Naprzykład każda z nas zobowiązałaby się płacić co miesiąc po pięćdziesiąt centów. Od panów będziemy także przyjmować wkła-

dki, tak iż razem liczę conajmniej na pięćdziesiąt [reńskich] miesięcznie. Uzyskane pieniądze dzieliłybyśmy na dwie nierówne części. Po pierwsze: wynajęłybyśmy osobny lokal i tam umieścimy biedne dziewczęta rzemieślników, chłopskie i żydowskie. Każda z nas wypożyczy tam trochę przyborów krawieckich itd.; kilka z nas — poświęci trochę czasu, ułożymy system pracy, i podług niego jedna z nas będzie udzielała dziewczątkom nauki kroju, druga — białego szycia, trzecia — haftów, czwarta gramatyki polskiej, ta znowu historii i literatury, inna — gospodarstwa i rachunków gospodarczych, doktor — będzie wykladał higienę... Żadna z nas nie jest specjalistką w tych umiejętnościach, ale liczę na pomoc pani i nauczycielek — tu zwróciła się ku dyrektorowej — a zresztą początkowych lekcyj łatwo udzielać, same poprobujemy, odświeżymy w pamięci, cośmy już pozapominały. A jakie są dobre strony mego projektu, nie potrzebuję wyliczać. Proszę tylko pomyśleć, że wychowamy kilkanaście dziewcząt, które bez nas wyrosłyby dziko i w ciemnocie; przysporzymy miastu kilka dzielnych gosposi, biedne — nauczymy pracować i zarabiać, same wydoskonalimy się w przedmiotach nauki, w działalności zbiorowej

— a to wszystko przecież tak łatwe do spełnienia, a tak świętym obowiązkiem...

Zatrzymała się, tchu jej zabrakło. Nie czuła w tej chwili zimna, nie widziała przerażonych spojrzeń towarzyszek, coraz jadowitszych, lub bardziej osłupiałych. Adjunktowa wstrząsnęła młodą, filuternie uśmiechniętą główką:

— Filantropia, filantropia znowu! Bój się pani Boga, skąd zaczerpnąć tyle pieniędzy? Uszyna wylewa mi się to wszystko...

— Nie o wiecznej zebraniu... nietylko o filantropii myślę — przemówiła Jadwiga, widząc, jak fałszywie ją pojęto. — Chodzi mi zarówno o tę sferę, wśród której nędza zmniejszyłaby się o połowę, gdyby się podniosła rządność i inteligencya, jak i o nas same... Co my robimy ze swoim wolnym czasem? Jakie my życie prowadzimy poza kołem zakłętym kuchni i banalnych zabaw? Musimy je stanowczo urządzić inaczej. Mówiłam o zakładzie — to praca nasza nazewnątrz. Na tem ograniczyć się nie myślę, bo uwzględnijcie panie: mimo że wiele z pośród nas odebrało piękne wychowanie i dużo teraz jeszcze czyta, mimo to stoimy niejako poza Europą myślącą, czynną, nawet poza naszymi siostrami z Królestwa. Tam — ah, to rozkosz! Insty-

tucyje specjalne, związki, pisma, ruch ogromny ku podniesieniu i wykształceniu kobiet...

— Tam emancypantki! — sarknęła komornikowa.

— Tak, ku emancypacji kobiet, ku wyzwoleniu ich z ciemnoty, z pod wiecznej kuratelii mężczyzn, z nieporadności, sprowadzającej nędzę czy hańbę. Ale nie o to mi idzie. Wyobrażam sobie, jakby to ładnie wyglądało, gdybyśmy za mniejszą część naszych dochodów zaprenumerowały kilka pism porządnych, sprowadzały nowe książki... W tym lokalu schadzałybyśmy się codziennie wieczorem, lub kilka razy na tydzień, czasem urządzałybyśmy lekturę wspólną, pogadanki, odczyty, obchodziłybyśmy drogie nam rocznice... Jak wielkie rzeczy małymi środkami!...

Mówiła teraz z zapalem, z przekonaniem, które tryskało z każdego jej słowa, ze szczerością w głosie, która ochrania od patosu, a porywa drugich. I teraz słuchały jej towarzyszki uważnie, mimo zimna, o którym wszystkie zapomniały, idąc za nią pustym gościńcem.

Przez chwil kilka panowało milczenie.

— No, żeby myśl była tak całkiem złą, tego nie mogłabym powiedzieć... — chrząknęła komornikowa, kręcąc głową z miną bardzo poważną.

Adjunktowa była w takim zapale, iż zaczęła tupać, omal nie tańczyć na gościńcu.

— Jest nawet kilka punktów pysznych! — wołała. — Wieczorki będziem urządzać, teatra amatorskie... ah, przepadam za teatrami amatorskimi! — zatrzepała się i klasnęła w ręce.

— I ja również... wygłosiła panna Joasia.

— Tu nawet o urządzenie przedstawienia siłami amatorskimi trudno, tembardziej tak znacznego towarzystwa — wyrzekł dependent z westchnieniem. — Ah, pani nie zna nawet, z jakimi przeszkodami i głupstwami trzeba walczyć. W naszym np. kasynie cheiano niedawno urządzić wieczorek mickiewiczowski. Mamy nawet prelegenta, doktora Zahradnika...

— Kogo? — wykrzyknęła nagle Jadwiga z rodzajem przestachu.

— Doktora Zahradnika, profesora gimnazjalnego od kilku miesięcy...

{ Nie dokończył, bo Jadwiga przystanęła i uchwyciła go za rękę.

— Pan Teofil Zahradnik jest tutaj? — szepnęła zdławionym głosem.

Młodzieniec wpatrzył się w nią zdziwiony.

— Czy pani go zna?

— Znam... imię jego... zdaje mi się z jakiejś pracy literackiej..

Stały tak wszystkie na gościńcu, a przed niemi zaczęły ukazywać się sanki i fiakry, wiozące przejezdnych z pociągu.

— Ale patrzcie państwo, jak daleko my zaszły... — zauważyła dyrektorowa. — Jużemy blisko stacyi.

— I nie słyszałyśmy, jak pociąg nadszedł.

— Czegoż stoimy? — zapytała mecenasowa. — wracajmy, już późno. Na kawę nie wydałam dla męża...

Zwróciły się, Jadwiga tylko przystanąła. Patrzała naprzód, przed się, w sinawą przestrzeń, nie widząc nic, potem utkwiała wzrok bezmyślnie w nadjeżdżające fiakry. Jeden z nich włókł się powoli, szkapa brnęła w śniegu, koła skrzypiały, a z siedzenia, z ogromnego futra niedźwiedziego, wystawała głowa... głowa, której zielone, jak woda błyszczące oczy zdaleka były wlepione w stojące damy, a obecnie, zrównawszy się z niemi, zatliły, błysnęły i nieruchomo utkwily w Jadwidze.

— Stój! — krzyknął za chwilę podróżny na woźnicę, i zstąpił z fiakra. Przystanął, zasłonił oczy ręką, potem, upewniony, że go wzrok nie łudzi, podszedł szybko ku pierwszemu szeregowi pań.

Jadwiga, jakby zamagnetyzowana, wzroku nie

oderwała od zbliżającego się podróżnego. Poznała go. Krew uderzyła jej do głowy i zaraz uciekła stąd, całą masą rzuciła się w serce, jakby piersi rozeprzeć chciała, i stąd uciekła, ze wszystkich tętnic — tak iż Jadwiga omal nie padła.

— Jadwigo! — zabrzmiał obok niej głos cichy, ostry.

Uchylając czapki i wyciągając ku swej ofierze rękę, wydał go przybyły.

Obecne damy przyskoczyły. Zanim jednak miały czas pojąć dziwne zjawisko, zanim mogły zbadać przybyłego i twarz swojej towarzyszki, spooczywało już jej ramię na jego ramieniu, i tak zespoleni oboje, bez słowa objaśnienia lub pożegnania, zwrócili się ku miastu.

Dependent doskonale widział, że głowa Jadwigi była mocno schylona, a chód chwiejny.





IV.

Szli obok siebie w milczeniu. Kazimierz, trzymając w ręku łańcuch od oków swojej ofiary, który po czterech latach silnie ujął; ona — prawie bez tchu wskutek szarpnięcia. Szli obok siebie kilkadziesiąt kroków — oboje zbyt wzruszeni, aby nawiązać rozmowę. Kazimierz rzucał okiem w prawo i w lewo, jakby krajobrazy studyował, to ukradkowo na swą towarzyszkę. Postać jego tonęła cała w ogromnem futrze, a twarz miała posiniąłą, rzadkim okoloną zarostem. W normalnym stanie musiała być czerwona.

Milczenie przerwało wołanie furmana.

— Czy pan już piechotą do miasta pójdzie?

Jadwigę głos tu oprzytomnił. Wyciągnęła rękę z popod ramienia mężowskiego.

— Co! nie spodziewałaś się mnie!, Jadwigo? przemówił uprzejmym, serdecznym, dla niej najwstrętniejszym głosem.

— Nie! i mimowoli głębokie westchnienie jej się wydarło.

Przerwa. Słowa wymienione przywróciły jej całą przytomność, jak lak roztopiony przywołuje do życia pozornie zmarłych.

— Muszę wrócić, pożegnać się z towarzystwem — wyrzekła pewniejszym głosem.

Cofnęła się, a za nią stały panie na poprzednim miejscu, niepomne, że są na gościńcu publicznym i że śnieg zaczął prószyć lekko. Hałaśliwe wykrzyki i tajemnicze szepty ustały za zbliżeniem się Jadwigi.

— Panie wybaczą — wyrzekła — ale muszę je opuścić! niespodzianego dostałam gościa.

— Proszę, bardzo proszę, tylko bez ceremonii! zawołała komornikowa, pasąc wzrok zmieszaniem drogiej przyjaciółki.

— Do widzenia więc.

Stanęła znowu przy Kazimierzu i nie pozwoliła ująć się za rękę.

— Jak widzę, to ci na rozrywkach i przyjaciółkach nie zbywa... zaczął. Odpowiedzi nie otrzymał, Jadwiga szła szybkim krokiem.

— Zanadto więc smutnem nie jest zapewne

twe życie — dodał z wymuszonym uśmiechem. — Ktoż są te panie! Ale, ale... co nasze dzieci robią? Były przecie chore. Spodziewam się, że nie złęgo im się nie stało...

I jakby wstydząc się tak spóźnionego pytania, dodał:

— Poznają to po tobie... ślicznie i zdrowo mi wyglądasz...

— Dzieci są zdrowe — odparła oschle i zmierzyla go poraz pierwszy od stóp do głowy. — Otóż i me mieszkanie, tam na wzgórzu.

Stanęli przy furcie. Gorączka, zdenerwowanie ogarnęło nagle Jadwigę, drzeć poczęła.

— Proszę pana — rzecze — słów kilka. Cokolwiek pan przynosisz... jam na wszystko gotowa, ale dzieci proszę oszczędzać.

Weszli. Ona wprost do mieszkania, on zatrzymał się w przedpokoju, zrzucił futro, kalosze, poprawił fryzurę i przejrzał się uważnie w zwierciadełku kieszonkowym.

Wszedł po kilku minutach, kiedy Jadwiga już się była przywitała z dziećmi. Pokój, widocznie jadalnia, był dość szczupły, a dobrze umeblowany. Kredens, dwie szafy, sofa — w środku pokoju stół okrągły, na ścianach kilka reprodukcji fotograficznych. Naokoło stołu, oświetlonego jasno lampą wiszącą, siedział chłopak, siedmio lub

ośmioletni, w szerokich, białych, z grubego płótna spodniach i sukiennej kamizelce bez rękawów, na której był wyłożony szeroki kołnierz, związany z przodu czerwoną wstążką. Na nogach miał wielkie, czyste buty. Ubiór ten świadczył najlepiej, że to dziecko chłopskie, porządnie ubrane, schludne; z rysów jego twarzy nie można było rozpoznać, gdyż była schylona, a długie, prawie białe, gęste włosy spadały mu na kołnierz, równo z dołu ucięte. Naprzeciwko niego klęczała na krześle dziewczyna prześliczna. Drobnią, białą twarzączkę, okoloną z obu stron czarnemi, lekko falującemi lokami, a spoczywającą w obu rączkach, opierała na stole i patrzyła czarnemi oczyma na chłopaczka, który szydłem szewskim wiercił dziury we wąskiej deszczulce. Obok niego na sąsiednim krześle siedział Oleś, w granatowym surduciku, z nisko ostrzyżonymi włosami, a cień z lampy osłaniał drobne rysy, krągłej, białej i rumianej jego buzi. Miał przed sobą stos pręcików i strugał zawzięcie, przyczem język trochę mu z rozwartych ust zwisał.

Dzieci tak były zajęte swą robotą, że po krótkim powitaniu matki nie zwróciły uwagi na wchodzącego Kazimierza. Cisza panowała tu spokojna, Jadwiga stała oparta o kredens, Oleś stru-

gał, drugi chłopaczek wiercił i, nie odrywając oczu od deszczulki, mówił:

— Widzi Oleś... Jedna dziurka akurat niedaleko drugiej,.. Potemu zbijemy te cztery deski razem i takie cztery będą z dołu, potem u zatkniemy u góry i na dole patyczki, potem zrobimy podłogę i dach — i cała klatka wnetki gotowa.

Dziewczynka podskoczyła, jak była na klęczkach, i klasnęła w ręczki.

— To będzie ślicznie, Franek! — zawołała z zachwytem.

Kazimierz stał naprzeciwko tej grupy, nieruchomy, wpatrzony, wsłuchany, obok Jadwigi, która go poraz pierwszy mogła obserwować. Bardzo był zmieniony, tak bardzo, iż zdziwiła się, jak go w pierwszej chwili mogła poznać; widocznie poznała go nietyle wzrokiem, ile przecuciem, ile tą siłą hypnotyczną, która rzuca ptaszęta preryj w paszczę wężom. Przyzwyczajona dawniej do jego powierzchowności nie zajmowała się nią, nie dostrzegała w niej nic charakterystycznego, teraz wzdrygnęła się pełna odrazy. Niska jego figura wypełniła się krągławym brzuchem, spoczywającym na cienkich i dość niepewnych nogach. Głowa wyłysiała, a żółtawa jej skóra zawiśla ku czołu szerokimi bruzdami przerznięta,

i powlekała twarz pełną, jakby obrzękłą, przybierając tutaj barwę czerwonawą. Brwi prawie całkiem wypełzły, a zarost bezbarwny, dosyć rzadki pokrywał policzki, oraz grubą, wydętą wargę. Powieki, bez rzęs, mrugały ustawicznie z przyzwyczajenia lub nerwowości, a rybie oczy, dołkami i podkowami nawpół otoczone, spoglądały na dzieci z wyrazem niezmiernego znużenia. Powoli tylko, powoli gorętsze przybrały blaski, zaczerwienione, grube powieki podnosiły się, potem od stołu zwróciły ku Jadwidze.

Zamrugały, zaszklily się blaskiem na widok pięknej tej postaci, wspaniale rozwiniętej, o toczonych kształtach i czystym, szlachetnym profilu.

Kazimierz wyciągnął obie ręce.

— Jadwigo, nie powitałaś mnie jeszcze w swoim domu...

Ona z rękoma na piersiach skrzyżowanemi stała spokojnie już i w pełni sił psychicznych.

— Dajmy temu spokój — wyrzekła krótko. — Nie jestem sentymentalna, a i pan zapewne nie po czułości przyjechałeś.

Przygryzł wargi i wpatrzył się znowu w dzieci.

— Dzięki Bogu, że was widzę cało i zdrowo! — szepnął za chwilę. — Byłem w strachu śmiertelnym, niedawno dopiero otrzymałem wiadomość

o was — a te robaczki... toż to kość z kości
mojej, Jadwigo.

Głos jego, który miał brzmieć serdecznie, przybrał ton fałszywy, wskutek przymusu i frazesu deklamatorskiego.

— Ale, proszę cię, kto jest ten..? Na dziecko chłopskie mi wygląda.

— Istotnie. To syn naszego sąsiada, gospodarza. Bardzo miły i rozwinięty chłopak. Bawi się z dziećmi doskonale i lubią się wzajemnie. Zaczęłam ich niedawno razem uczyć czytać...

Kazimierza powieki niespokojnie zaczęły mrugać, potem umilkł znowu.

— I syn chłopca, powiadasz? zaczął po kilku minutach.

— Ale wolę go, niż rozpieszczone i zepsute dzieci urzędników tutejszych.

— Oh, zawsze ekscentryczna i dziwna...

— W zapatrywaniach moich ostatnie lata najmniejszej nie sprowadziły zmiany — odrzekła z naciskiem.

Oczy ich spotkały się, zmierzyły; Jadwigi śmiała i przenikliwa, jego mętne i zmęczone. Nie miały siły ni woli.

Kazimierz odwrócił się, poszedł ku stołowi. Działwa skupiona, zapracowana nie patrzyła nań; Oleś strugał nieustannie, Stefka przymierzała

patyczki. Oparty o krzesło przenosił Kazimierz wzrok z postaci jednego dziecka na drugie, stał z głową naprzód podaną, a uczucie mieniły się, zabarwiały mu oblicze. Oczy nabrały życia i jasności.

— Stefka... Stefka... wyszeptał po cichu kilka razy, a oddawna nieznana rzewność osiadła mu na sercu. Trudno bo było pozostać obojętnym wobec Murillo'wskiej tej dziewczynki, a spokojnym nie mógł pozostać ten, którego nagle wrząca uderzyła fala. Splukała jego serce z brudów codziennych, ogarnęła pamięć i uniosła ją... Tego maleństwa jeszcze nie było, a jego matka należała do niego... Takie same czarne włosy, lecz długie, pachnące... takasama czysta, olśniewająca białosc cery, lecz jak mieniąca się między szkarłatem wstydu, a purpurą gniewu... Aksamitna, płonąca... z pocałunkiem wydawała woń, co upajała... Czuje ją Kazimierz znowu, jej pierś obok swojej, jej dumną, królewską postać w swoich objęciach...

Obrócił się drząc cały. Stała — młoda, świeża, piękna i majestatyczna jak dawniej, lecz majestatyczna, jak gniewna kniahini. Czoło sfałdowała, przygryzła wargi i obserwowała ojca, witającego dzieci, prawie że nieznane sobie. Przestrach jej znikł już i bezsilność; jak zawsze w chwili nie-

bezpieczeństwa odwaga i stanowczość zapełniała jej serce. Biło ono szybko i głośno, jakby ją ostrzegało... — Przed czym? pytała — Przed zburzeniem tego wszystkiego, coś budowała tak długo i zmudnie — brzmiała odpowiedź. — Koniec twoich oków trzyma już w rękę, za chwilę może spętać cię, ubezwładnić, a zostawiwszy we więzach te drobne aniołki życia twego porwać...

Czy będzie mógł to uczynić... co w ogóle zamierza... jak postąpi wobec dzieci? Przystępu do nich zabronić mu nie może... nie jest uprawnioną do tego ani zdolną.

Stała więc zdaleka z założonemi na falujących piersiach rękoma, a Kazimierz znowu wzrok na nią rzucił.

Wzdrygnęła się. Ona zna to spojrzenie...

— Stefania, Stefcia — szepnął z lubością, podszedłszy ku Jadwidze. — Ona prześliczna, nasza maleńka. Proszę cię, kiedy skończyła czwarty rok?

— Przed czterema miesiącami...

— A Oleś skończy niezadługo szósty?...

— Tak.

— Hm.

Stał znowu przy stole. Teraz Franek wywiercił już był wszystkie dziurki, a Oleś przykleknął i zaczął je wyglądać, czy rozszerzać scyzorykiem.

— A jutro przyjdiesz, Franek? zapytał.

— Przyjdź, przyjdź Franiu, ja ciebie tak proszę..

— mówiła Stefka łagodnym swym głosem. —
Dokończymy klatki, a ja ją ślicznie umebluję.
Zobaczycie. Postawię w środku filiżankę z wodą,
mama da mi cukru i krupek... wsadzimy ptaszki..

— A skąd je Stefka weźmie? zapytał Franek,
z ubóstwieniem patrząc na towarzyszkę zabawy.

— Będziemy wszyscy razem szukać w sadzie
— szczebiotała. — Wczoraj znaleźliśmy wróbelka,
okropnie zziębniętego.

— I nie mogliśmy go uratować — szepnęła
Oleś z widocznym smutkiem.

— Umarł z zimna... Tak mi go żal było, okru-
tnie. Teraz będziemy codziennie szukać, a jak znaj-
dziemy — ogrzejemy go tu, nakarmimy.. Wiecie co?

Tu klasnęła znowu w rączki, zachwycona nową
myślą.

— Jak będzie chory, ułożymy go w łóżeczku
mojej lalki. Oleś będzie doktorem...

Kazimierz słuchał. Nie myślał już o rozkoszach
przeszłości, mowa małych dziwną zabrzmiała
dlań muzyką. W dotychczasowym życiu, wśród
dzikiej wrzawy chuci i rozkielzanych namiętności
ucho jego odzwyczało się od naiwnego, łagodnego
ich świegotu. Stefkę widział dziś poraz pierwszy,

a zdobyła całe jego serce.. Uczuł silne drzenie wewnętrzne i szum w głowie.

Coraz niżej skłaniał głowę nad jej krzesłem, coraz bardziej zbliżał usta, lecz nagle cofnął się sapiąc ciężko.

Nie mógł jednak powiedzieć Jadwidze, że nieznanne dotąd uczucie z piersi mu bije... przez gardło, które ściska aż do zatamowania oddechu, i uderza w mózg, sprawiając tam zamęt. Tego powiedzieć nie mógł.

— POCO pozwalasz, by się dziecko bawiło nożem? — zapytał szorstkim głosem, aby coś wyrzec. — Niestety może zająć.

Jadwigi słowa te mocno zabolaly. Stała dotąd jak na torturach, by takie słowa usłyszeć... od ojca, widzącego poraż pierwszy dzieci..

— Nic tu złego zająć nie może — odrzekła ze spokojem. — Jak się skaleczy w palec, to nic groźnego, a na drugi raz będzie ostrożny. Niech się nauczy robić nożem..

Kazimierz stanął znowu przy krześle. Stefka rzuciła nań okiem, roztworzyła buzię, lecz w tej samej chwili Franek zaczął jakieś opowiadanie, w którym ona cała utonęła.

Ojciec patrzył w drobne, delikatne rysy jej twarzy, w pąsowe rozchylone usteczka i dołeczki

buzi, usłyszał głośny, niepowstrzymany śmiech wszystkich trojga, między którymi jej głosik brzmiał srebrzyscie; zapomniał, co się z nim dzieje. Nieprzepatą pchnięty siłą, uchwycił nareszcie nawpół dziecinę, jak piórko podniósł i do piersi przycisnął — gorąco, gwałtownie.

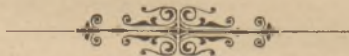
— Mamo, mamó! — rozległ się w tej chwili krzyk wśród wybuchu płaczu. — Mamo...

Oleś skoczył, i Jadwiga tuż przy nich stanęła. Odruchowo mimowoli, namiętniej niż należało, wyrwała Stefkę z jego objęć. Nie miała wprzód tego zamiaru. Z czemkolwiek przyszedł — jej nie dobrego nie przynosi, ale dzieci uścisnąć ma prawo. Musiałaby się zgodzić, gdyby większe nawet stawiał wymagania. Tak myślała, lecz z coraz większą przykrością patrzyła cierpliwie na jego walkę, coraz natrętniej uprzytamniał się jej nienaturalny jego stosunek do nich wszystkich, zupełne milczenie przez czas tak długi, przez czas w tyle boleści i przejść obfity; milczenie nawet po dowiedzeniu się o chorobie... Coraz więcej wzbierała w niej gorycz. Teraz krzyk dziecka przeszył ją, jakby skarga i protest małości przeciw narzucaniu sobie ojca... Mimowoli wyrwała więc Stefkę.

— Ja nie chcę tego pana... ja się boję...

— płakała dziecina. — Ten pan brzydki, ja nie chcę.

Kazimierz osowiałym popatrzył wzrokiem — do krwi przygryzł wargi i wpadł do drugiego pokoju.





V

Drzał i zębami zgrzytnął.

— *Pfuj Feufel, noch amal!* — zaklął. — Dobrze mi się stało, dobrze tak...

W pokoju panowała ciemność. Zamknął drzwi za sobą i rzucił się na sofę. Szybko jednak powstał i rozpoczął marsz gwałtowny, potrącając meble.

— Po to przyjechałem, aby dzieci straszyć... Stefkę... Stefcie...

Przed oczyma znowu ją dostrzegł, małe jej ciało, przylegające miłośnie do piersi matczynej; z drugiego pokoju dochodził go głosik, płaczliwy, przeciągający po dziecinnemu każde słówko, głosik, który długo nie mógł się uspokoić, zmieszany z perswazyą i pieśczętą mamy. Kazimierz

stanął, ucho przyłożył do drzwi i nadśluchował; nadśluchował, jak Jadwiga wykladała, że to nie ładnie mówić «ten pan jest brzydki», że to pan dobry i trzeba go kochać i jutro być dla niego grzeczną. Nadśluchował, a łagodne słowa Jadwigi uspakajały go, mile głaskały; podniecony, upokorzony, uczuwał ich wpływ, jakby go pocieszano: o, nie wszystko tutaj stracone... czekaj...

— A kto jest ten pan, mamó? — zapytał w sypialni Oleś.

W Kazimierzu serce się skureczyło. Odpowiedzi nie było. Ściągnął twarz konwulsyjnie i ostry śmiech wydarł mu się z gardła.

— Głupcze ty, głupcze!

...Czegoż się spodziewałem? — kontynuował — a jakżeż może być inaczej. Czy po pieśczoży i ceregiele przyjechałem... Zresztą, od tego pędraka trudno przecie żądać innego przyjęcia, a ona...

Ona właśnie ostatni pocałunek wycisnęła na główkach dzieci, ułożonych do snu i wyrzekła była:

— Spijcie zdrowo i wstańcie zdrowo.

Poczem z lampą w ręku weszła do Kazimierza.

— Jeszcze muszę na chwilę zajrzeć do kuchni — rzecze — ale zaraz powrócę.

Fantazya, nastrój uczuciowy, ogarniające podczas zmroku — ustąpiły, gdy światło zabłysło.

Kazimierz padł na sofę, a powoli twarz mu się wykrzywiła uśmiechem gorzkim, sarkastycznym :

...Ha, ha, ha! Co się to dzieje, co się stało ze mnie! Rozmazgałem się, jak baba... ha, ha... czysty spektakel... odnalezienie ojca, melodramatyczne sceny, powitania — szopka, kompletna szopka! Nie ma co mówić, dobrze się wybrałem. Ojciec marnotrawny...

Obejrzał się dokoła.

— Chudo tu, mizernie... — skonstatował. — U ostatnich mieszczuchów wiedeńskich lepiej już wygląda... Gdzież ona nauczyła się takiej skromności gospodarstwa, liczyć się z guldenem? Kapitalna sobie kobieta. Itak siedzi już trzy lata sama z temi pędrakami... Dziwny egzemplarz. Zamiast opływać w dostatki, siedzieć we własnej wiosce i być panią całą gębą, w salonach, na świecie grać rolę... No, no, coś w niej jest...

To «coś» było dla niego wielce zawilem, niepojętem. Wszelka ekstrawagancja musi mieć swoje granice. Wszystko potrafi on zrozumieć, a juźci najłacniej kobietę — miał z niemi więcej prawie do czynienia, niż z mężczyznami, a jednak... od lat kilku stoi przed zagadką.

— Co szalona, to szalona! — mruknął półgłosem.

Przeszedł się, zrobił znowu przegląd umeblowania, uprzytomnił sobie znowu jej sytuacją.

— Ale co biedna, to biedna. I sobie życie zatrzała i mnie.

— I tobie? — ozwał się w nim głos wewnętrzny. — Jak? kiedy?

Obskoczyły go wspomnienia rozkoszy i zabaw, które były treścią ostatnich lat kilku. Wiedeń, — orphea — kluby, Paryż i Monaco — karty i konie — wino i kobiety — pulchne, smukłe, blondynki, włoszki czarne; noce w orgiach, dni całe w łóżku... Stanowczo nie. To trucizną życia? A przecie tak. Wiele razy słodycz gryzła go, że ją wypłukać musiał, wiele razy wpadał w desperację, potem w sentymentalizm, potem musiał zagłuszać się, hulać, szaleć... Toż ona go wypędziła z domu, ona rzuciła go w objęcia Wiednia i Monaco.... *Pfuj Feufel noch amal!* Układał piękne plany, dawno już temu... jak student, myślał o życiu ziemiańskim, to o karierze politycznej, a ona kopnęła go nogą i poprostu za drzwi wyrzuciła...

Na to wspomnienie gniew kipi w nim głuchy. Jak wszyscy ludzie nierozwinięci — nie zdawał on sobie jasno sprawy ze swoich stanów psychicznych, a popełniwszy raz błąd, poprostu nie odczuwał go. Od czasu, gdy się zetknął z Jadwigą,

gdy jej powaga moralna na niego oddziałała wpadał w gorsze jeszcze złe, szukał zawsze motywów, wymówek dla swoich postępków. Znachodził je łatwo, a na nich wsparty — tłómaczył się przed sobą, łudził się niemi, aż sam zaczynał w nie wierzyć. Przez cztery lata ciągłych rozmyślań o swym stosunku do żony, podziwów dla samego siebie, że się zdobył na tyle poświęceń, jak na porzucenie nawyczek kawalerskich, jak na pracę publiczną itd., doszedł do wniosków, że to ona wykoleiła go, dla szalonych jakichś ideałów wyrzuciła z «porządnego» życia. On przecie nie był gorszy od tego lub owego sąsiada, od stu innych, a jednak tamci żyją wygodnie, tylko jego spotkało... Powoli wmówił w siebie, a teraz jest już przekonany, że to on jest ofiarą jej ekstrawagancyi, że on mały, zwykły popełnił błąd, a ona zniszczyła całą rodzinę...

— *Pfuj Feufel noch amal!* — konkluduje. — Stało się, i basta. Niech dyabli wezmą, co do nich należy, ja już chyba się nie przekabacę. Ona nie wygląda na taką, coby porzuciła opór, ona widocznie anomalią i o tem nie ma już co myśleć, dzieci zaś, Stefka...

Po chwili uderzył się w czoło.

— Bydlę ze mnie! Z czem ja przybywam i co ja robię...

Na wspomnienie, z czem przybywa, rumieniec wstydu pali mu policzki.

— Jakżeż bo... wówczas miałem przecie racya... no, no... to ona sama sobie winna...

Ze sypialni weszła Jadwiga. Wskazała mu krzesło i usiadła naprzeciw, odwrócona trochę od lampy, która białawym tonem światła jego głowę oblewała.

— Nie mogę udawać dłużej spokojnej i obojętnej — wyrzekła przytłumionym głosem — gdy nią nie jestem. Powiedz pan odrazu, co cię tu sprowadza?

Słowa te, tak prosto do celu mierzące, obruszyły Kazimierza. Mając w duszy pełno przeciw niej oskarżeń i żalów, podejrywał, tłómaczył sobie na złe każdy jej postępek. Teraz rozgniewał go jej ton sędziowski, zapiekła go myśl, iż ona w nim nieczyste, wrogie widzi zamiary, zapiekła go tem silniej, że się czuł winnym.

— Do dzieci przyjechałem! — odparł szorstko.
— Przypuszczam, iż mam do nich prawo.

— Owszem. Zupełnie zależy od woli pańskiej uregulowanie naszego stosunku do nich. Są jeszcze w tym wieku, że łatwo uzyskać ich miłość i przywiązanie...

Urwała na chwilę.

— Stetka tylko przestraszyła się gwałtownego

objawu serdeczności pańskiej, ale zresztą jest bardzo łagodnym, słodkim dzieckiem....

Słowa Jadwigi, dźwięczące cicho i miękko w samotnym pokoju, przejęły Kazimierza. Zmienił pozycją, zaczął przysuwać ku niej krzesło prawie że bezwiednie. Wpatrzył się w nią błyskającymi pod ociężałymi powiekami oczyma.

Ją znowu przejął strach przed tym wzrokiem.

— Telegram doktora odebrałeś pan? — zapytała znienacka, z postanowieniem przypomnienia mu, jaka przepaść ich dzieli.

Cios nie chybił.

— Tak — znacznie później — wraz z drugim o waszem wyzdrowieniu. Nie mieszkałem stale we Wiedniu.

— I teraz ozwało się serce ojcowskie.

Ostatnia uwaga do wściekłości go wzburzyła. Przeszedł się po pokoju, by twarz odwrócić, bo na te wyrzuty żadnej nie miał wymówki.

Trudno przecie powiedzieć, że odebrał wiadomości po powrocie z jaskini rulety, gdzie pół majątku zostawił, że w Wiedniu tonął po uszy w przeróżnych spekulacjach giełdowych, aby poprawić finanse... Kłopoty, irytacje, bankierowie, *Fräulein* Alicya od Ronachera, która mu wisiąca na szyi, to wszystko... *Pfuj Teufel noch amal!*..

— Jeszcze raz powtarzam, że tak dla pana,

W. Feldman. T. II.

jak i dla dzieci lepiej, byście się teraz poznali i zaoszczędzili sobie na przyszłość niespodzianek. Ale musiałyby to stać się jakoś systematycznie, z pewnym planem, bo to, co zaniedbano tak długo, nie da się...

— Chciałbym nasamprzód kilka dni z niemi przepędzić...

-- Dobrze. Ale słuchaj pan, mam kilka warunków i prawo mam prosić, byś się pan za stosował. Popierwsze. Przeniesiesz się pan do hotelu dzisiaj jeszcze. Powtóre. Pragnę uniknąć skandalu, a nie wiem, jakie pan ma zamiary i pretensye... co do mnie... Proszę więc, rozmówmy się odrazu stanowczo. Prócz przywiązania do dzieci przecież istnieje prawdopodobnie... inny jeszcze powód pańskiego przyjazdu.

Kazimierz stanął przed nią wyprostowany. W bladym świetle lampy twarz jego wydawała się ceglastą, oczy jak drobne, żarzące się płomyki bengalskie. Chciał wybuchnąć czy rozczulić się? Jedno czuł przedewszystkiem — wyższość tej kobiety, która go przygnębiała jasnym spojrzeniem i energią swoją. Poprostu — zaczął jej bać się. W tej chwili dostrzegł w niej jeszcze coś, co nim wstrząsnęło. Wśród gładko uczesanych włosów, nad czołem, bruzdami przerzniętem, snuło

się kilka pasm białych włosów, odbijających jak błyszczące nitki srebrne wśród czarnych splotów.

Padł na fotel całkiem odurzony.

— Jadwigo — wyrzekł powoli, nie podnosząc na nią oczu. — Jeśli jeszcze przy tem obstajesz, gotów-em podpisać akt seperacyi.

Głębokie zapanowało milczenie.

Krwawe rumieńce wystąpiły jej na twarz.

— Dobrze, dobrze... — wyrzekła po kilku minutach, gniotąc swe ręce i słysząc bicie serca, które na chwilę było umilkło, a teraz młotem dzwoniło.

Kazimierz miał na twarzy uśmiech nawpół bolesny, nawpół cyniczny.

— Mam jednak pewne warunki...

— I owszem, możesz pan dużo żądać.

Zawahał się, raz jeszcze ją zmierzył. Potem zdecydowany wyrzekł:

— Ba, cóż tracę! Więc słuchaj. Potrzebuję pieniędzy.

Wszystkiego mogła się Jadwiga spodziewać, tylko nie takiego zwrotu.

Uczucia, jakie w niej zakipiały, były tak silne, że zapomniała o zwykłym taktcie.

— Do tego więc doszło — pomyślała głośno.

— Pięć lat... blisko dwakroć tysięcy... strach..!

Zerwała się i szybko zaczęła chodzić po pokoju. Ból i gorycz dławiły ją.

— Myśmy żyli oszczędnie, co mówię — skapo, a gdy dzieci walczyły z chorobą pod obcym dachem, pan...

Rzuciła się na krzesło, rozdrażnienie odjęło jej na chwilę mowę.

— Posłuchaj Jadwigo. Miałem dawne długi, potem giełda...

— Dziękuję panu, nie jestem ciekawa. Mniejsza o to wszystko, wróćmy do interesu... zaraz... Bądźcobądź pańskie pretensye są niezwykle... Zastanawiałeś się pan, że te dwadzieścia kilka tysięcy to jedyna podstawa dzieci? Mam nadzieję tak je wychować, że same zdobędą sobie chleb i stanowisko, ale do tego daleko... Raz byłam tu śmiertelnie chora... mogę umrzeć. Zrestą procenta od naszego kapitaliku są bardzo szczupłe, a potrzeby rosną...

— Ale ja jestem zrujnowany... do ostatniego grosza! — wykrzyknął rozzłoszczony, bo odczuwał słusność każdego słowa żony, i chciał brutalnością siebie i ją zagłuszyć.

— I dzieci chcesz z torbami puścić...

Kazimierz podniósł się, ręką w stół uderzył.

— Poco ty mi to wszystko mówisz, do kroćset? Wiem sam dobrze i bez twoich kazań...

Krzyknij na mnie : podły... Podły jestem, zbrodniarz
— czemu mi tego nie powiadasz? Aha, czujesz,
żeś ty mię takim zrobiła..!

— ...Ja?

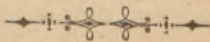
W głosie jej nie było gniewu ni przestachu,
tylko bezgraniczne, naiwne zdumienie.

— Ha, ha! wyborań sobie jesteś z tą minką
niewiniątka. Zapominasz, że gdyby nie twój głupi
upór, tobym teraz siedział w Zimowicach, albo
w parlamencie wiedeńskim?

Jadwiga nie mogła przyjść do siebie.

— A więc do widzenia, moja pani! — wy-
rzekł z udanym spokojem «geszeftsmana». —
Jużeśmy sobie obcy i nie chcę razić twego uszka
powtarzaniem imienia, Jutro rano znowu będę
miał zaszczyt...

Wyszedł, nie oglądając się nawet w sypialni,
gdzie dzieci nie spały, zdziwione i przelekłe tem
wszystkiem, co się działo.





III

Trzeciego dnia po przybyciu do Lipnik, siedział Kazimierz w numerze hotelowym i liczył pieniądze. Było dwanaście tysięcy reńskich. Tyle dostał od krezusa miejscowego, za papiery opiekujące na tysiący trzynaście płatne, po kilkotygodniowym wypowiedzeniu.

Uśmiech pogardliwy wykrzywił mu wargi. Bo i cóż znaczyła mizerna ta kwota u niego, który śpiewaczkom droższe ofiarowywał kamienie w bukietach. I pomyśleć, że to jedyny jego fundusz... To zbyt głupio. Z tego potrzeba dwa tysiące zaraz wysłać, należałoby nawet telegraficznie to uczynić, bo długi honorowe nie cierpią zwłoki, a tyle został winien z ostatniego wieczorka hrabiemu Carlosowi. Zostanie... niespełna dziesięć tysięcy. *Pfuj Teufel noch amal.*

Jak dziwnem kołem fortuna się toczy. Gotówkę uzyskaną ze sprzedaży Zimowic nadszarpnęły podróże, zbytkowne życie, potem «*fräuleiny* i *signory*.» Wyścigi nie dopisały, grubo trzeba było płacić przy totalizatorze. W Monaco ulatniały się dziesiątki tysięcy, jak cygara. Potem chcąc naprawić zachwiane finanse, zakupywał akcye budowy kolei chińskich, a tam — jemu na przekór — inżynierowie zostali wyrznięci, a rozpoczęte roboty zburzone do szczętu. Kilka wieczorków w klubie, gdzie grał już z zaślepieniem desperata, wyssały resztki drobnych nawet, jakie miał, i — dosyć hańby, że się musiał udać pod fartuszek żony...

Wywalczył, szczerze mówiąc, wydarł nędzne te tysiączki. Biedaczka miała niby racją. Jeśli jej zabraknie — nie będzie miała gdzie pożyczyć. Ale czy z tego wynika, że on ma ginąć z głodu? Przedewszystkiem, nie potrzeba patrzeć tak tragicznie. Jakoś to będzie. Chodziło mu na razie o grosz — musiał go dostać. Wahala się, przedstawiła mu groźną przyszłość, dzieci, ha, musiał jej więc powiedzieć, że w razie odmowy, osiedzie chyba tutaj na łaskawym chlebie. *Pfuj Teufel noch amal!* jaką ona zrobiła minę! Jakby całą salwę gromów i piorunów na głowę rzucić mu miała. Ale zdecydowała się, i dobrze tak. Pieniądze

te przecie nie przepadną. Uda się znów do Wiednia i rozpocznie starania. Może trochę gra dopisze, ale na pewniaka liczyć na to nie warto. Więcej na stosunki... wpływy... Mając takie znajomości wśród arystokracji, przegrawszy tyle do wielu członków parlamentu, może liczyć na protekcją... na jakąś posadę. Cóż u dyabła; to, co potrafi hrabia Carlos, najgłupszy ongi, kamrat w korpusie, a obecnie *attaché*, umie on także! A coś podobnego znajdzie się.. to go nie minie; nie mówiąc już o tem, że jest skoligacony z pierwszemi domami, że wioskę w dożywocie lub w posesyą dostać może w każdej chwili od pierwszej lepszej ciotki czy kuzyna.. Ale tak nisko nie upadł on jeszcze...

W tych i podobnych myślach pogrążony ubierał się Kazimierz powoli. O jedenastej ma się zejść z Jadwigą, by u proboszcza załatwić potrzebne formalności. A niechby wściekła ta historia raz się skończyła... odetchnąłby swobodnie. Będzie ona miała satysfakcją, a on zerwie już raz na zawsze z tą kobietą, która jest nieszczęściem jego żywota. Jeśli będzie cierpiała, to także sobie sama winna; następstwo to wyrzucenia go z majątku wiejskiego, z toku spokojnego, domowego życia. Niechaj wie, że bezkarnie nie uchodzi...

Na tym punkcie urywają się rozumowania

pana Kazimierza, który się pisał »von Zimowice Zimowiecki.« Nie może powiedzieć, iż po niej ostatnie wypadki przeszły »bezkarnie«; siwe włosy, samotność... Nie może też powiedzieć, żeby zbyt mocno odczuła te »kary.« Śliczna jest tą dojrzałą, rozkoszną, pięknnością kobiety, której kształty rozwinęły się, zaokrąglily, wezbrały wonią rozkwitłego w pełni kwiata; a harda, a dumna... To nie jest kobieta cierpiąca... Cóż więc?

Godzina jedenasta bije. Kazimierz prędko zapina kamasze, nastawia kołnierz, bo śnieg pruszy i jeszcze raz przegląda się w zwierciadle. Mówi mu ono: patrzaj... głowa twa łysa... twarz zmięta, oczy osłabione, podbite... to wszystko ona zrobiła... Ona cię wykoleiła...

W ogrodzie publicznym na umówionem miejscu czekała już Jadwiga. Przystanął zdaleka, obejrzał ją od stóp do głowy i z tłumionem westchnieniem zbliżył się.

Była niecierpliwa, rozgorączkowana.

— Chodźmy, późno już — szepce. — Tam kilkakrotnie będziemy się musieli stawić, ale znam proboszcza; zacny człowiek, załatwi sprawę prędko... Potem zajdziemy jeszcze do adwokata, i spiszemy akta... pamiętasz pan? Powierzysz mnie całkowicie opiekę i wychowanie małych... obo-

wiążąc się nie odbierać mi ich z domu, tylko je odwiedzać. Napiszesz pan weksel..

— Dobrze, dobrze... odmrunknął.

Gdyby była dostrzegła spojrzenie, jakim ją równocześnie obrzucił, byłaby się przestraszyła. Ten człowiek, dawniej apatyczny i indyferentny względem wszystkiego, co nie było dlań kwestyą przyjemności, a poza tem nieczyniący nikomu nic złego — zmienił się znacznie. W jego oczach nie-nawiść błysnęła. Egoizm zraniony, wszystkie instynkta podrażnione ozwały się w nim buntem, niechęcią, jak u krnąbrnych dzieci, karanych przez nauczyciela.

Zapukał do kancelaryi proboszcza.

Pokój dość szczupły, zarzucony stosami aktów, ksiąg i przyborów do pisania — na ścianie czarny krucyfiks — przy biurku młody, blady, szczupły księżyna o płomiennych oczach fanatyka.

— Chciałabym pomówić z księdzem proboszczem! — wyrzekła.

— Z księdzem proboszczem widzieć się nie można — odparł wikary oschle. — Chory jest...

— Cóż mu?

— Nic szczególnego... wiekowy człowiek... Jeździł przed kilku tygodniami z św. sakramentami do chorego i przeziębził się. Teraz lepiej mu

dzięki Bogu, ale widzieć się z nikim nie może. Ja go zastępuję we wszystkich czynnościach urzędowych.

Mówił to oziębłe, niedbałym głosem urzędnika, mierząc bystro przybyłych.

— Wszak pani Zimowiecka, jeżeli się nie mylę — dodał za chwilę. — Cóż zaszło nadzwyczajnego, że aż pani się zdecydowała wstąpić do zabudowania kościelnego?

Mówił to ze zgryźliwą ironią.

Kazimierz wystąpił naprzód i wymienił swe nazwisko. Na twarzy wikarego odbijało się coraz większe zdumienie.

— Jak ksiądz widzi — ciągnął dalej Kazimierz — jestem teraz poraz pierwszy w Lipnikach, bo nie żyję z żoną od lat czterech. Teraz przychodzimy prosić.. o umożliwienie nam separacyi... bo wspólne pożycie... między nami... niemożliwe.

Wikaremu krew się do twarzy rzuciła.

— Jaktó... seperacya? seperatio quoad thorum et mensam?

I otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, zalał rękę z miną przerażenia.

— Pani, czy pani wiesz, czego żądasz? Co to za krok doniosły, co za przykład demoralizujący? Rozbicie małżeństwa to zniszczenie instytucji rodziny i porządku, ładu społecznego..

— Ale ład, porządek, związek w rodzinie od dawna już nie istnieje — przerwała mu wzburzona, iż się musi tłumaczyć. — Charaktery nasze są tak różne, wpadają tak często w konflikty, iż o poźyciu mowy nie ma, nie mówiąc już o miłości. A jeżeli ta nie istnieje, na czemż ma się opierać rodzina?

— Na czem? na czem? na pracy wspólnej... dla miłości Boga, dla miłości dzieci...

— Trzeba swoje cierpienia ofiarować Bogu...

— Ależ księżę — zawołała trochę niecierpliwie. — Nie żyjemy w niebie, tylko na ziemi. Jeżeli nas ziemskie węzły nie łączą, jeżeli przeciwnie, wszystko od siebie oddala i rozrywa, mamy mimo to wieczny zadać sobie przymus, kłamać wobec siebie, rozgoryczać się wzajemnie... po to tylko, aby istniała forma zwana rodziną, w której ducha już dawno nie ma..? Toż to właśnie jest niemoralnem...!

— Sofizmaty, błędy! — uniósł się wikary, a blada twarz jego zagorzała, a ręce na piersiach skrzyżowane, trzęsły się. — To mądrość heretycka, teorye materialistyczne, któremi pani przesiałła... Wiem to, znam panią... Pani już od czterech lat siejesz zgorzenie w naszej gminie swoją bezbożnością, teraz chcesz i w rozbieciu życia familijnego być wzorem?

— Księżę wikary! — ozwał się Kazimierz po cichu. — To zdaje mi się nie należy do rzeczy.

— Należy, należy! — krzyknął ksiądz z gwałtowną gestykulacją, z zapalem zawołanego kaznodziei. — Dać mały palec dyabłu, a całą rękę uchwyci. Jakto? Więc co sakrament święty raz złączył, wy chcecie rozerwać? co kościół raz uświęcił, wy chcecie zniszczyć? Ach, po pani mogłem się tego spodziewać! Wyzułaś się pani zupełnie z czci Boga, omijasz dom jego, gdyby nie ten nieczysty interes, nie wiedziałbym dotąd na pewno, czyś pani katoliczka...

Ascetyczna natura, egzaltowana pod wpływem ćwiczeń i nauk, wyniesionych z Krakowa, wybuchła w nim z siłą żywiołową. Jadwiga gniotła w rękach mufkę, pąsowe jej wargi przybladły, wyprostowała się jednak dumnie i rzekła:

— Ksiądz wikary przemawiasz tonem, do którego nie jestem przyzwyczajona i robisz trudności, z jakimi spotkać my się nie powinni. Będę chyba musiała udać się do sądu i tam uzyskać akt seperacyi, bez interwencyi kościelnej.

W wikarym krew zakipiała dziko.

— A urzędnik — odparł brutalnie — odpowie pani to samo, co ja. Kto zna tego pana? Któż pani sama jesteś? A może pan ten nie jest Zimo-

wieckim, a pani go podsuwasz, by mieć... ot, ręce rozwiązane...

Nienawiść fanatycznego kapłana do kobiety, ogołoconej z uczuć religijnych, nienawiść, żywiona i podsycana przez cztery lata, znalazła swój wyraz. Prędko opamiętał się atoli i pożałował wikary. Jadwiga zachwiała się, siły nagle ją odbiegły. Kazimierz ku niej przypadł i wikary ochłonął w okamgnieniu, z krzykiem »Boże!» uchwycił ją za drugą rękę.

Dotknięcie dwóch mężczyzn ocuciło ją. Podniosła opuszczoną mufkę i podeszła ku drzwiom.

— Pani łaskawa! — zabrzmiał za nią głos wikarego. — Przepraszam, stokrotnie przepraszam, bardzo mi przyk...

Jadwiga więcej oczu nie podniosła; za nią wyszedł Kazimierz.

Tuman mokrego śniegu owiał ją, orzeźwił.

— Obrzydły klecha! — mruknął Kazimierz, niezmiernie zirytowany całą sceną.

Jadwiga walczyła ze sobą... chciała o nim nie myśleć. Strona praktyczna kwestyi zagórowała znowu w jej głowie.

— Zdaje się, że w jednym miał rację! — wyrzekła. — Tu w Lipnikach nikt nas nie zna, i kto wie, czy nie będziemy musieli udać się do Ostroga...

— Do Ostroga

— Nie wiem, będę dziś lub jutro u adwokata. Widzisz pan... część to przykrości, na jakie byłam narazona z całego miasta.

— Bo też samaś... pani winna. Są pewne formy, którym musimy się poddać. My mężczyźni jużci lepiej znamy księży i religie niż wy, a jednak nie demonstrujemy tak.. tego.. radykalnie.

— Wy..! Ale, do rzeczy wracając, widzę, że przybiera obrót jeszcze przykrzejszy, niż myślałam. Teraz wyjechać z dziećmi nie mogłabym, ani ich zostawić... Poradzę się, w każdym razie napiszę panu do hotelu. Do widzenia.

Nie patrząc na tego, któremu przed siedmiu laty przysięgła miłość i posłuszeństwo, który miał być dozgonnym jej towarzyszem, opiekunem i władcą, oddaliła się szybkim krokiem.

Kazimierz obrócił się ku niej. Na białym tle śniegu przesuwała się jej postać, bujnie rozwinięta, o dziewczęcej kibici, gibka; nad ośnieżonym futerkiem błyszczały czarne, grube warkocze, pod czapeczką skręcone.

— Dyabelnie pyszna... — zawołał z rodzajem zachwytu, — ale już nie dla mego podniebienia..

Skreślił, udał się do restauracyi hotelowej.

— A jak mnie pożegnała... pomyślał z goryczą. Wyniosła, dystyngowana, a ja wobec niej

ust nie otwieram. *Pfuj Teufel!* Do niczego atoli z tem wszystkim nie doprowadzi; brakuje jej coś... coś normalnego... Zawsze jakieś ekstrawagancje popełnia... Teraz z tym księdzem wdaje się w dysputy teologiczne, robi skandale antireligijne, i co za dziw, że wszystko źle się kończy... Naiwna sobie! Jakżeżby? Toż i ze mną tasama historia. Sama wywołała awanturę... No, ale myli się, jeżeli sądzi, że ja pojedę do Ostroga. Jeszcze tego mi brak. Tam każdy dzieciak mnie zna, palcami będą mnie wytykać, a ja, w aferze skandalicznej, po urzędach łączę, goły... Aaa!

Szeroko ziewając, zasiadł do stołu. Było o pół do pierwszej. Naokoło niego siedzieli urzędnicy i obywatele stanu kawalerskiego, grupkami, nad talerzami i szklankami. I Kazimierz kazał sobie dać wódeczkę »polską,« potem przejrzał spis potraw niemiecki i zaczął kłąć nędzną kuchnię i nędzną budę żydowską, dokąd go los fatalny zagnał.

Zajadał i filozofował; kwaśne wino zdenerwowało go do reszty. Dzieci i Ostróg, separacja, bankructwo, to wszystko zaczęło snuć się mu po głowie i drażnić, i jątrzyć, i szydzić... W dodatku ozwał się i żołądek z bolesnem upomnieniem o lepszą kuchnię.

— Kelner! zawołał nagle gość z sąsiedniego

stołu. — Czy pan doktor Zahradnik był już na obiedzie?

— Był już, proszę pana profesora! odparł zapytany.

Kazimierzowi widelec wypadł z ręki. Imię, dawno zapomniane, szarpnęło w tej chwili wszystkie nerwy.

— Kto jest ten dr. Zahradnik? zapytał gorączkowo kelnera.

— Ano, profesor gimnazyum.

W kilka minut później chodził Kazimierz wielkimi krokami po swoim pokoju.

— Aha, *das ist des Pudels Kern!* zakonkludował wysoce melodramatyczne swoje myśli. — W tem twa tajemnica... I rezygnacya.. i brak cierpień, i łatwość pozbycia się grosza, i zgorzenie wikarego... Oh, idyota ze mnie, że mi też pierwej coś podobnego na myśl nie przyszło... idyota skończony!

Potem dodał:

— Ale po niej... czegoś podobnego... nawet ja nie byłbym się spodziewał...

To «nawet ja» oznaczało ucsobienie największego sceptycyzmu względem kobiet, sceptycyzmu, który dotąd wobec jednej tylko Jadwigi milczał, uważając ją za dziwaczny wyjątek z reguły, a teraz... i ona...

W panu Zimowieckim dwa uczucia powstały naraz. Jedno — oburzenia i gniewu; gniewu pana na niewolnika, męża na niewierną małżonkę, a drugie — radości. Na dnie duszy wzmagala się ona coraz bardziej... cieszył on się z odkrycia, które, strącając żonę z dotychczasowego piedestału, stawiało ją na równi z nim. Ha, ha! a on wobec niej tak czuł się zmieszany, prawie nieśmiały, pokorny! Tymczasem ona wygląda świetnie, literalnie młodziej i piękniej... a obok niej ten ideał młodości... Nie! to nie do przebaczenia. Taka kobieta niżej stoi od mężczyzny... Mężczyzna.. no, to przecie całkiem w porządku, rzecz powszednia, zrozumiała, uprawniona, że ma jakieś tam grzeszki, ale u żony.. strach, zgroza, hańba! Taka, gdy upada, to już tak nisko, że każdy może ją potrącić nogą... A mąż... mąż...

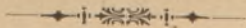
Pan Zimowiecki snuje dalej podobne rozumowania, a czem więcej myśli, tembardziej się cieszy, a czem więcej się cieszy, tem silniejszym się czuje, śmielszym, przejętym goręcej świętem oburzeniem, bardziej uprawnionym do czynu, do karania...

On atoli ukarze ją stosunkowo łagodnie.

«Moja zonusi! — napisał na swoim bilecie. — »Po dojrzałym namyśle przyszedłem do przekonania, że od naszego zamiaru co do separacyi

«musimy odstąpić. Bo albo ja już nigdy nie po-
«wrócę, więc będziesz tak czy siak wolna, albo
«wrócę kiedyś z wielkim majątkiem, a wówczas
«poświęcisz swoje uczucia dla dobra dzieci. To-
«bie przecie tylko o uczucia chodzi, a mnie o
«utrzymanie naszego domu i doskonale wycho-
«wanie naszych dzieci. Teraz wyjeżdżam, i pro-
«szę cię, bądź rozsądna i pamiętaj, czyje no-
«sisz nazwisko. Twój — K.»

Przywołał służącego i polecił, by list ten wrę-
czył jutro o dziesiątej pani Zimowieckiej, gdzie
dostanie tryngield (dodał z obawy, by pismo nie
zaginęło), a sam opuścił najbliższym pociągiem
w cichości Lipniki.





VII

W dwa tygodnie po powyższych wypadkach weszła Jadwiga do «Magazynu mód» pana Michaleczuka, który dzierżył berło mody w Lipnikach i okolicy. Właściciel ledwie podniósł się na powitanie. Znał ją jako panią, co ubiorki dla dzieci dawała tylko przykrawywać, a szyła sama. Pan Michaleczuk z zasady takich dam nie lubił.

— Prosiłabym pana o kilka słów rozmowy
— wyrzekła Jadwiga.

— Służę pani dobrodziejce.

Wprowadził ją do salonu. Fotele stały tu aksamitne, w kątach manekiny, na stołach żurnale i próbki przeróżnych materyj. Jadwiga odjęła welon i usiadła ciężko, jakby zmęczona. O zmęczeniu świadczyła też matowa, o żółtawym odcieniu

cera jej twarzy, sinawemi pręgami pod oczyma plamiona, postawa bezwładna i głos, nie spokojny i metaliczny, jak zawsze, lecz przytłumiony, przeplatany ciężkim oddechem po każdym zdaniu.

— Proszę pana — wyrzekła, starając się patrzeć swobodnie w jego oblicze. — Przychodzę do pana nie z zamówieniem, lecz z interesem natury osobistej.

— Niech pani dobrodziejka rozkaże — odmruknął stereotypowo, oparty grubem ciałem o kant stołu.

— Powiem panu bez ogródek i wstępów, ale proszę o dyskrecyę. Jak panu wiadomo, żyję tu od lat kilku sama, z kapitału... W ostatnich czasach zaszły jednak zaburzenia w mych finansach.. Straciłam znaczną część....

Przy pierwszych słowach zrobił pan Michałczuk wielkie oczy, czworograniasta jego twarz rozszerzyła się, zaokrągliła niewyraźnym uśmiechem, potem odetchnął, przysunął sobie fotel i usiadł naprzeciw Jadwigi.

— I czegoż właściwie pani chce? — zapytał niedbale.

— Mam dzieci, które muszę wychować, i postanowiłam zabrać się do pracy... a ponieważ znam dość dobrze krawiecczyznę...

Utkwiła w nim spojrzenie, w którem oprócz zmieszania malowała się trwoga i oczekiwanie.

Pan Michalczuk podniósł się w całej okazałości barczystego, atletycznego chłopca. Syn chłopca, instynktownie nienawidzący «państwa», ambitny mieszczanin, czujący wartość swej osoby, co z nicości sama się wydzwignęła, a od młodości ponizany i poniewierany, majster, znający śmiešności i głupotę wszystkich dam z miasteczka, a mimo to zmuszony wołać im: «całuję rączki» — ozwali się w nim naraz. Jadwiga dostrzegła wydymające się jego wargi, a przewyciężając się, powstała i zaczęła szybko mówić, gorączkowo:

— Panie, niechaj pan uwzględni, że proponuję bardzo korzystne warunki. Popierwsze: mogę pokazać suknie swoje i dziecinne, które sama uszyłam; następnie zgodziłabym się na taki układ. Pan będziesz mnie dawał sukno, cały materiał i miarę, a ja będę w domu szyła, ale każdą robotę skrupulatnie odstawię na termin. Za to dostanę trzy czwarte honorarium, to znaczy, za dostarczanie mi roboty będzie się panu należała czwarta część wynagrodzenia.

Wargi na mięsistem, kwadratowem obliczu pana Michalczuka wydymały się coraz bardziej, coraz pogardliwiej, w końcu skurezyły się, odsło-

niły białe, zdrowe kły, i przepuściły śmiech wesóły.

— Ha, ha, ha! A toś się pani dobrze wybrała. Ha, ha... A przy tem wszystkim jesteś pani jeszcze za dumna, aby robić w pracowni, jako wszystkie panny...

— Nie panie — odrzekła Jadwiga ledwie dosłyszalnym głosem. — Nie z dumy to, lecz z powodu, że nie mogę dzieci samych zostawić... Zresztą, chcę pracować i w nocy...

— Pięknie, nie ma co mówić — wymówił powoli, sarkastycznie, rozwalając się znowu w fotelu i patrząc z ogromną satysfakcją na stojącą przed nim ze wzrokiem zamglonym, jakby zwróconym w głąb swej duszy, i z zaciśniętymi wargami arystokratkę. — Ale niech mi pani z łaski swojej powie, czemu mam ja sobie brać tylko jedną czwartą część, kiedy potrzebuję właśnie tylko tyle robotnikom płacić a sobie trzy ćwierci schować?

— Jeżeli moje wymagania są zbyt wygórowane — zaczęła znowu Jadwiga, której każde słowo krajało serce — to niech pan poda mi swoje. I owszem... zgodzę się chętnie. To przecie panu wszystko jedno, która kobieta kawał uszyje...

— Ah, myli się pani. Właśnie że nie wszystko mi jedno. Jak mam u siebie starszą pannę, to

siedzi mi zawsze w pracowni i przyjmuje gości, wybiera materyą twarżową, bierze miarę, przykrawa, fastryguje dla szwaczek... A jak trzeba, to chodzi do domu, przymierza, poprawia... Czyby się pani na to zgodziła?

Jadwiga milczała. Nie czuła w sobie odpowiednich zdolności prawie w żadnym z tych kierunków.

— Widzi pani! — mówił dalej pan Michałczuk z filuternym uśmiechem i tonem, który, czy to wskutek przyzwyczajenia, czy to wskutek wyrachowania, brzmiał uniżenie i słodko. — Pani musiałbym do domu posyłać, robiłabyś pani to, co zwykła szwaczka. A wie pani, jak to się opłaca? U mnie panny robią od siódmej do dziewiątej, przed świętami i dłużej, a dostają... No, starsza panna bierze ośmnaście, tak ośmnaście, a inne, jak się po kilku latach dobrze wyćwiczą i dostaną po dziesięć, dwanaście reńskich na miesiąc, to już z łaski...

Jadwidze głowa opadła.

— Od kawałka, moja pani — mówił dalej majster — ja nie mogę płacić. Dobrzebym na tem wyszedł. Miałbym z panią więcej fatygi i ambarasów, niż cała rzecz warta, i nie wiem, czybyś pani miała ośm, dziesięć miesięcznie...

Jadwiga stała jeszcze chwil kilka z głową spuszczoną, potem opuściła powoli welon.

— A przecie... — odezwała się raz jeszcze ode drzwi. — Byłabym panu szczerze zobowiązana... Niech pan spróbuje, mniejsza o wysokość zarobku...

— Et, mówiłem już raz pani! — mruknął majster, którego długa perora już zmęczyła, a który w dodatku żadnej jakoś nie czuł radości z upokorzenia «arystokratki». — Żegnam...

Po śliskiej drodze lodowej, która w jej oczach mieniła się wszystkimi barwami tęczy, przybiegła Jadwiga do domu. Tu padła na łóżko i długo, długo ciało jej wstrząsało się konwulsyjnym łkaniem.

Gdy dzieci wróciły ze spaceru, powstała z suchymi już i martwymi oczyma, a wyglądała o kilka lat starszą i chorą. Automatycznym ruchem rozebrała małych z ubiorków zimowych i podała im herbatę. Na ich paplaninę odpowiadała półsłówkami, ociężale, najczęściej nie słyszała jej, i rychło ułożyła je do snu.

Sama nadaremnie usiłowała sen przywołać na swe powieki. I przez tę noc, jak wogóle w ostatnich tygodniach, przewracała się na łóżku, a głowa jej zdawała się pękać. Powieki paliły ją i ciążyły, jak żelazne czerepy; drażniły ją smugi

białego światła, przekradające się przez franki; o nerwowe drażnienie przyprawiał ją każdy szelest, szmer każdy; a gdy następowała cisza, była ona tak głęboką, tak głuchą, iż Jadwiga słyszała leniwe bicie serca, tętno arteryj, dzwonienie w uszach — dzwonienie bolesne, to z cichym sykaniem, to z biciem stu młotów połączone.

Usiłowała się wówczas przewyciężyć; snu gwałtem zdobyć nie mogła, a więc zająć myśl czemś... Myśl jej była całkiem przytomna, tylko przybierała takie formy, posuwała się w takim kierunku, że Jadwiga sama siebie nie poznawała. Dziecinniała. Mogła się kręcić całymi godzinami naokoło jednego punktu z tabliczki mnożenia, potem po tysiąc razy kombinować, czy z czterdziestu da się zrobić siedmdziesiąt. — To głupota — mówiła sobie nareszcie, i za chwilę znów wracała, znów rozkładała cyfrę w cząstki, cząstki w atomy... a budżetu miesięcznego skleić nie mogła.

Potem znużona strasznie, przymykała oczy i dziwny dostrzegała widok. Była zamknięta w swym pokoju, przykuta do ściany, a dzieci obok niej.

— Jeść, jeść, mamó! — wołały z przeszywającym jękiem.

Schylała się ku nim, a krew spływała z rąk, targanych żelazem. Zębami rozszarpała odzież i dawała im pierś... pierś pustą, wyschłą.

Zrywała się Jadwiga przed takimi i podobnymi halucynacjami, zimna a ociekająca potem. Oka przymknąć już nie zdołała, ale widziała wciąż dzieci przed sobą, słyszała ich krzyk, do tego przyłączało się to straszne dzwonienie w uszach. Głowa w ogniach stawała, a ciało dygotało. Kurczyła się wtedy z bólu, miotała się, chwytając głowę w obie ręce, gryzła je, gryzła poduszkę, zgrzytała... Potem zapalała świecę, i kluta promieniami zaraz ją gasiła.

Do tego stanu doprowadziła ją kilkutygodniowa bezsenność.

Nad ranem wpadała w odurzenie. Ogarniała ją bezprzytomność, wśród której majaczyła, rzucała się, ale bez pamięci. Zrywała się za godzinę, w pocie skąpana, z uczuciem, jakby w nią wrzucano stosy kamieni, które sypały się przez uszy, przez mózg, przez gardło i piersi... sypały się z łoskotem, tłukąc, unosząc, plugawiąc wszystko...

Ah! kiedy noc ta już przeminie!

Następował dzień, długi — czarny. Z napuchniętymi oczyma i siniejącymi wargami kręciła się Jadwiga po pokojach. Wydawszy raz kucharce na obiad, pozostowała obojętną na wszystko, ale myślą pracowała. Siedziała na fotelu, z oczyma nawpółprzymkniętymi i szukała, szukała w pamięci... przed sobą... Czego? Tu już sprawy do-

kładnie zdać sobie nie mogła. Mówiła sobie, że w niej żadna istotna nie zaszła przecie zmiana, straciła tylko połowę dochodów i o podniesienie ich musi się koniecznie wystarać. Mówiła tak sobie — a wewnątrz niej głębokie procesy się odbywały. Myślała więc o całym swem życiu, o kole boleści, w które ją wpleciono, o tej niesprawiedliwości, która ją spotkała i przeszła... niepostrzeżenie, bez zemsty... Myślała ociężale, sylwetkowo, aż wpadała w odrętwienie. Wówczas najlżejsze podrażnienie elektryzowało ją; wskutek brzęku widelca lub niezgrabności służącej wpadała w gniew, z brutalnością graniczący. Dzieci z zadziwieniem patrzyły na nią, przytulały się pieśczośliwie do ramion, obejmowały za szyję, wlepiały w nią gorejące, to naiwne, figlarne, załamawione oczęta, a ona odsuwała je łagodnie.

— Nie przeszkadzajcie mi... mam tyle do robienia...

I nic nie robiła. Książka wypadła jej z rąk, a w dodatku wywoływała wstręt.

...Narkotyki, narkotyki umysłowe..! Nasze książki wobec życia, to objaśnienie dla skazańca, co to jest gilotyna, i jakie istnieją projekta jej reformy... Co skazańcowi z tego? Zresztą — książka to przywilej... Jam nędzarka.. to nie dla mnie... nie...

Brała więc do rąk igłę. Ta przeslizgiwała się po napařtku, zagłębiała się w palcu, wypadła. Odrzucała ją Jadwiga, powiedziała sobie: «potrzeba przecie coś postanowić!» i wpadała w zamyslenie. Tak mijał krótki dzień zimowy. Wraz ze zmrokiem, okrywającym przestrzeń, wypełzły cienie, okryły, przeniknęły ją całą... Bojaźń opanowywała ją, drżączka, ścisnienie serca, a równocześnie — znużenie bezmierne, łamanie wszystkich stawów, ociężenie nóg, które wlokły się, jak w dybach, rzucało ją na sofę. Dzieci przybiegały, klękały przed nią, a ona nie była w stanie przemówić do nich. Widziała schylające się w smutku główki, ich wzrok błagalny i pytający, i dreszcze ją przebiegały. Ah, kiedy dzień ten już przeminie!

Za nim noc — boleśnieszka jeszcze, i znowu dzień... dłuższy... ciemniejszy...

W trzy tygodnie po odjeździe Kazimierza przyšedł do niej konsyliarz. Przestraszył się na jej widok.

— Pani jesteš chorą! — wykrzyknął.

— Owszem, poradź mi pan co. Apetytu nie mam wielkiego, ale jadam regularnie i trawię dobrze. Cierpię na bezsenność...

— Na to mogę pani coś zapisać.

— A czy to mnie nie rozstroi jeszcze bardziej? Bo nerwy we mnie rozszalałe...

Doktor wiedział trochę, co jej jest; wracał właśnie od starego proboszcza, który mu powtórzył całe zajście z wikarym.

— Pani Jadwigo! — wyrzekł, siadając. — Nie przypuszczałem, że będziesz pani tak nieszczerą. Blisko półtora roku starałem się przekonać panią, żem jej przyjacielem...

Uśmiech cierpki wykrzywił jej wargi.

— I do jakiego punktu dochodzi pańska przyjaźń? Do głowy? czy niżej — do serca? czy jeszcze niżej — do kieszeni?

— Nie rozumiem tej ironii pani. Nie dla czego frazesu mówię, nie ofiaruję nic nadzwyczajnego... ale pani miałaś zmartwienia... pani miałaś ważne interesa do załatwienia... zapomniałaś pani o mnie zupełnie...

— Szkoda, powinnam była przyjść do pana... z całą bezczelnością żebraka odsłonić swe wrzody, i wołać: daj mi pan jałmużny, wesprzyj mnie. Pan, jako człowiek dobroczynny, byłbyś mi rzucił grosz, czy dobrą radę za grosz, a wrzód pozostałby wrzodem... Ot, i pociecha przyjacielska.

Poczeiwy doktor spróbował dalej mówić i został obłany takim potokiem goryczy, iż wyszedł

obrażony i przelękły. Jadwiga znowu sama została.

Nakazała służącej, by wszystkim gościom wzbrowiła wstępu — z powodu choroby i zamknęła się, jak ongi po przybyciu do Lipnik. Tylko że wówczas było w niej oszołomienie bezprzytomne, bez świadomości, a teraz rozumowała i analizowała się z możliwą dokładnością.

O jednej prawie godzinie stanął był przed nią Teofil i Kazimierz. Pierwszy — usunął się teraz... cieniem był tylko. Nie czuła gorętszego uderzenia serca, ani zainteresowania się na jego wspomnienie. Widziała go w reminiscencyach jakby w mogile. Leżał — trupem. Ciało jego blade, na nim wieńce pochwalne, ale sam nie błysnie okiem, nie przemówi. Widziała go ze ściśnieniem serca i gdy chciała, mogła oczy od niego odwrócić... teraz... gdy już po niej przeszła burza, Kazimierz wtargnął. Nazywał się jej mężem, ojcem jej dzieci, a był tak spodlony, że żadna cena nie była za wysoką, aby się na przyszłość od niego uwolnić i dzieci wyzwolić z pod zależności od niego. Zażądał ofiary pieniężnej... potem gwałtem ją wyrwał, groźbą straszliwą... dobrze! Wielkiej obawy o przyszłość Jadwiga wówczas nie czuła. Zapłaci ostatni haracz mojemu zwierchnikowi — postanowiła — i wykupię się. Zmniejszone dochody

pokryję z własnej pracy. Tak jest! Będę pracować z igłą w ręku, albo — co jeszcze lepiej — zdam egzamin na nauczycielkę... czuję się na siłach do zdobycia tego stanowiska jak setki innych, którym ślepy traf lub przywilej urodzenia nie ściele drogi życia dukatami...

Tak rozważała, a może cokolwiek inaczej. Może wiadomość o pobycie Teofila tuż w pobliżu silniej wstrząsnęła jej uczuciami, żywszą wywołała asocjacyą obrazów i myśli — ona wówczas sprawdzić nie mogła, odurzona przybyciem Kazimierza. Może gorączkowa chęć uwolnienia się od niego była w związku z obecnością Teofila... ona sprawy zdać sobie nie mogła, wśród natłoku wrażeń, uczyć, interesów. Wszystkie splotły się, jak promienie jednej gwiazdy, a tą była świta-jąca zdaleka zorza wolności.

Teraz zgasła nagle.

Jadwigą katastrofa wstrząsnęła do szpiku kości.

Niedawno temu swobodna, zadowolona, na drodze, oblanej smugami słońca. — teraz wrzucona do lochu ciemnego. Niedawno temu przedła pasmo idei i planów i prac tak pięknych — teraz stargane one, zdeptane. I przez kogo? Przez męża. Przy pomocy takiej podłości, o jakiej ona pojęcia dotąd nie miała. I on nie wypuści jej

z tego więzienia, nie pozwoli nawiązać przerwanej nici. W więzieniu musi wykonywać tę robotę, którą rządcza-los do rąk wtyka. A na jak długo? Bez przerwy, bez kresu, bez nadziei...

Świadomość nieodwołalnej egzekucyi odbiera nieraz przytomność i życie skazańcom. I Jadwiga była w takim położeniu. Resztki władz umysłowych, które posiadała, nie próbowały nawet buntować się, rękę podnosić przeciw zaszłym faktom. Wiedziała, że murów nie przebije, oków nie przgryzie. Owszem, nie ma nic boleśniejszego w niedoli nad wspomnienia o dniach szczęścia — powtarzał jej do ucha poeta — i nie ma nic zgubniejszego, niż oddawanie się próżnym złudom i kombinacyom. Zresztą, i one nawet na myśl jej nie przychodzą. Co mogłaby począć? Ścigać Kazimierza? Absolutnie nie. Rzucić się znowu w objęcia świata? Siły do ruchu nie ma. Nerwy — uczucia ma zniszczone, a brak krwi, pieniędzy, wycieńczył ją, uczynił kompletnie bezwładną.

— ...Trzeba to odwetować! — myśli Jadwiga w pewnych chwilach. Sto razy powtórzyła sobie to życzenie i nie mogła wykonać; nakoniec zdobyła się na energią, poszła do Michalczuka, i wróciła złamaną, jak ruina.

Ostała się bierna, bezczynna, zmartwiała. Ale

świat na nią działał. Wołał na nią codziennie: pieniądze, pieniądze, pieniądze!

...Skąd wezmę? — dumiała Jadwiga. — Zużyję ostatnie zapasy i stanę wobec wampira-głodu.

Pozostała ,przecie jakaś gałęź pracy. Przygotować się na przyszłość, zapobiedz, zapewnić sobie stanowisko nauczycielki... jak tyle innych kobiet...

... Trzeba zabrać się do pracy! — zdecydowała; postanowiła pójść do księgarni i wyszukać kilka książek. Przez cztery dni powtarzała sobie: «trzeba... pójdę...» i nie wychodziła z domu. Nie była w stanie wyjść, ani napisać słów kilka. Ręka jakby jej drętwiała. Trzymała pióro, maczała kilkakrotnie, i znowu zawisa nad papierem.

— Co się ze mną stało! — wzdrygała się wówczas. Maczała znowu pióro, robiła ruch ręką, zakrętas w powietrzu, i znowu podpierała nią schyloną głowę, w której myśl o liście topniała, znikiała w powodzi majaczeń, wahań, rojeń nieskończonych. Rodzaj paraliżu, czy letargu woli padł na nią.

— Dziecinnieję... dziecinnieję! — myślała z rozpaczą. Potem wpadała w obojętność, w zwykłe odrętwienie. Tylko za każdym razem, jak na po-

trzeby domu większą musiała wyjąć sumę, chwyciła się myśla tego bodźca, i medytowała:

— Jakżeż... i nie zdobędę się na czyn?

Po upływie kilku tygodni druga w niej osoba, ta, co analizowała i rozkazywała bezskutecznie, wybuchła rozpaczliwie:

— Nędzna jesteś, podła jesteś! Z załamaniem rękami poddajesz się prądowi, zamykasz się w żalu, w bólu egoistycznym, a nic dla dzieci nie robisz... To podłość!

Słyszała te słowa Jadwiga, czuła ich chłostę i tarzała się w boleściach, nie mogąc powstać z tego łóża...





VIII.

Doktorowa, jedyna osoba, która do niej przystęp miała, przyszła w ostatnich dniach marca z wizytą poobiednią.

— Pani droga! — powiada. — Ale dzisiaj zrobisz już wyjątek ze swojej reguły klasztornej i pójdiesz ze mną do kasyna.

Jadwiga wstrząsnęła głową.

— Nie, nie mam ochoty.

— Będiesz pani miała doskonałą rozrywkę. Dziś odczyt doktora Zahradnika.

— Zahradnika? — wykrzyknęła, z niebywałą oddawna żywością. — Kto pani powiedział? co za odczyt?

— No, od męża wiem, który jest członkiem kasyna. Dr. Zahradnik będzie czytał na dochód

biednych uczniów tutejszego gimnazjum... Ale co? zaraz pani powiem. Aha! »O najnowszych kierunkach w literaturze polskiej.«

Zahradnik — o najnowszych kierunkach...

Jak gdyby ktoś chmury z mózgu jej spędził, tak na chwilę zrobiło jej się jasno i swobodnie. Te dwa nagłówki przeszły po niej silnym powiewem, oczyściły atmosferę, po której zaraz nowe prądy zaczęły krążyć.

Zahradnik — o najnowszych kierunkach...

— Pójdę, pójdę... — wyrzekła, przechadzając się po pokoju, a po żółtawej jej twarzy przechodziły mimowolne uśmiechy, to słabe rumieńce.

— Zobaczy się pani ze znajomymi... Piec tam chyba rozwałą dla tak dawno niewidzianego gościa. Dziwna z pani kobieta, przez półtora miesiąca jakbyś zapomniała, że żyjemy w Lipnikach.

— I coby mnie mogło tu interesować, powiedz pani?

— Istotnie... co? doprawdy nie mogłabym powiedzieć. Wie pani, profesor ze swoją panią Justyną wyprowadził się... został stąd przeniesiony.

— Na litość, tylko o nich nie mów mi pani.

— Kiedy bo... jak Boga kocham, nie więcej przez sześć tygodni u nas nie zaszło ciekawego.

Odbył się bal — ale to pani nie zajmuje... Zre-sztą, nie więcej...

— Widzi pani, co to życie na prowincyi. We wielkiem mieście człowiek rośnie, rozwija się, tu jak w słoju ogórek kisi się... Może dr. Zahradnik wznieci trochę ruchu.

— Ale, ale... jak pani chcesz pójść między tych ludzi, muszę powiedzieć, co za potworne plotki ci opowiadają sobie o pani.

— Nie ciekawam.

— Dziwna z pani kobieta. Inna wyczułaby mnie za otwartość. O jedno mimo to zapytam. Michalczukowa, żona tego krawca, trąbi wszędzie żeś pani była u jej męża, i prosiła o robotę..

— To prawda.

— Taak?

Pocziwa doktorowa wyglądała komicznie w osłupieniu, twarz jej rozszerwiła się, potem przybrała wyraz niepoahowanego gniewu.

— Ach! — wykrzyknęła. — Do tego Michalczuka chodziłaś pani, a przed nami milczałaś? Taka w pani szczerłość? Kłopoty, interesa, a pani gryziesz się, mordujesz i upokarzasz, a nam ani słowa? Fe, wstydz się pani.

Była niezmiernie zirytowana. Dawniej już przybierała wobec Jadwigi ton macierzyński, teraz

jednak była rozgniewana w najwyższym stopniu, aż trzęsa się całym otyłym korpusem.

— A pani wybrałaś się z kazaniem wówczas, kiedy mnie już znacznie lepiej! — zauważyła Jadwiga, na tyle zmieniona, iż uśmiechnęła się na widok wzburzenia poczciwej konsyliarzowej, i uścisnęła jej obie ręce. — Mam nadzieję, że nie będę potrzebowała niczyjej pomocy, a lubię na własnych stać nogach. No, przeszła bieda — zapomnijmy o niej. A wieczorem na odczyt!

— Pójdę już, pójdę, ale dalibóg, pani nie wartaś...

Zostawszy samą odetchnęła Jadwiga z uczuciem niewymownej ulgi i lekkości. Po głowie jej wciąż snuła się myśl:

— On będzie wykladał.

Kamienie, co ją dotąd przytłaczały, ulotniły się.

— On...

Stał przed oczyma, dostrzegła go mówiącego, to jest w tej pozie, jaką najczęściej wybierał w jej marzeniach, prostującego dumnie swą postać, strzelającego gromami, rakietami.. Znowu stał przed nią, a tak jasny, świetlanym otoczony kręgiem, że otworzyła szeroko oczy, zamknięte dotąd letargicznie.

— On będzie...

Elastycznym krokiem weszła do sypialni i o rzeźwiła całe ciało zimną wodą. Nieznana przyjemność przenikła zbolące jej ciało. Rozpuściła włosy, przysunęła zwierciadło, i cofnęła się ze strachu.

Co za piętna wycisnęły na niej ostatnie tygodnie! Z twarzy jakby krew wyssały, wygryzły blask oczu, a rzuciły na czoło sieć bruzd, na wargi wyraz zniechęcenia i goryczy. Siwe pasma na głowie rozszerzyły się, jaśniały.

Bolesny uśmiech padł na jej twarz.

— Ciekawam, jakie ślady życie na nim zostawiło? Blisko dziewięć lat temu... dziewięć lat, a pamiętam, jak gdyby to było wczoraj. Długie, bujne włosy, kapelusz o szerokich skrzydłach artystycznych, dużo, dużo było w nim jeszcze romantyzmu, w tym zapale, w poglądach, zabarwiających poezją nawet matematykę. Teraz byłabym zapewne obojętną przy jego prelekcji, nie mogłabym się tak gorączkować, wpadać w egzaltację, ja...

Tu uczuła jakby gorycz, sączącą się ze wszystkich ran, jakie odebrała z życia.

...Egzaltacja, gorączka? One mają nas wznośić ponad brudy życia, w sferę ideałów i wyższych aspiracyj... Oh, poco budzą się tęsknoty i pragnienia, kiedy ich nigdy nie można zaspakajać?

Poco otwierają się nam oczy, kiedy nogi spętane nie dościgną nigdy celu ich dążeń, a duch rwie się... rwie... poto chyba, by się krwawił o żelazo klatki, i ziemię krwią nasycił, i soków dostarczał dla wegetacyi zielsk, któremi bydłęta się karmiła... W tem cała egzystencya. Pan Teofil byłby się oburzał... bardzo... Filozoficznie byłby dowodził, że przyroda nie zna celowości, że procesy elementarne odbywają się bez sankcyi etycznej. My, jednostki, potrzebujemy celu, kierujemy się eytką, i po to, aby kresem naszym było... odżywianie trzód...

Zacznie on tu działać — poco? dla kogo? Język komornikowej stracił oś swą, panią Justynę, i będzie się obracać wokoło niego, adjunktowa, w której są jakieś ucywilizowańsze popędy, zarzuci sport balowy i będzie przez kilka miesięcy czytywać najnowsze romanse. A jeżeli kto uświadomi się, uczuje, że jest w okowach — tem gorzej dla niego. *Sclavus saltans* był szczęśliwy, poco, poco chcą mu to trochę szczęścia odebrać? Cóż dadzą mu w zamian?

Tak dumiała Jadwiga, a posępne myśli zaczęły ją znowu nurtować, mimo to nie przegryzły nici, nawiązanych przed kwadranssem ze światem. Dzieci, wróciwszy ze spaceru, nie poznały mamy. Wyszła naprzeciw w popielatej, wieczorkowej sukni,

z włosami, ujętemi koralowym grzebieniem w gruby węzeł; rozmowna, uśmiechnięta porwała Stefkę na ręce.

— Mamo, mamó! — wołał Oleś rozpromieniony — Na dworze już wiosna się robi, w ogrodzie wiosna! Patrzaj mamó, już kwiaty mamy świeże...

Wzięła pierwsze kwiecie, z pod śniegowej powłoki wytryśle, uśmiechnęła się mimowoli do niego i zatknęła w stanik.

— Wiosna, wiosna! — mówiła, usiadłszy z niemi na sofie. — I będzie nam znowu dobrze i wesoło. Słońce, wielkie, złote, gorące słońce wejdzie... Będziemy znowu bawić się razem, długie spacerować...

Oleś klaskał w rączki, zachwycony. Usiedli do herbaty z niewidzianą tu oddawna swobodą i wesołością.

— A Franek zrobił już kołyskę twojej lalce? — zapytała Stefkę.

— Dawno już mi przecie zrobił! — odrzekła mała, zdziwiona tą rażąco ignorancyą mamy. Przyniosła, pochwaliła się i wzięła długą dyskusyą o lalce, zakończoną jednogłośnie przyjętym wnioskiem, iż należałoby uszyć jej kilka koszul i suknię balową jedwabną.

— A ty, Olu — mówiła Jadwiga — zaczniesz mi się pilniej uczyć. Wiesz, w tym miesiącu

kończysz siódmy rok życia. Duży już z ciebie chłopak... — Poglaskała go po główce, roztkliwiła się, podziwiając proporcjonalny jego wzrost, rumianą twarzyczkę i modre, inteligentne oczy. — Słuchaj, Olesiu, jak się nauczysz tabliczki mnożenia do pięćdziesięciu, to w lecie, przed wakacjami, zdasz egzamin i potem zapiszę cię odrazu do pierwszej klasy.

— I nie będę s z t u b a k i e m, mamó? — zapytał z niewymowną radością.

Ten objaw ambicyi i Jadwigę w dumę wprawił. Jak za dawnych czasów rozweseliła się, zabawiała, zaczęła pieścić się z dziećmi. Nie były to już maleństwa; dorosły, przedwcześnie rozwinięty Oleś, ze swą nienasyconą żądzą do nauki, aby mózdz czytać te wszystkie piękne historye, które mama umie; ta Stefcia, delikatna i trochę chorowita, zapowiadająca naturę czułą, wytworną, a za lat dziewięć — dorosła panna... toż to jej dzieci, na własnych rękach wychowane, własnem sercem wykarmione...

Wzruszenie, radosne, błogie wzruszenie rozjaśniło znowu twarz matki.

Za dwie godziny nadeszła doktorowa.

— Idziemy więc...

Jadwiga atoli w innem już była usposobieniu.

Rozdrażniona, posepna, spłotła ręce na piersiach i padła na fotel.

— Nie wiem, może nie pójdę.

— Jakto? za kwadrans początek, a pani jeszcze nie zdecydowana...

Jadwiga nie odpowiadała.

— Doprawdy, że pani nie poznaję. Co się z panią stało, co się stało!.. Boże mój! Prowadziłaś pani dom cały, dawałaś sobie radę na świecie, jak mężczyzna, a teraz najmniejsza bagatela...

— Rzeczywiście — potwierdziła Jadwiga. — Nie wiem sama... taka drobnostka...

Drobnostka ta, która niedawno taki przewrót w jej nastroju psychicznym sprawiła, urosła potem w duszy do wielkich rozmiarów. Każda minuta, zbliżająca ją do siódmej, przyprawiała Jadwigę o coraz silniejsze bicie serca, to sprowadzała gorące prądy na twarz. Ogarniał ją niepokój, z każdym kwadransiem większy. Niepokój ten rósł i napełnił ją wzruszeniem, trwogą, jakby zbliżał się jakiś fakt ważny, zajście, o doniosłości decydującego przełomu. Uczucie, a może przecucie niejasne, bezkształtne, ale groźne, poniekąd wrogie, ogarnęło ją, wprawilo całą w drżenie, spętało wszystkie władze umysłowe. Pragnęła pójść, zobaczyć, usłyszeć, i wyrzekła:

— Nie pójdę.

Doktorowa, doprawdy rozgniewana, wybiegła z pokoju.

— Nie powinnam pójść — dodała Jadwiga, dla wytłómaczenia się z tego, co ją w głębi duszy ciągnęło z nieprzepartą siłą. — Stary... znajomy, trzeba będzie odnowić stosunki, zaprosić, mówić... a jam do tego niezdolna.

...On wcząłby mowę o dawnych czasach, i jakkolwiekby ją wspomniał, dobrze, czy źle — ja nie mogłabym mu wtórować. A wspomniałby z pewnością źle... Tak ciężka krzywda mu się stała! Zapewnie na mnie rozżalony, rozgorzoczony... W jak smutnych warunkach my się rozstali... Ojciec wypowiedział mu lekcję, jakby służącemu, on odszedł w mniemaniu, że ja o tem wiem, że to z mojej inspiracyi... Uważa mnie za niewdzięczną i dlatego unika mnie, choć wie zapewne, że ja tu bawię...

Poraz pierwszy takie myśli przeplęły w jej wyobraźni.

— Pójdę, pójdę! — wyrzekła na głos, i wzięła kapelusz. — Należy mu się to odemnie.

— Co mu się należy? — zapytała się, porwana falą kontemplacyi. — Przeprosiny, względy? Mam mu się teraz odwdzięczyć za naukę, za serdeczność, za ducha, co wlał we mnie? Czy aby

pamięta o mnie? A jeśli pamięta? Mnie zaliczano do sfer, które nazywał «hierarchią społeczną», a on był biednym studentem i dumnym, oh, dumnym i pięknym w poczuciu swej godności, wielkim w planach uszlachetnienia i wydzwignięcia tych warstw, z których sam pochodził... Konflikt naturalny, a jam nic nie czyniła dla usunięcia go, palcem nie ruszyłam, aż ojciec...

Z kapeluszem w rękę usiadła, z oczyma w si-
nawą dał skierowanemi, owładnięta czarem marzeń.

Usta poruszyły jej się z bezmiernym bolem.

— On pozostał może w przekonaniu, że go odepchnęła, a ja... jam go kochała!

Usłyszała, przestraszyła się dźwięku słów własnych. Odrzuciła kapelusz, potarła czoło zbladłe.

— A teraz w kajdanach!

Jakby ją one w tej chwili silniej przygniotły, niż zwykle, padła na fotel, a fala marzeń pociągnęła ją dalej.

— Co by to było za życie z takim człowiekiem, przy jego boku, przy wspólnej pracy...

Nagle wzdrygnęła się, uśmiech sarkastyczny wykrzywił jej usta. To przebywające w niej drugie «ja», które z miarką i ważką czuwało, gdy w niej myśl pracowała, roześmiało się głosem, podobnym do zgrzytu.

— Tobie marzyć, tobie tęsknić? Szesnastoletnia panienko... ha, ha, ha!

Rzeczywistość z całą siłą zadzwoniła okowami.

— Dość, dość już! — zawołała na siebie młoda kobieta. — Jam się przeżyła, skończyła swoje rachunki ze światem... I mnie rojenia, złudy...

Zamknęła kapelusz, opasała się wielkim kuchennym fartuchem.

— Ot, moja przyszłość, królestwo moje...

Za kwadrans siedziała przy stole z dziećmi nad kolacją, składającą się z kaszki na mleku. Od dwóch miesięcy usunęła mięsną kolację, omasnę nawet ograniczyła do minimum, a w ostatnich dniach gotowała sama, bo jedyna służąca prała, a pomocnicy nie przyjęła. Oszczędne jej życie graniczyło z ubóstwem.

Siedziała przy stole, zachęcając do jedzenia dzieci, które wielkiego apetytu nie miały do strawy, powtarzającej się zbyt często. Zamiast zwrócić na to uwagę, była ona myślą dalej... pobiegła hen... do sali kasynowej. Widziała go na katedrze, obsypanego setkami spojrzeń, szmerów podziwienia, oklaskami. Ona, co tak nisko stała «inteligencją» miejscową, teraz czuła za-

dowolenie, że płaskie te charaktery i ograniczone głowy podziwiają Teofila.

...Inaczej przecie być nie może...

Pograżyła się w myślach i rozpamiętywaniach, gdy konsyliarzowa znowu do niej wpadła.

Dzieci już spały, było po dziewiątej. Doktorowa wstępowała nieraz tak późno, przechodząc obok do swego o kilkanaście domów wyżej położonego mieszkania.

Zacierала ręce ze wzburzenia czy z chłodu wieczornego, i mówiła prędko :

— Żałuj pani, żeś tam nie była. Doprawdy, to grzech — stracić tak miłą rozrywkę... Wybornieśmy się zabawili...

— I cóż było? — zapytała Jadwiga z nerwowem drżeniem.

— Byli prawie wszyscy znajomi, i — wyobraź sobie pani — była komornikowa z córkami a przy nich znowu pan Adam... Zapomniała o całym skandalu, aby tylko zięcia złowić. To hańba doprawdy. Sama pierwiej najgłośniej na niego krzyczała, teraz, jakby nic nie zaszło...

Jadwiga zatkała uszy.

— Pani droga, czemu prześladowacie mnie wciąż temi brudnymi historyjami? O odczyt pytam.

— Odczyt niezły, ba, bardzo nawet ciekawy. Wyobraź pani sobie — niemłody, wysoki szatyn...

dość nawet przystojny, ale w zwykłym surducie! bez rękawiczek...! Panie nasze się ogromnie irytowały tym brakiem wychowania. Ale jak zaczął mówić, powiadam pani, mówił! Nawet ojciec Faustyn w kącie przed nim...

— Więc tak bardzo się spodobał?

— On? jak komu... Był sztywny, nadęty, jak profesor między studentami. A i odczyt nie bardzo się podobał...

— Cóż więc?

— Czy ja wiem? Coś tak... głos ma przesłizwany i mówił z pamięci, zapalając się powoli... Gdy mówił — tośmy wszystkie musiały wlepić węgielki, jak w obraz, potem dopiero, gdy przestał, a my sobie przypominały, co za herezje wygadawał...

— Herezje?

— Wyobraź pani sobie, jemu «Ogniem i Mieczem» się nie podoba, «Ogniem i Mieczem»! Powiada, że to powieść fantastyczna, imaginacyjna, kosztem prawdy realnej... że jest apoteozą szlachty, możnowładztwa, fałszowaniem historii na szkodę Rusinów i biednego ludu, i tak dalej.

— Co dalej?

— Trudno nawet spamiętać wszystko. Mówił, że entuzjazm, jaki powieść wywołała, świadczy źle

o naszym społeczeństwie, świadczy, żeśmy nie demokraci, że nie myślimy o polityce praktycznej, a zabawiamy się bajkami i romantyzmem szlacheckim... Bóg raczy wiedzieć, co tam jeszcze... Moja pani, skąd to do «Ogniem i Mieczem»? Ni przypiął, ni przyłatał...

Jadwiga już reszty nie potrzebowała. Poznała go, poznała! Zawsze tensam! I idee niezmiennie w nim, szlachetne, wielkie. Co ją najwięcej cieszyło, to fakt że zgadzały się one najzupełniej ze zdaniem o niedawno wyszłej powieści Sienkiewicza, jakie ona sama sobie wyrobiła.

— Jemu zawdzięczam wczątek tych teoryj! — pomyślała z rozkoszą i oczu zamknąć długo w nocy nie mogła. Nie cierpiała jednak, nie dręczyły jej straszne widziadła. Owinęła się jak bluszcza naokoło postaci, skreślonej przez doktorową.

— Niemłody, szatyn, zaniedbany, sztywny... życie jego zatem nie wesołe, nie szczęśliwe... Przy swoim talencie, przy swej szlachetności, no, to kwalifikuje go właśnie na kopciuszka losu w Galicyi. Nie ocenili go, jak i wielu innych. A jednak...

...Sentymentalną się staję! Wnioskuje z kilku powierzchownych spostrzeżeń doktorowej. Że jest profesorem gimnazjalnym i poważnie paniom tu-

tejszym się prezentuje, to jeszcze nie dowód, że nieszczęśliwy. Nie był i wówczas ambitny, pragnął mieć szczęście w sobie, w sumieniu, w miłości... A może je posiada... Może wrócił z odczytu prowadząc pod dach żonę... która go kocha i uszczęśliwia... I dumna jest z niego, oh, dumna! Może... Ah, błąkam się w przypuszczeniach dziecinnych... Siedzi teraz samotny, w posępnym pokoju, mając za towarzystwo — księgi, za przyjaciół — idee. I nie zna radości, rozkoszy, bytu...

Myśl, raz popchnięta, potoczyła się dalej i głębiej. Spoczęła na dawno upłynionych chwilach wspólnego pobytu, łowiła ledwie dosłyszalne echa serca, z których powoli wysunął się dźwięk :

— A może... kochał on ciebie?...

Prądem elektrycznym wstrząśnięta, rzuciła się Jadwiga.

— Co się ze mną dzieje! — zawołała, przyciskając rękę do gwałtownie falującej piersi. — Ja... mężatka... matka, ja, kajdaniarka, w marzenia się bawię, w kombinacye miłosne... Ja, co dwoje dzieci mam ratować z grożącej toni — pensyonarką się staję! Ja! Śmieszne to, gdyby nie świadczyło, jakiemu zwyrodnieniu moralnemu ulegam... jak nisko stoję.

Zaczęła chłostać się, biczować. Potem, by my-

śli odwrócić, zajęła się kwestyą swej nauki do egzaminu, i doznawała dziwnej rażności i trzeźwości w rozumowaniu. Na krótko — myśli jej pogmatwały się, oczy przymknęły, a uśmiech nieświadomy siebie rozlał się po obliczu.





IX

Rozmarzyła się.

...Bujała w przestworzu bezmiernem. Otaczały ją łagodnie rozkołysane fale powietrza. Fale, jaśniejące barwami tęczy, woniejące wszystkimi zapachami wiosny. Ona płynie na ich grzbiecie, płynie z ich prądem.

...Sen to czy marzenie? Nie, rzeczywistość! Tak miękko, tak słodko, tak czarownie... Odbiła nareszcie od brzegu! Widać go jeszcze z oddali: czarny, groźny, najeżony skałami. Ah, jakto dobrze, co za szczęście. Nie będzie już darła swego ciała o te skały... Płynie w dal spokojnie, w sercu czuje ulgę, błogość niewymowną, a nad sobą blaski i promienie, jakby słońce dyamentami swemi ją obrzucało.

...Sen to, czy marzenie? Nie, rzeczywistość! Unosi się na falach, jakby jej skrzydeł przybyło, wyciąga ręce, aby skąpać je w tych blaskach. Uczuwa na nich namiętny, gorący pocałunek. Do jej ucha zbliżają się usta z szeptem jakby najśłodszej muzyki... Dalej — dalej — droga moja! to ja jestem z tobą. Odplyńmy od tego brzegu, nawet od wspomnień czarnych. Wylądujemy na ziemi nowej, wolnej i tam na zawsze... razem... w szczęściu, w szczęściu żyć będziemy...!

... Sen to, czy marzenie? Nie, rzeczywistość! Teofil! Odrzucił precz wiosło, padł przed nią na kolana. Ją szal porywa, szal wesela, uczuć rozplamionych. Wyciąga ręce, topi je w splotach włosów jego, opasuje szyję oburącz, przytula się do piersi jego, zawisa... Źródła miłości przez tyle lat tłumione, wezbrały rozkoszą, zakipiały namiętnością, wybuchły...

— Teofilu mój! — zdołała zaledwie wyszeptać. — Mój ty, mój ..

...Czy to sen, czy marzenie?

Nie już. Zerwała się właśnie. Noc wokoło głucha, tuż obok stoi łóżeczko Stefki.

— Nędzna, nędzna! — zaczęła Jadwiga.

Czuła gorące rumieńce na twarzy, dreszcze po ciele, dreszcze miłości i szczęścia.

— Nędzna, nędzna! — wołała, gryząc palce i łzy lejąc. — Nędzna...

Jak gryzła palce, tak mogłaby, pragnęłaby ciało swoje szarpać. Ono faluje jeszcze całe, w uszach słyszy szum bezustanny, jakby echo z pluskania wioseł, to znowu dziwną harmonią słów i tonów słodkich... I to ona... mężatka, matka, kajdaniarka! Żyła dotąd po to tylko, aby człowiek brał w niej górę nad zwierzęciem. Teraz zwierzę znowu wzięło górę... zwierzę w niej!

Wstała rano znużona, złamana. Żrenice jej zapalały się co chwila namiętnie, rumieniec przepływał po twarzy, to chodziła znowu zgięta, z ramionami obwisłymi, zawstydzona przed odbłaskiem zwierciadła, pokorna.

— Pracy, pracy mi potrzeba! — wołała na się, jak otruty o antidotum.

Dziwny stan oscylacyi ducha nastąpił w niej obecnie. Po zdrętwieniu moralnem następowały godziny silnych porywów uczucia, tętniącego w niej gwałtownie, potem natłok wyrzutów, skarg i żalów. Pobudliwość jej zwiększała się znowu, ale nie ustępował brak woli. Jak wahadło wibrowała w chaosie. Plany przeróżne, ruch, praca — walka sumienia, rozpacz czarna, załamująca ręce bezczynnie, oto, co się ważyło w niej, plątało jej

myśli, zatruwało dnie i noce, zaciemniało przyszłość.

— ...Marna, niegodna ze mnie istota! — konkludowała Jadwiga. — Tygodnie upływają, potrzeby rosną, Olesia do szkoły trzeba będzie zapisać, a ja się bawię... jakoby cień Hamleta padł na mnie... bawię się, puszczam wodze chorobliwej wyobraźni...

Tu traciła wątek kazania i wpadała znowu w wir fantazyi.

Prędko jednak wahadło zostało popchnięte w stronę czynu — przez pana Michalczuka. Najniespodzianie zjawił się z miną uprzedzającej grzeczności.

— Jeżeli pani sobie i teraz życzy -- wyrzekł — to chętnie dam pani robotę.

— Dobrze, i owszem. A pod jakimi warunkami?

— Jak pani sama wówczas proponowała. Dam pani trzy czwarte zapłaty i tyle roboty, ile pani tylko zechce. I jak pani pozwoli: czy mam tu przysyłać starszą pannę, czy się pani sama będzie fatygować?

Opuścił mieszkanie z eleganckim ukłonem, zostawiwszy Jadwigę w największem zdumieniu. Darmo łamała sobie głowę nad ewentualnymi przyczynami rażącej tej zmiany. Co mogło ją spo-

wodować? Sama żadnego nie robiła kroku, a nie przeczuwała, by kto wywarł presyą na krawca. A uprzedzająca grzeczność i świetne warunki — skąd? Musi w tem głębszy być motyw, może obca ręka, w każdym razie czynnik, którego ona nie zna, a który i majster ukrywał w jaskających się odpowiedziach o nawale roboty pod wiosnę, o tem, że mu wszystko jedno, kto robi, byle dobrze, itd.

— Zresztą powiem szczerze — wyrzekł raz. — Ja spodziewam się czegoś więcej po pani, niż po zwykłej... Pani jesteś edukowana, znasz świat arystokratyczny, salony, więc ma pani gust, elegancją...

Ladwiga z bolesnym uśmiechem przyjęła to oświadczenie. Dodała w duchu, iż majster robi sobie nią reklamę i nie spytała o nic więcej. Zajął się robotą, która była trudniejszą, niż przypuszczała.

Istotnie, w państwie mody i sztuczek toaletowych była jakby obcą. Wyprawę i suknie w pierwszym czasie małżeństwa sprowadzała z Wiednia lub z pierwszych magazynów lwowskich, a nie miała nigdy cierpliwości i talentu do studyów stroju, wymyślonych po to, by w stanie cywilizacji fałszowały ciało, jak edukacja fałszuje ducha. Szyć umiała, pobierała też naukę kroju, w ostatnich latach wykonywała sama wszystkie ubiorki

dziecięce, ale od amatorstwa do rzemiosła — daleko. Obecnie amatorstwo zamieniło się w mus, miała nad sobą pryncypała...

Jak dziwnie to życie się składa. — Ona... pła-tną robotnicą, podległą panu Michalczukowi. Młodość — wychowanie — pozycja socyalna — wykształcenie — wszystko to należy do przeszłości, wszystko to zagłuszała turkotem maszyny do szycia, zakrywała różnorodną materyą i formami, przygniatała rozpalonemi żelazkami. Salonik przeobraziła w warsztat, i powiedziała sobie:

— Co to za szczęście, zem dostała zajęcie...

«Szczęście» to absorbowało ją przez dzień cały; więcej, kradło kilka godzin nocy, wypełniało cały umysł. Robiła z natężeniem uwagi i przekonywała się, iż tajemnice toalety są jej nieznane. Każdy haft, każdy fałd osobne ukrywał dla niej kłopoty; każda suknia ulegała kilkakrotnej przeróbce. Ślęczała więc Jadwiga, robiła doświadczenia, próby, do późna w nocy kłuła sobie palce, zagłębiała się w mądrość żurnalu i padając na łóżko szeptała:

— Jakto szczęśliwie się złożyło...

Wstawała z brzaskiem, by w kuchni ustawić porządek dzienny, i ze swej strony przyczynić się do jego wypełnienia. Potem wstawały dzieci a z niemi — jej zgryzoty. Nie mogła już być

przy ich ubieraniu się, myć je, doglądać, a i w dzień rozmawiała z niemi, mając wzrok wlepiony w materią. Stefka klaskała w pierwszych dniach w ręce, warsztat był sensacyjną nowością, ożywiał dom cały, dostarczał paradnych resztek na wyprawę ślubne dla lalki, ale Jadwigę trwoga ogarniała nieraz na widok gotującej się przyszłości. Jakto? Więc od dziś dnia nie należy już do dzieci? Więc moloch roboty rzemieślniczej pochłania już ją całą — na zawsze?

Wzdrygała się na myśl tę; zahukała ją brzękiem nożyc, klekotem maszyny, a otrzymawszy pierwszą dziesiątkę, uśmiechnęła się radością i dumą. Toż to pierwszy grosz przez nią zarobiony; pierwszy — co ją łączył ze światem pracowników, a nietylko zjadaczy chleba.

Fakt ten wywołał ciekawe asocjacje idei w jej mózgu. Zastanawiała się nad swem położeniem i — przyzwyczajona w ostatnich czasach do poważnych refleksyj — odnosiła je do kwestyj ogólnych, wiązała swój odosobniony wypadek, uważany jako pojedyncze ogniwo, z wielkim łańcuchem zagadnień społecznych; w danym wypadku — z kwestyą kobiecą. Odróżniała w swem życiu dwie fazy. Pierwszą — gdy musiała walczyć z mężem; drugą, gdy zaczęła walczyć o chleb. W pierwszej chodziło jej o dobro idealne;

dobro to jest rozumianem i odczucem przez mniejszość kobiet, a i ta, choćby posiadała szlachetne serca, inteligencją i wysoką wartość, jest jurydycznie podległą mężczyźnie, bodaj najpodlejszemu. Dzieje się tu gwałt barbarzyński, krzyżująca niesprawiedliwość, która okuwa i powoli zabija wiele cennych jednostek kobiecych. Siła woli, energia i zasób środków materyalnych może jednak choć w części oswobodzić kobietę z niewoli — kategorii pierwszej, ale w każdym razie znajduje się cały ten świat niewieści w okowach, w brutalnych, ciężkich okowach. Druga — jest natury uniwersalnej. Nie odnosi się już do poszczególnych dam, tylko do setek tysięcy kobiet, pozbawionych majątku i zmuszonych do zarabkowania. One podlegają nasamprzód takim Michalcukom, którzy z całym cynizmem żądają od nich trzynastu godzin pracy, i zabierają sobie trzy czwarte ich zarobku. One zaprzęgają się od pierwszej młodości do warsztatów, i karleją fizycznie i nie rozwijają się umysłowo-moralnie. Jako dziewczęta — nie znają młodości ni swobody; jako matki — odrywają się od ogniska rodzinnego, nie wychowują lub wychowują źle dzieci, przez co degenerują się całe generacje, a wszystko — dla pracowni; jako kobiety — są zerami w życiu cywilizacyjnym, metalowemi kółkami w maszynie,

którą pryncypał naciskiem nogi w ruch wprawia. A jeżeli taka kobieta pryncypała, warsztatu nie znajdzie — co się z nią stanie?

Myślała o tem Jadwiga w chwilach machinalnej pracy, i napełniała się coraz większą goryczą i żalem. Myślała o tem zresztą spokojnie, dopóki w sen kamienny nie wpadała. Jak w dzień letni nagle błyskawice, tak i po niej przelatywały idee, wspomnienia, tęsknoty, i znikwały — bez gromu. Dochodziła zawsze do konkluzji:

— Muszę być racjonalną, trzeźwą... Nie należę do świata, niczego nie spodziewam się od niego. Matką jestem, robotnicą jestem... Precz z ideologią!

I wierzyła, że natura da się uwięzić w tych formułkach.

W drugiej połowie maja robiła Jadwiga przy otwartych oknach. Wiosna, usypiona w zimie kochanka słońca, brała świat w rozkoszne swe objęcia, owiewała go miłosnym oddechem.

W południe przyszły dzieci ze ślicznymi bukiecikami fiołków.

— Patrzaj, mamó, patrzaj!

Matka skierowała ku nim zmęczoną głowę. Wchłonęła całą piersią słodką woń, krew uderzyła jej do twarzy.

— Więc wiosna już na świecie!

A ona zagrzebana... Chodzi po ulicy jak niewidoma, z ludźmi zerwała. Konsyliarz na nią obrażony; zaczął był do niej kiedyś serdeczną, poważną przemowę, a ona ją przecięła cierpkim oświadczeniem, że jego słowa — to frazeologia, że sama wie, co robi... Żałowała potem porywezości, ale cóż robić? Opowiedzieć — hańbę tego, który był ojcem jej dzieci? Wywołać u niego kiwanie głową, oznaczające najżywsze współczucie lub protekcyą? Z konsyliarżową chodziła od czasu do czasu na spacer, i wówczas była wpatrzona li w siebie, nie w świat zewnętrzny.

— Wiosna!

Uśmiech zbolwały, jak błysk słońca z za chmur, przeszedł po jej licach.

— To nam jeden pan dał te kwiatuszki, jeden piękny i bardzo dobry pan, co przychodzi do ogrodu i bardzo nas lubi..

Jadwiga weselej się uśmiechnęła. Wiedziała, że dzieci jej są prześliczne. Blisko sześćioletnia Stefka w białym płaszczku, z czarnemi lokami, z dołkami w białej buzi; Oleś wyrosły, żwawy, z modremi oczyma w pięknej twarzyczce, paplający dużo z tym naiwnym dowcipem, co za serce chwyta; oboje prowadząc się za ręce, bawiąc się wesoło, rozgłośnie, tryskając co chwila kaskadą śmiechu — jakżeż mogły się nie podobać? Ileż

to razy widziała Jadwiga spojrzenia dziesiątek ludzi ku malcom skierowane, ileż razy serce jej wzbierało szczęściem, gdy do nich, bawiących się zdala od niej w ogrodzie, podchodziła nieznaną osobą, patrzała im w oczy, podnosiła w górę, kwiaty wtykała im w kapelusiki, cukierki w rękę. Były to może jedyne chwile niezamąconego niczem szczęścia. Dziś — te kwiatki znowu roznamiętniły dumę i miłość macierzyńską, woń ich przenikła do serca.

-- Wiosna... — powtórzyła.

Czar przyrody zaczął na nią działać. W ostatnich czasach, gdy w całej pełni nietylko czuła, lecz i rozumiała głosy natury, była wrażliwa na nie, jak tafla kryształowego strumienia. Burza atmosferyczna marszczyła jej powierzchnię, słońce odbijało się w niej wspaniale, wiosna oplatywała ją girlandami kwieciami. W ostatnich czasach, gdy los rozbijał tę taflę pociskami, a na dnię zasiewał polipy i chwasty — straciła dawną czystość... lecz zupełnie zmaconą nie została. Teraz uśmiechnęła się łagodnie do słońca.

Przysunęła maszynę do okna, rzuciła rozjaśnionym wzrokiem pozdrowienie ożywiającym się drzewom i grządkom.

— Niech mama pozwoli szklanekę na fiołki — poprosił Oles.

— Dobrze, dziecko.

Bukieciki rozsypały się. Część pozostała w szklan-
ce; część poszła do salonów lalki, które Stefka
zaczęła stroić przy pomocy Olesia, zniżającego
się do tak poziomych zajęć pomimo swej godno-
ści naczelnego wodza wszech wojsk chrześcijań-
skich, sprzymierzonych przeciw niewiernym Tur-
kom; część, ujętą w wiązankę, przypięła Jadwiga
do stanika. Krew raźniej w niej pulsowała, łago-
dny wiatr rozwiął jej grzywkę na czole, w sadzie
ozwała się kukułka.

— Dzieci, dzieci! — zawołała matka. — Sły-
szycie? Kuku, kuku!

Nie mogła wytrzymać przy maszynie. Przybie-
gła do małych, usadowiła się obok nich, a Stefka
rozpromieniona ujęła ją za rękę i zaczęła opro-
wadzać po całym swym królestwie. Jej szczebiot
znowu ujął Jadwigę, zapomniała się, rozbawiła.

— Proszę pani! — ozwał się za nią głos
obcej dziewczyny. — Pan Michalczuk przysyła
guziki i prosi, by pani mantylkę koniecznie jutro
przysłała.

Zerwała się z zaciśniętymi usty, zgarbiła się
znowu nad maszyną. Turkotała przeszło godzinę,
obracając cienkie pasemko jedwabiu, zwróciła się
ku temu z całą uwagą. Nakoniec uczuła silny
ból w krzyżach, i piersi ją zabolowały. Wyprosto-

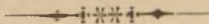
wała się, podniosła ręce w górę i wzrok jej padł na fiołki.

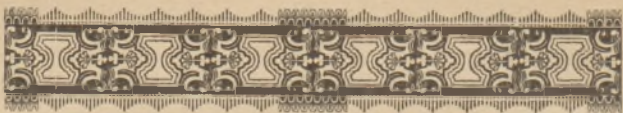
Uśmiech gorzki wybiegł na jej oblicze.

— Kwiaty, fiołki u mnie! Ha, ha, ha! U mnie...

Niewysłowiona gorycz rozlała się po niej. Odrzuciła precz bukiet, zdeptała go nogą, ale na większy czyn zdobyć się nie mogła. Gdy idea jaka rozpaliała ją, gdy obraz jaki stawał przed nią, opędziała się z trwogą... z trwogą chorego przed wiatrem, przed krokiem energicznym.

— Nie należę do świata, niczego nie spodziewam się od niego — powtarzała. — Precz z romantyzmem! Matką jestem, robotnicą...





X.

Wkrótce zaszedł wypadek, który prędzej czy później stać się musiał.

Spotkała się z Teofilem.

W sposób wcale nie romantyczny. Doktorowa zabrała ją do komorników, w dzień imienin pani domu. Nie widziała się z tą damą od pamiętnego przyjazdu Kazimierza i nie uczuwała też ku niej żywszej sympatii, ale i nie złego od niej nie doznała. Owszem, komornikowa była u niej dwa razy, choć służąca musiała jej wstępu odmówić.

Jadwiga była zobowiązana i poszła. Zastała wiele gości. Gospodyni w jedwabiach, panieneczki w gazie i tiulach, jak podczas wielkiej uroczystości, a przy pannie Joasi — błyszczący cwiekier i wąsiki sterczące... Obok panny Stasi —

drugi mężczyzna, z którego wzrokiem Jadwiga spotkała się, podchodząc ku solenizantce. Bo też twarz jego, okolona gęstymi, mickiewiczowskiemi falami włosów, o poważnem, inteligentnem wej-rzeniu i pełnej ciemnej brodzie — dziwnie odbijała od napudrowanej i lalkowatej twarzy trzy-mającej go w oblężeniu panny. Rozszerzył oczy na widok Jadwigi a ona przystanąła, bo musiała zaczerpnąć powietrza.

— Oh, kochany, rzadki gość! — zawołała ko-mornikowa na jej spotkanie.

Jadwiga wyszeptała kilka słów z powinszowa-niem.

— Droga pani! zbyt dużo łaski, doprawdy, zbyttnio... ale dziękuję, tysiąckrotnie dziękuję...

Tu nadstawiła oba policzki do pocałunków.

Jadwiga przywitała się z panienkami i sta-nęła przed Teofilem. Na chwilę wzrok podniosła; jak szkło fotografa, tak w jednej sekundzie po-chłonęła, odbiła w sobie postać jego całą. Wy-ciągnęła do niego obie ręce, z dziwnem uczuciem. Była całkiem spokojna. Nawet ręka jej nie za-drżała, nawet gorąca rumieńca nie czuła, uśmie-chnęła się tylko jak do dobrego, mile widzianego znajomego.

— Pan mnie poznaje? — zapytała całkiem

swobodnie, aż się sama dziwiła, bo działała bez przymusu.

— Pani! — szepnął trochę zmieszany, czy onieśmielony, co się dało tłómaczyć dziwnem powitaniem.

— Czy państwo się znacie? — przerwała z pospiechem panna Stasia.

— Tak! — odrzekła Jadwiga z lekkim uśmiechem, podnosząc rzęsy, które zwykle miała spuszczone, co twarz ocieniało wyrazem smętku. — My starzy przyjaciele... jeszcze ze Lwowa, od czasów, kiedy pan Teofil...

Zacięła się nagle.

— Wówczas jeszcze nie doktor, pracował na uniwersytecie.

— A przecie pani nie raczyła być obecną na naszym wieczorku w kasynie — ozwał się Teofil.

— Istotnie... nie mogłam... Niech pan wierzy, że przyczyna była ważna, gdy musiałam sobie tego odmówić. Pan dawno już w naszym grodzie?

— Od początku roku szkolnego, od trzech kwartałów.

Oczy ich spotkały się; Jadwigi spokojne i przyjazne, Teofila badawcze.

— To właśnie mantylka, o której państwu mówiłam — rozległ się tuż przy nich głos ko-

mornikowej, która z drugiego pokoju wyniosła ukończoną przed kilku dniami robotę Jadwigi — Sprowadziłam surowy jedwab z Wiednia... przyznacie państwo, że u nas czegoś podobnego nie dostanę...

Panie otoczyły ją, chwając gust i dobór materyi.

— Wszystko to byłoby bardzo dobrze! — kontynuowała komornikowa, podając Jadwidze mantylkę do obejrzenia. — Ale zepsuli mi tu fason, wyraźnie zepsuli! Właściwie mówiąc — mamy w ostatnich czasach szwaczek aż do zbytku, a jedna gorsza od drugiej. Szczególnie ten Michalczuk... my go psujemy, *moje* państwo, wyraźnie psujemy go. Wyobraźcie sobie: dziewięć reńskich za uszycie tej mantylki, dziewięć reńskich, a w dodatku tak uszyte, że i anioł straciłby cierpliwość...

Wszystkie oczy, jak na komendę, skierowały się w tej chwili na Jadwigę.

— Okropnie w ostatnich czasach podrożala krawiecczyzna... okropnie! — dokończyła komornikowa — choć **szwaczek*, właściwie mówiąc, więcej niż trzeba. Nieprawda, panie Adamie?

Aptekarz milczał. Czy nie czuł się całkiem swobodnym?

Jadwiga oddała w milczeniu mantylkę. W pierwszej chwili chciała wyrzec: «Ja to uszyłam»,

lecz uderzyła ją rychło inna rzecz. Nie trywialna zawiść komornikowej, która ją przed chwilą ścisnęła w objęciach. Słyszała, iż cena uszycia wynosi dziewięć reńskich, a ona dostała od majstra — ośm. Odliczywszy co najmniej reński na guziki i drobne wydatki, wypada, iż Michaleczuk na tym kawałku nie zarobił. Zagadka ta pochłonęła w tej chwili całą jej uwagę.

— A pani poznała już grunt tutejszy? Potrafiła pani zaaklimatyzować się w tej sferze? — zapytał prędko Teofil.

— Blisko sześć lat powinnyby wystarczyć... — odrzekła, nie wiedząc sama, czemu użyła wyrazu «powinno».

Rozmowa ta, tak spokojna i krótka, nie podobała się pannie Stasi. Telegraficznie — promieniem oka — zawiadomiła o tem mamę, a ta podszła, ujęła Jadwigę z najśłodszym uśmiechem i zaprowadziła do stołu, zastawionego ciastami i przekąskami.

— A niechżeż pani będzie łaskawa pozwolić coś! Proszę bardzo... Przecież pani nie pogardzi domowem pieczywem? To arcydzieła moich panien.

Jadwigę obrzydzenie brało. Dała sobie słowo, że dzisiaj mówi poraz ostatni z tą kobietą, ale musiała przełknąć ciastko. Zauważyła przytem, że mężczyźni nie otaczali jej, jak dawniej, że

z wyjątkiem komornikowej, której uprzedzająca grzeczność miała w sobie coś odpychającego, sarkastycznego, inne damy stronią od niej.

— Mają słusznosc — pomyślała — Dawniej bylam dla nich objektem ciekawym, tajemnicą, skandalem, a na pozycie z taką pozwala ich kodeks. Teraz jestem robotnicą... więc nie chcą się kompromitować...

Usiadła obok konsyliarzowej i z zajęciem wsłuchiwała się w rozmowę towarzystwa o starym proboszczu, którego stan miał być bez nadziei. Potem popatrzyła na Teofila. Był otoczony całą rodziną komornikowstwa i mileżał, jak desperat.

Nakoniec uwolnił swe ramię z pod ramienia pana Adama — swobodnego tutaj i poufalego. Jakby członek familii, choć od lat kilku był tylko konkurentem do przekwitających wdzięków — i oparł się o framugę okna. Pokręcał węża, a oczy miał zadumane, posepne.

Jadwigę prąd sympatyczny przebiegł.

— Czegobym nie dała, by się dowiedzieć, o czym on w tej chwili myśli! — powiedziała sobie; opanowało ją nagle takie uczucie, jakby musiała podejść do niego, ująć za rękę i spytać, czemu taki smutny...

Nie otrząsnęła się z tego uczucia, bo jej

z niem było dobrze, z tem wzruszeniem przyjacielskiem, prawie macierzyńskiem.

Nakoniec płaskie dowcipy i całe towarzystwo zaczęły ją drażnić. Chciała być samą.

— Jakto? pani ucieka? — zawołała solenizantka.

— Czas wielki...

— Ależ pani droga... nie rób mi pani tej krzywdy...

— Dzieci czekają... — odrzekła oschle i zaczęła się żegnać. Zbliżyła się do Teofila, zatrzymała w ręku dłoń jego.

— A mieszkanie moje panu znane? — zapytała z uprzejmym uśmiechem światowej damy.

— Wyszukam, jeżeli pani pozwoli...

— Ażeby pan nie stracił czasu na poszukiwaniach, wymieniam mój adres. Przyjmuję od dziewiątej do dziewiątej.

Wyszła, odprowadzona piorunującym wejrzeniem pańien, które nie mogły dosłyszeć słów pożegnania; uniosła ze sobą dźwięk słów jego i wzrok dziękczynny.

Była bardzo ożywiona. Przypomniała sobie obawy swe i wzburzenie przed odczytem. Wówczas widziała go w rozgorączkowanej fantazyi, jako magnes, co rozprzęga i przyciąga gwałtownie części płynącego okrętu, teraz uśmiechała się z tej

trwogi. Była spokojna, lekko podniecona, czuła uścisk jego dłoni, ale nie denerwującego, nie silniejszego nad zwykłą przyjazną sympatyą. Zadowolone, graniczące z radością, nurtowało ją... Zadowolone ze zbliżenia się, ze spokoju, jaki ją napełniał, z nadziei ujrzenia go niebawem u siebie; radość zamknięta w sobie, błoga i głęboka. Policzyła ją Jadwiga na karb nowych wrażeń, jakie on w życie jej wniesie, nowego zwrotu, bezsprzecznie dobroczynnego. Nic innego wyniknąć nie może z zetknięcia się z nim... Będzie dla niego uprzejma, serdeczna, będzie się starała rozpędzać te chmury, co mu oblicze zaciemniają...

Tak marzyła za powrotem do domu, odmłodniona, przeniknięta gorętszym prądem, jaki z dłoni Teofila w nią spłynął. Dopiero widok warsztatu zatamował bieg tych myśli; wspomniała słowa komornikowej o zapłacie za uszycie mantyli.

Po południu udała się do pana Michalczuka. Postanowiła stanowczo zerwać zasłonę z dwuznacznego jego postępowania. Jakżeż się zdziwiła, zszedłszy się na progu «salonu» z Teofilem.

— Pan tutaj? — zawołała z uśmiechem, jak do przyjaciela po niedawnym rozstaniu się.

On zbladł widocznie.

— Interes... — wyjąknął.

I ona się zasepiła. Tyle o nim myślała, że i teraz połączyła jego osobę ze sprawą płacy za swoją robotę krawiecką. W milczeniu podała mu rękę i stanęła przed pryncypałem.

— Panie! — zaczęła wzburzona. — Przekonałam się, że pan nie jesteś ze mną szczery. Nie mówię, jakobym chciała ubliżyć uczciwości pańskiej, ale widzę, że działasz pan nie jako człowiek interesu, lecz jakby z innych pobudek..

Majster stracił język. Na grubo ciosanej jego twarzy uśmiech, uśmiech, mający wyrazić: «ej, mniejsza o to» — zjawił się i zastylł na widok poważnego oblicza Jadwigi.

— Przed chwilą widziałam tu doktora Zahradnika. Jestem pewna — ciągnęła dalej, podnosząc głos — że i on odgrywa rolę w szlachetnej komedyi, jaką pan ze mną grasz. Proszę pana o całą prawdę...

— Ale co pani znowu wpadło do głowy?! — zawołał na koniec rubasznym swym głosem. — Nie osobliwego się nie dzieje. Ja jestem zadowolony z pani, więc staram się, by i pani ze mnie była zadowolona.

— I nie odliczasz pan sobie ani centa nawet za pośrednictwo? Nie, w to mi trudno uwierzyć. Niech mi pan z łaski swojej wytłómaczy szczerze...

— Ależ czegoż pani chce odemnie? — krzyknął, rozstawiając ręce z komiczną rozpaczą. — Nie mogę przecie wymyśleć ladajakiej bajki, aby tylko gadać...

Jadwiga usiadła ciężko.

— W takim razie... dziękuję panu bardzo za jego grzeczność. Z dotychczasowych honoraryów zwrócę panu] należytą prowizyą... a dalej robót nie będę mogła przyjmować.

— Tam do dyabła! Pani tego nie zrobi!

— A czemuż to pana tak przejęło? Gdybyś pan tylko interesem się kierował, cieszyłbyś się z mego odejścia, bo zysku nie przynoszę z pewnością.

Majster zachnął się i zaczął chodzić po pokoju. Założył ręce w tył i sapał ciężko. W Jadwidze obawy i podejrzenia urosły do monstrualnych rozmiarów.

— Ha! — zawołał nareszcie. — Jak widzę, to się już nie odczepię. Pani, jak mówisz słowo, to jak kulą w łeb. No, no, ja chciałem tajemnicy dotrzymać...

— Poco te wstępy? Mów pan prosto...

— Dobrze, ale czy pani nie powiesz tego doktorowi Zahradnikowi?

— Ah! zgadłam więc! I co?

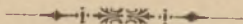
— To, proszę pani, tak było. Moja żona, ot,

zwyczajnie baba, rozgadała wszystkim, żeś pani u mnie była... wówczas poraz pierwszy. Później przyszedł do mnie pan Zahradnik. W gimnazyum, w jego klasie mam ja dwóch chłopców, hebesów — z przeproszeniem — ostatnich. Więc pan Zahradnik mnie mówi: oddawaj pan pani Zimowieckiej roboty bez potrącania sobie zysku, a ja chłopakom darmo będę udzielał korepetycyj... Naturalnie, dla mnie to szczęście...

Jadwiga reszty już nie dosłyszała. Głowa jej ocieżała, serce boleśnie się skurczyło.

— Jałmużna... jałmużna! i to — od niego!

«Od niego!» Jakby ta bardziej upakarzała, niż od kogo innego.





XI

Nalewała właśnie dzieciom herbatę, gdy wszedł Teofil. Była w codziennej ciemnej sukni, obcisłej, z krótkimi rękawami, od których odcinały się chude, delikatnie rzeźbione ręce, olśniewającej białości, o dłoni trochę zgrubiałej, szorstkiej, ze śladami igieł i kuchni na palcach. Dech samowaru wypiekł był na jej twarzy silne rumieńce, których nie czuła. Oblały one swą falą i czoło i uszy przy wejściu gościa.

Pospieszyła naprzeciw z wyciągniętą ręką, ale najniespodzianie wyprzedziły ją dzieci. Zerwały się równocześnie ze sofy i z okrzykiem przypadły do wchodzącego.

— Jak to dobrze, że pan tutaj przyszedł! — wołał Oleś, podskakując i wieszając się na nim.
— Tak się z tego cieszę, tak się cieszę...

— I ja zawsze prosiła, aby pan tutaj przyszedł do mamusi — pisnęła Stefka. — Ale pan nie chciał. A ja mówiła, że i mama będzie pana kochać.

Jadwiga ze zdumieniem patrzyła na ten wybuch radości.

— Stefka! zawołała. — Dajcież panu spokój! Pójdźcie na swe miejsca.

Teofila widocznie to powitanie zmieszało. Bez słowa podniósł Stefkę, ucałował we włosy i z głębokim ukłonem stanął przed Jadwigą.

— Nie mogę przyjść do siebie — wyrzekła, zaprosiwszy go do herbaty! — skąd ta poufałość?

Teofil spoglądał bystro w filizankę.

— W ogrodzie zwróciły moją uwagę. Trudno bo ich nie kochać...

— Toż od pana mamy te kwiaty, cośmy mamie przynosili — objaśnił Oles.

Teraz Jadwiga schyliła się nad Stefką. Długo wiązała jej serwetkę na szyi, a gdy się wyprostowała, miała twarz surową i bladą.

— Pani zdaje się nawet nie wiedzieć, ilu wielbicieli one mają między publicznością tutajszą — zaczął Teofil. — Gdym tu przyjechał, oprowadzał mię po mieście jeden z kolegów, i między osobliwościami także Olesia i Stefkę pokazał.

Zrozumiała powód i cel niezgrabnego tłómaczenia się jego. Wszystkie uczucia ustąpiły obecnemu jednemu... była zła... zła na siebie, że się nie może opanować...

Dzieci pomogły jej.

— A wie pan, gdzie kwiatuszki pana? — zagadnęła Stefka, odrywając się od herbaty. — Pan zapewne nie wie... Mamo, ja pokażę...

Poskoczyła, a! rozpuszczone jej czarne włosy rozsypały się, rozwiały. Oleś za nią.

— To ja właściwie temu winna — powiedziała sobie Jadwiga z gorzkim wyrzutem. — Nadaję zwykłemu faktowi niezwykle znaczenie... Traktuję nasze spotkanie tylko ze stanowiska uczuciowego, ja... bez prawa, a zapewne całkiem fałszywie. Toż to najzwyklejsza rzecz na świecie, że starzy znajomi schadzają się... Jakem się raz zdecydowała...

Zbłąkany wędrowiec, uszedłszy kawał drogi bez pomysłnego widoku, wraca i przerzuca się w kierunku wręcz przeciwny. I Jadwiga postanowiła zmienić nagle ton. O czym jednak mówić? O czym? Nigdy nie przypuszczałyby, aby była co do tego punktu w kłopotcie. Mimo to panowało już milczenie od kilku minut.

— Mogłabym mieć pretensye do pana, — zaczęła z uśmiechem — że pan mi dzieci psuje,

gdybym nie była przekonana, że to bez złej myśli...

— One się gwałtem każą kochać...

— Dziękuję panu, ale muszę uprzedzić, że z dzieci już tak dumna, iż jeszcze kilka pochwał pańskich, a wpadnę w zarozumiałość. Wogóle, jeżeli los nie poskąpił mi w życiu trochę goryczy, wynagrodził mnie stokrotnie dziećmi. Pan zna je tylko z powierzchowności, mogę jednak śmiało powiedzieć, iż w główkach ich i w sercach dobre tkwią zarodki. Ani razu jeszcze, naprzykład, nie skonstatowałam, by które z nich kłamało...

— I owszem, znam je dość dobrze, proszę pani. Z prawdziwym zajęciem rozmawiałem nieraz z niemi w ogrodzie. Oleś ma doskonałą pamięć. Zdumiałem się, słysząc jego opowiadania z historyi naszej. Co więcej, widziałem, iż rozumie to, co mówi. Pojmuje to, co my nazywamy pięknem i wzniosłem w dziejach. Przytem bardzo ładnie opowiada...

Słowa te poruszyły najczulszą strunę duszy Jadwigi. Przedewszystkiem była matką; teraz wy pogodziła się, zapomniała o rozdrażnieniu i z lubością dalej mówiła :

— I przy tem wszystkim pozostał dzieckiem. Nie ma w nim nic sztucznego, nic przedwcześnie starego. Ja oddzielałam ściśle wychowanie od wy-

kształcenia. Zdaje mi się, że na pracę dla rozwoju umysłu zawsze czas, że czem później się do niej przy pomocy aparatu szkolnego zabieramy, tem lepiej; a natomiast zarodki dzielnego charakteru, wolę, zmysł moralny, energią można i należy już od najpierwszych lat wszczepiać i pielęgnować. Mogę się pochwalić przed dawniejszym moim mistrzem, że tę stronę rozwijam w nich z powodzeniem.

— No, takim pewnikiem nie jest jeszcze to, co pani mówi. Mówi pani o wszczepianiu i pielęgnowaniu charakteru, zapominając o warunkach dziedziczności. Ale przedewszystkiem muszę zaprotestować przeciw tytułowi, którym pani mnie obarcza.

Podniósł na nią oczy, od których bił blask stalowy, gorący i przenikliwy. Ona spojrzała na niego, zmierzyli się teraz bez pomieszania i podejrzeń. Jadwiga łagodnie uśmiechnęła się.

Wtem wpadły z krzykiem dzieci.

— Patrzaj pan, patrzaj! — wołała Stefka. Oleś niósł skarbiec w postaci małego kufierka, a ona — kołyskę z oczeretu plecioną a wyścieloną aksamitnemi liśmi bukietów. Na nich, jakby na pstrym kobiercu leżała lalka.

— Widzi pan! To moja Nusia śpi na kwia-

tach. A kołderkę ja sama uszyłam! — dodała z tryumfem.

— A ja zato z Frankiem uplotłem kołyskę...

— Cóż to za Franek?

— To ten Franek z przeciwka — objaśniła Stefka. — Pan nie zna Franka?

Jadwiga oświeciła Teofila, a ten z podziwem na nią popatrzył.

— Ależ to Stefka ma prześliczne rzeczy! — zawołał. — Bardzo piękne. A ta panna nazywa się Nusia?

Z uśmiechem, co poraz pierwszy dziś zdjął surowość powagi z jego twarzy, z uśmiechem pełnym dobroci i miłości, schylił się nad małym światkiem, z całą uwagą wsłuchał się w wykład o lalkach, wygłoszony na jego kolanach, gdyż tam usadowiła się panna Stefania.

Jadwiga wyszła na chwilę do kuchni — on nieuważnym stał się słuchaczem. Przebiegł badawczym wzrokiem pokój, w którym się znajdował, ogarnął i drugi. Westchnienie wyrwało mu się z piersi.

— Ależ dzieci, wy pana zamęczycie! — zawołała Jadwiga, wracając. Z ubocza przyjrzała mu się uważnie. Jakież w nim zmiany — do niepoznania! W miejsce młodego, rozkwitającego akademika — miała przed sobą skończonego czło-

wieka. Średniego wzrostu, silnie zbudowany, nie wyglądał zupełnie na człowieka książkowego; owszem, szerokie barki, energicznie rysowana śniada twarz świadczyła o pochodzeniu z rodu, który zżył się z dębami leśnymi a łamał z odwiecznymi olbrzymami trudów i niebezpieczeństw. Było w jego postaci coś chłopskiego, czoło jednak, pod obfitemi falami włosów, wysoko sklepione, szlachetne, myślące; oczy głęboko w duszę wpatrzone — poto, by z siebie wydobywać tę inteligencją i tę powagę, którą w świat rzucał; nos i usta, subtelnie prawie wycięte mówiły o wpływach cywilizacji i pracach myśli w tym człowieku. Pięknym niktby go nie nazwał; miał twarz chudą, o wystających trochę kościach policzkowych, bujny, rozczochrany zarost, w którym często topił palce, grube z urodzenia, a białe z braku roboty fizycznej — Jadwiga jednak widziała w nim piętno oryginalności, coby go wyróżniało z pośród tysięcy w tłumie, widziała w twarzy jego zadumę, ślady walk i przejść duchowych, szlachetność wielką...

Nie mogła oczu od niego oderwać, od tej melancholijnej dobroci, z jaką słuchał szczebiotu dzieci, z jaką całował Stefkę, która mu nastawiła różowy, śmiejący się pyszczek. Wzdrygnęła się.

Inna postać, bolesne wspomnienia — z przed kilku miesięcy zaćmiły jej uwagę.

— Jak Stefka wszystko teraz panu powie, co zostanie na jutro? — wyrzekła z wymuszonym uśmiechem. — Dobrze, że Franek nadchodzi, zabawcie się już sami.

I zwróciła się do Teofila:

— Pokażę panu moje małe królestwo. Ogród, istotnie ładny.

Wyszli oboje. Godzina była może szósta, słońce czerwcowe czerwonym blaskiem padało na sad. Liście drzew o ciemnej zieleni wisiały cicho bez szelestu, a przepłatające je pęki srebrnawe to rumiane dojrzewających owoców wyglądały jak rozrzucone w powietrzu gałki, między zielonymi płatkami a swą gałęzią. Długie cienie ściełły się na piaszczystych ścieżkach, wyżłobionych wśród grządek, okrytych warzywem to wysoką trawą, a okalających białe ściany mieszkania. Było tu nadzwyczaj cicho i spokojnie.

Teofil roztargniony rozglądał się wokół i ani słowa nie wyrzekł. W jego ruchach, tak tutaj, jak i u komornikowej, było dużo z ciężkiego, niezgrabnego studenta, który przed dziesięciu laty tylekrotnie w śmieszność wpadał. Teraz śmiesznym nie był wprawdzie, ale widziała Jadwiga, że był zakłopotany, że brodę czesze i rozmowy

wczynać nie umie. Litość ogarnęła ją na myśl, że przez cały czas nie przebywał w świecie, nie zaznał swobody, przyjemności i słodkich owoców towarzyskiego pożycia.

— I w towarzystwie kobiet nie przebywał — skonstatowała z bezwiedną przyjemnością, i postanowiła być dla niego bardzo, bardzo uprzejmą i serdeczną. Zapomnieć jego konszachty z krawcem, z dziećmi, a starać się o umilenie mu życia, o ile tylko w jej siłach będzie. Znowu pogodna, serdeczna sympatya, w rodzaju macierzyńskiej dla tego wielkiego, smutnego chłopaka, ogarnęła ją.

— Ładnie tu prawdziwie — zaczął nareszcie — ale jakże inaczej od tła, na którym ja dotąd panią widywałem... Innemi przed kilku laty wyobrażałem sobie ramy życia pani. Długo już pani dworek ten zamieszkuje, jeżeli wolno pytać?

— Jakim ceremonialnym tonem pan zaczyna rozmowę! — odrzekła z wesołym wyrzutem. — Prawda, dzieli nas lat kilka i zdarzeń wiele, lecz to właśnie, zamiast zrobić nas obcymi sobie, powinno zbliżyć. Ja, co do siebie, pamiętam doskonale ton naszych rozmów dawniejszych. Pan dotkniętym się czuleś wyrazem «mistrz», jakiego użyłam, a taki przecie stosunek zachodził między nami.

Serce jej wezbrało a na wierzch spokojnych uczuć wypłynęło postanowienie zaznajomienia go z przeszłością i nawiązania tak nici wspólnej.

Teofil nieciepliwym gestem zaprotestował przeciw ostatnim słowom.

— Skromność, czy lekceważenie przez pana przemawia? Prawdą jest, że jeśli z dziecka zepsutego i nieukształconego stałam się kobietą dobrą i myślącą, jeśli mam rękę dość silną, by sterować swem życiem i wraz z dziećmi do pewnego zdążać celu — to wiele z tego mam panu do zawdzięczenia.

— Niech mi pan wierzy, że nie zapomniałam o tem ani na chwilę — ciągnęła dalej, czując silny popęd do wypowiedzania się ze swych dziejów i wciągnięcia go w swoje koło. — Wówczas już... oceniałam to należycie, a jeżeli było we mnie... coś, co mogło pana... razić — było to dziełem innych rąk i fatalnych okoliczności. One to... przecięły pracę i naukę moję przy panu, one popchnęły mnie rychło z teorii do praktyki życia. Prędko poznałam jego powagę... ba, surowość...

Odetchnęła, a Teofil patrzył na nią w mileczeniu, na białe pasemka włosów, na biedną, szramami trosk i cierpień rysowaną twarz.

— Jak panu wiadomo — dodała przytłumionym głosem — nie żyję z mężem.

Przyspieszyła kroku i surowym tonem, nie patrząc nań, ciągnęła dalej:

— Błąd, raz popełniony, mści się na mnie ciężko.... skutkami, a błędem tym — zamążpójście... Sama go jednak popełniłam — otwarcie panu mówię — popełniłam go we wieku dojrzałym, z całą przytomnością umysłu, mając wolny wybór, no, teraz powinnam też przyjąć logiczne jego następstwa...

— Tak to się stało, że od przeszło pięciu lat żyję sama w Lipnikach.

Teofil przystanął. Nie mógł zapanować nad wzruszeniem.

— Pani? pani sama... błąd ten popełniłaś?

— Tak panie. Nie mam talentu do poetyzowania, do okłamywania się jakimiś romantycznymi pobudkami, czy wpływami z zewnątrz. Zresztą, klamka zapadła już nad temi faktami, których sam Bóg z progu przeszłości nie odwoła. Jak pan widzi — jednostajnie surowym nie jest dla mnie los. Nie brak mi stron słonecznych... Mam dzieci, obowiązki... Widzi pan, dumna nawet jestem...

— Ot, i dzieje ostatnich lat kilku. Pragnęłam pomówić o nich z panem, jakoteż o wszystkim, co mi w tym czasie doświadczenie, nauka, samostne myślenie przyniosły... mówić o tem otwar-

cie i szczerze... I spodziewam się wzajemności...
Zgoda ?

Obróciła się do niego z wyciągniętą ręką i z uśmiechem, który usta rozjaśniając, oczy i czoło zostawił klasycznie poważnemi. Za nią ciemna ściana kilku drzew, a przed nią zachodzące słońce, które na twarz jej rzuciło purpurowe blaski. Była w tej chwili tak majestatycznie piękna, że nieśmiały profesor drżącą ręką jej dłoń uścisnął.

— Niech mi pani wierzy — zaczął — że jeśli powiem, iż pani spełniasz najgorętsze życzenia mego serca, nie jest to retoryczną figurą.

Usiedli oboje obok siebie na darniowej ławeczce.

— Postaram się za wzorem pani pokrótce opowiedzieć, com w ostatnich latach przeżył i przewalczył. Znała mnie pani, jako studenta-entuzjastę dla rozmaitych ideałów, stawiającego sobie dość wysokie wymagania, mimo to, jak dotąd, nie nie zrobiłem więcej nad to, czego dokonywa każda miernota, każdy rzemieślnik swego zawodu. Inaczej myślałem przed dziewięciu laty... w epoce, którą pani zna. Ha, nie należę do grzybów, co wyrastają po każdym deszczu i zawsze przylepione są wśród mchu do jakiego pniaka. A mimo to .. dziesięć lat życia przeszło...

— W Krakowie ?

— Tak. Po doktoracie dostrzegłem dopiero, że nic nie umiem. Poznałem bliżej ruch naukowy i postępowy warszawski, czytałem o życiu umysłowem zagranicą, i wstyd mnie zdjął. W Krakowie miałem czas, kiedym ogromnie pracował, tylko pracowałem, żyłem pracą więcej niż chlebem, jak powietrzem. Ja, doktor filologii, zacząłem wędrować od prosektoryów do laboratoryów, by poznać nauki przyrodnicze; równocześnie czytywałem trochę z ekonomii i nauk społecznych i pełniłem obowiązki suplenta gimnazyalnego. Byłem na najlepszej drodze, gdy otrzymałem wiadomość z domu... Ale co panią będę nużył mową o tych stosunkach...

— I owszem, żaden szczegół nie jest mi objętnym.

— Wówczas umarł mój ojciec, leśniczy z zawodu, a ja objąłem jego stanowisko i obowiązki w rodzinie. Krótko — sześć lat pracowałem z namiętnością dla rodzeństwa, i tak się stało, że po za mury gimnazjum, gdzie się dochrapałem rangi profesora, nie przeszedł..

— Aleś pan był żywicielem rodziny...

— Tak, pani łaskawa, niedawno dopiero wydałem siostrę za mąż, matka już nie żyje, brat jest przy mnie w ostatniej klasie gimnazyalnej, i poczułem ręce wolne.

— Teraz pan powinienes rozpiąć żagle!

— Już próbowałem, proszę pani, i burza je nawet rozdarła...

— Jakto?

— Chciałem habilitować się na uniwersytecie. Nie z gałęzi nauk socyalnych — u nas na tym punkcie przekonań wypowiadać nie wolno — ale poprostu z filologii. I wie pani? Ogłosiłem wprzód w piśmie specyalnem artykulik przeciw terażniejszemu klasycyzmowi w gimnazyach..

— I to zaszkoziło panu. Oh, poznaję Kraków...

— Nidosyć na tem. Przeniesiono mnie na prowincyą, co dla mnie jest wielką krzywda, bom stracił biblioteki, gabinety, jakie takie centrum ruchu umysłowego, a to jako bezpośrednią karę dyscyplinarną...

— Za cóż to znowu?

— Zna pani przecie katechizm cnót galicyjskich, dziesięcioro przykazań lojalnego urzędnika, gdzie pierwszym paragrafem jest: «*Gehorsam und Ruhe ist die erste Bürgerpflicht...*» Że też ludzie nie chcą rozumieć, że spokój — to śmierć, a życie — ruchem ciągłym, zmianą, walką... U nas wychowawca narodu jest urzędnikiem, a jam na wyżynę tego obowiązku wznieść się nie zdołał. Nie tylko że nie byłem biernym ale wprost czynnym być

pozwoliłem sobie. Wyszukiwałem między starszymi uczniami gorętsze, zdolniejsze jednostki, obcowalem z nimi, książki im dawałem, pisma, wskazówki dla kształcenia się w żywej wiedzy europejskiej... No, zbrodnicze sprzysiężenie u mnie odkryto po tym głośnym artykule, i poszedłem na wygnanie...

Jadwiga i słowa nie wyrzekła, ale oko jej, rozpromienione podziwem i sympatyą, mówiło Teofilowi więcej.

Targnął węża gwałtownie i podniósł się z ławeczki.

— Mniejsza o moją osobę! — zawołał. — Ja nie żałuję... Ale żyć w takim społeczeństwie, gdzie się policzkuje wiedzę, dławi myśl wolną, miażdży co tęższe charaktery, w takim żyć społeczeństwie i być bezsilnym jak koń, któremu oczy zawiązują i każą kręcić się w kieracie — ah, toż to tortury!

Wykrzyk ten podwójnem echem odbił się w Jadwidze.

— Przecież poznaję pana! — zawołała. — Słyszę znów strunę oburzenia, entuzjazmu, aspiracyj wielkich. Takim zawsze pamiętam pana i takim tylko chcę znać...

Urwała, rzuciła się na ławeczkę. Zmrok wie-

czarny ogarniał widnokrąg, a księżycyca nie widać było jeszcze. Powietrze było czyste, przepełnione zapachami tysiąca roślin, które odchodzącemu słońcu rzucają swe wonie w podzięcie za światło i miłość; lekki wiatr rozkołysał gałęzie, łodygi, owiewał świeżością.

— Jesteś pan mężczyzną! — mówiła Jadwiga przyciszonym trochę, jakby rozmarzonym głosem. — Jesteś pan młody, silny, świat przed panem otwarty... Przebojem pan pójdzie...

... A ty? — ozwał się w niej smutny głos serdeczny. — A ty ze swą młodością i roje-
niami?...

...Jam skończyła swe rachunki z życiem — odpowiedziała sobie powoli. A zaraz inna myśl w niej zabrzmiała: — Ja będę siostrą, pomocną przyjaciółką jego...

Teofil odwrócił od niej oczy w milczeniu. Skierowali się ku mieszkaniu.

— Ma-mo! ma-mo!

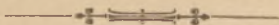
— Proszę pani! a gdzie pani? — dały się słyszeć stamtąd wołania.

— Jak pan widzi, szukają mnie moi ludzie. Kilka godzin upłynęło nam krótko, jak... westchnienie. Wszak pan zostaje na kolacyą z nami?

— Nie mogę, łaskawa pani. Mam pliki zeszytów do skorygowania...

— Więc do widzenia! Jeszcze raz przypominam panu nasz układ.

— Do widzenia — w niedzielę!





XII

Cwały czerwiec i lipiec upłynął. Teofil stał się tłem życia Jadwigi.

Stało się to w sposób tak prosty i naturalny, iż spokój jej normalny wcale nie został zakłócony; istniejące w niej drugie «ja» nie miało jaskrawszego faktu, któregooby mogło się uchwycić i kuć podejrzenia lub wyrzuty.

W niedzielę, podług umowy, przyszedł Teofil, a równocześnie konsyliarz z żoną. Wszyscy udali się na wycieczkę, podczas której Jadwiga była piękną i ożywioną, konsyliarz odświeżał stare faccycy i dykteryjki, żona mu wtórowała śmiechem, a Teofil wpadł w tak dobry humor, iż Jadwiga go nie poznała. Stał się wesołym i rozmownym, a raz, rozochociwszy się, biegał z dziećmi po

wzgórku, rzucał dowcipy i anekdoty, wymyślił dla dzieci zabawę, w której i starsi udział brali. Doktorowa była nim zachwycona. Radziła mu ogolić brodę a wyładnieje i będzie pierwszym lowelasek w Lipnikach; i Jadwiga docinała mu, że panna Stasia poznała się już na nim dawno; konsyliarz przypomniał sobie figle studenckie z przed czterdziestu laty, żona zgorszona odrywała Olesia, by się nie demoralizował. Zawędrowali aż do sąsiedniej wsi, gdzie doktor zaprowadził ich do znajomego chłopa na kolacyą idylliczną, i wrócili dość późno. Byli już zmęczeni, konsyliarzowej nogi nie dopisały, staremu koncept się wyczerpał, Teofil zappełnił cały wieczór gawędą o Krakowie, wspomnieniami z Karpat, które znał całe z pieszej pielgrzymki. Doktorowa zapomniała o zmęczeniu, wszyscy obudzili się niejako dopiero w mieście.

Jadwiga pożegnała go z uczuciem podziwu. Przez cały tydzień myślała:

— Jaką bogatą duszę posiada ten człowiek...

We środę zjawił się znowu. Poważny i powściągliwy, przeglądał jej bibliotekę i mówił o książkach, autorach, systematach przeróżnych. Jadwiga wspominała o swojej lekturze, o poglądach, ideach, wywiązała się dyskusya, w której oboje coraz bardziej się wzajemnie podziwiali, szczegó-

nie Teofil był zdumiony bogactwem jej odczytania, trafnością sądu i rozumowania. Gdy podniósł się z krzesła, Jadwiga nie puściła go.

— Już?

— Czas najwyższy. Zabrałem pani całe popołudnie, a skradzenie każdej chwili jest grzechem.

— Grzesz pan jak najczęściej, ja czyścić na siebie biore. Szczerze mówiąc, ma pan pilną pracę?

— Szczerością za szczerść. Toż pani nie pracuje w mojej obecności. Maszyna milczy.

...Ah, poruszył więc ten drażliwy przedmiot! Bojaźliwie obserwował twarz Jadwigi, potem zebrał się w sobie. Widać było po nim, że przystępuje z rodzajem namaszczenia, jakby do ataku.

— Pani! — powiedział. — Nie jestem dyplomatą i wobec pani nie śmiałybym. Przyjęłaś mnie tu pani tak... życzliwie, że czuję, iż pani wierzysz w moją przyjaźń i chęć służenia pani, w uczucia, któremi już... przed blisko dziewięciu laty we Lwowie byłem przejęty...

Jadwiga raptownie zbladła.

To, co w głębi jej duszy spoczywało, zakolało, jakby rwało się lotem ptaka do powyższych słów Teofila.

On ciągnął dalej. W krótkich słowach, tonem

dość niepewnym wypowiedzianych, postawił jej pytanie co do jej położenia.

— Kwestya tak stoi — odrzekła, przyszedłszy do siebie — że muszę walczyć o pokrycie połowy kosztów utrzymania domu...

— I chce to pani osiągnąć... krawiectwem? Wybacz pani, ale pamiętam dobrze, jakie pani wychowanie odebrałaś; nie wiem, o ile późniejsze życie rozwinęło w pani pierwiastek praktyczny.

Tu przedstawił jej wszystkie ujemne strony tego zarobkowania.

Wiedziała o tem bardzo dobrze, i cóż mogła robić? Była przez czas dłuższy, jakby sparaliżowana, a w ostatnich dniach poprostu nie czuła bólu w krzyżach, choćby się przez pięć godzin bez przerwy garbiła nad maszyną, nie myślała o niej, o niczem, ogarnięta pogodą duszy. A gdyby sobie głowę łamała — co to pomoże? Roiała też kiedyś o nauczycielstwie...

— Otóż to właśnie! O tem i ja myślę — przerwał jej niecierpliwie. Potem niezgrabnie i jękając się, ale z wielką serdecznością w głosie, zaproponował, by się stanowczo zabrała do przygotowań do egzaminu w seminaryum nauczycielskiem... Znając mniej więcej jej zasób wykształcenia ścisłego, nie spuszcza z oka trudności i potrzeby ciężkiej pracy przez czas dłuższy, ale

jest to kwestyą czasu. Ma nadzieję, że przy swojej inteligencji zdoła ona za dwa lata zdać maturę ze zwykłych kursów nauczycielskich, a potem aspirować do posady nauczycielki w jednym z licznych seminariów, co jej nie powinno przyjść z trudnością ze względu na jej zdolności i na wpływy znajomych ś. p. ojca-radcy.

Jadwiga ujrzała przed sobą poraz pierwszy perspektywę takiej karyery. Dla jej wzroku, nieprzyzwyczajonego do realnych spostrzeżeń i obliczeń, otworzyła się nagle droga... której etapy on wyznaczył, na którą on ją wprowadzał.. Bierność, bezsilność jej woli, szamocąca się dotąd nadaremnie z fatalizmem losu, rozproszyła się nagle, jak mgła, rozpędzona silnym promieniem.

— Raz, dwa razy w tygodniu — mówił dalej pięknym swym głosem, który niezwykle miękko brzmiał — zaszedłbym do pani i udzielił trochę wskazówek i rad... Pomoc moja nie będzie koniecznie potrzebna, sądzę, bo praca to mechaniczna, na podstawie podręczników, ale może przydać się na coś... A za kilka lat, gdy Oleś będzie miał zapisać się do gimnazjum, będziesz już pani samodzielną pracownicą...

Milczenie zapanowało długie. W sercach obojgu wrzały burze. Nakoniec podniosła nań Jadwiga

zwilżone łzami i wzruszone oczy, i podała mu obie ręce.

— W imieniu dzieci dziękuję... całym sercem!

Umilkli oboje, poczem oddalił się Teofil spiesznie.

— Czuję wyrzuty sumienia — powiedziała mu za najbliższym razem, gdy znowu wrócili do tego planu. — Nadużywam dobroci pańskiej. Pan mi poświęca czas swój drogi, pracę, zdolności, a ja...

Teofila śniada twarz okryła się na chwilę ceglastym rumieńcem.

— Ale któż panią nauczył takiego egoizmu! — zawołał. — Zdawało mi się, że między ludźmi, mającymi tak szerokie przekonania o obowiązkach i tyle wzajemnej dla siebie przyjaźni, nie powinny istnieć takie konwenansowe szkopyły.

— Zawsze to...

Argument powyższy jej nie przekonał. Czowała coś za jego skórą, co ją znowu dawną trwogą przejęło.

Teofil uchwycił ją za rękę.

— I pani mi nie wierzy, iż, przyjmując mą propozycją, łaskę mi wyświadczasz? że za problematyczny mój trud będę stokrotnie wynagrodzony świadomością, że jestem pani użyteczny?

Miał w swym głosie nutę, która Jadwigę je-

szcze bardziej przestraszała. Ze ściśniętem sercem wyciągnęła rękę z jego dłoni.

To i w nim sprowadziło zmianę.

— Usiądźmy — powiedział, stanawszy przy ławce, ocienionej szerokimi gałęziami przed słońcem czerwcowem — i rozmówmy się szczerze. Życie moje tutaj nie jest bardzo wesołe. W całym mieście nie mam znajomych i prawdopodobnie mieć ich nie będę. Nietylko ze względu na tutejszą menażeryą; wogóle nie jestem człowiekiem towarzyskim. Przyzwyczajony-m do samotności — to prawda. Od piętnastu lat, to jest od ostatnich klas gimnazjalnych, zajmuję osobny pokój, a pustka i smutek mnie nie opuszczają. Tylko, widzi pani, teraz jestem wrażliwszy na to, niż kiedykolwiek. Zostałem wyrwany z miasta, z którem zrosłem się był, ze studyów i prac, które były dla mnie tem, czem dla ryby woda. Za długoletnie mozolne trudy, za najlepsze chęci odplacono mi niewdzięcznością, nakarmiono mnie goryczą; świetne me nadzieje rozwiano, los wykolejono. Widzi pani mą szczerłość. Wyznaję — jestem człowiekiem słabym, zgnębionym, a towarzystwo pani, uścisk ręki, słowo pocziwe, praca wspólna... jak wdzięcznym, jak nieskończenie wdzięcznym byłbym za to...

Patrzyli sobie w oczy, Jadwiga ze łzą.

Rozpłakała się na dobre w jego nieobecności, a sama nie wiedziała dobrze, czemu. Potem dała sobie słowo, że mu zastąpi siostrę.

Uczucia silniejszego, burzliwszego w sobie nie doznała. Miała dla niego tkiwość i słodycz w ruchach, w spojrzeniu, w słowach, przy najspokojniejszym sercu. Oczekiwała go bez gorętszego bicia pulsu, żegnała bez ściśnienia. Witaa z serdecznym uśmiechem, z uśmiechem żegnała, i podawała rękę swobodną, ciepłą, która w jego dłoni nigdy nie pozostawała dłużej, niż to bywa za zwyczaj.

Gdyby była patrzyła do zwierciadła uważniej, byłaby dostrzegła znaczną i piękną w sobie zmianę. Twarz z końcem maja tak wychudła, szramami po czole i wzdłuż kątów warg przecięta — zakwitła nagle, jakby wraz z całą przyrodą czerwcową. Oczy nawpół przygasłe, lub niemilym świecące blaskiem, przybrały wyraz pogodnego zamyslenia, to skrzący się wrażeniami i gwiazdami życia wewnętrznego. Lekkie rumieńce okryły jej lica, dodawały jej dziewczęcości, bo się łatwo rozlewały pąsem po czoło i szyję, podczas gdy siwe wstęgi wśród czarnych splotów nie pozwalały zapominać o burzach i mroźnych zimach, przeszłych nad tą głową. Trzymała ją ona zawsze prosto, dumnie; mała i wdzięczna na harmonij-

nej szyi, osadzona na figurze elastycznej, przesłicznie toczonej, o kształtach pełnych, rozwiniętych bogato, owianych wytworną majestatycznością kobiety, świadomej swej godności, kobiety, władającej tak ruchem wachlarza, jak i kombinacjami umysłu i serca — kobiety, dochodzącej trzydziestki.

Dla wszystkich z rezerwą, dla Teofila nie ukrywała sympatyj, i cieszyła się w duszy tak ze szczęścia, iż z nim jest, jak i ze spokoju ducha.

Pracowała przytem zawzięcie. Rozpoczęła niejako od abecadła, pokutując za grzechy rodziców. Między mozolnem układaniem rachunków i potrzeb bieżących — uczyła się na pamięć reguł gramatyki niemieckiej. Warsztat krawiecki znikł z jej pokoju, natomiast przysłała biblioteka podręczników; jak niedawno nad maszyną, tak przepędzała teraz nad grubemi zeszytami długie godziny. Nie marzyła, wiedziała przecie, że we środę i w niedzielę przyjdzie on z największą pewnością; nie czuła potrzeby świata; raz tylko — poraz pierwszy od wielu lat, zatęskniła do fortepianu — tyle było w niej dźwięków i harmonii.



XIII.

W pierwszym tygodniu sierpnia przechadzała się w ogrodzie miejskim z Teofilem, a dzieci biegały przed nimi. Rozmawiali z niezwykłą żywością o nowinach dnia. Wtem dostrzegła zdaleka zjawisko, które pochłonęło całą jej uwagę. Naprzeciwko niej szło kilka osób; w pierwszym rzędzie aptekarz, prowadząc pod rękę pannę Joasię, śmiejący się i szepcząc coś sobie, jak małomieszczkańska para małżeńska; dalej panna Stasia z młodym dependentem, również bardzo poufali i ostentacyjnie serdeczni, nakoniec komornikowa ręka w rękę ze starą Koczkowiczową. Napuszone, obwieszane wstążkami, piórami, syzcząc i sapiąc, przeszły obok Jadwigi nie kiwnąwszy jej głową, a z tak jadowitem spojrzeniem,

że wyglądały, jak chińskie karykaturalne bóstwa w gniewie. Były nadzwyczaj zabawne a Jadwiga nie mogła się powstrzymać od śmiechu i uwag nad moralnością lipnikowską.

Przy najbliższej sposobności rozgadała się i pocziwa konsyliarzowa o zacnych tych matronach. Ze zwykłą sobie szczerością dodała: Te czcigodne damy sprzymierzyły się przeciwko pani.

— Przeciw mnie?

— Pani się nie domyślasz? W najbliższym karnawale odbędą się zaślubiny dwóch starszych córek z aptekarzem i dependentem...

— Z tym przysłowiowym panem Adamem?

— I cóżes pani chciała! U nas nie ma urodzaju na zamożnych kawalerów, a błędy naszego generalnego don Juana nie są tego rodzaju, by od niego odstręczały panny. Zostaje jeszcze trzecia córka... panna Basia; najmłodsza ona, a ma zapewne także dwa tuziny latek. Dla niej przeznaczyła mama, wiesz pani kogo? dra Zahradnika!

— Pana Teofila!

— Tak. Tymczasem poszedł on w służbę pani... No, by go odbić warto zaprzyjaźnić się z mamą Koczkowiczową, która w dodatku odzyskała u nas reputację. Wyobraź pani sobie, dała wikaremu aż całe sto reńskich na chorągiew dla bractwa, a

panom zniżyła procent o dwa. Zresztą wówczas w skandalu ona nie była winna... W gruncie rzeczy poczciwa to dusza.

Jadwiga uśmieła się serdecznie i zabrała znowu do pracy. Niechby pletli ludziska, co chcą, ona jedynie w swem sumieniu ma kryterium, a ono mileczy.

Przemówiło na drugi dzień. Teofil dzięki wolności wakacyj, odwiedzał ją częściej niż dawniej, dzisiaj był niezwykle roztargniony i posępny. Po lekcji rzecze nagle:

— Wie pani, wyjeżdżam z Lipnik.

— Nie... nie wiem o niczem.

Głos jej był ledwie dosłyszalnym.

— Kiedy? dokąd? w jakim celu? *Sie sprechen ein grosses Wort gelassen aus...* wysiliła się na cytata niemiecki, a dusza jej rozprzęgała się.

— Wyjeżdżam na resztę wakacyj. Jak pani wie, pracuję nad niektórymi dobami »Historii cywilizacji w Polsce«, a stosy zebranych dotąd materiałów nie wystarczają. Zagładnę więc do Ossolineum we Lwowie, do Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, a może i gdzieś za granicę, by przejrzeć i zamówić sobie księgi, dokumenty i odpisy...

Był to powód bardzo racjonalny.

— Jakże się cieszę — zaczęła Jadwiga — że

pan przecież zdecydowałeś się wykończyć swą pracę...

W sercu jej mimo to radości dużo nie było. Ścisnęło się ono bolem, który do oczu łzy napędzał. By to zagłuszyć zaczęła mówić gorączkowo, bez uwagi, aby tylko mówić.

— Nie mamy dotąd w literaturze podobnego dzieła, a pańskie będzie piewszem. Będiesz pan polskim Bucklem...

I jakby głos jakiś wewnętrzny krzyknął na nią: »cóż cię teraz te sprawy obchodzą?« przerzuciła się nagle w inny ton:

— Ale pan przecie niebawem powróci? Nieprawdaż? Za miesiąc zaczyna się rok szkolny... I pisać pan będzie do nas...

Usiadła ubezwładniona, a oczy jej rozszerzyły się i ze łzami popatrzyły na Teofila, który przed nią stał wyprostowany, nienaturalnie sztywny, i gryzł wargi.

— To się rozumie, to się rozumie — odpowiedział. — Choć bardzo pewnem... nie jest to...

— Co, panie?

— Czy powrócę z początkiem roku szkolnego...

Powstała. Do ust jej zaczęły się naraz cisnąć setki pytań, lecz żadnego nie mogła wymówić. Oczy jej coraz bardziej wilgotniały.

Teofil zaczął się spieszyć.

— Mam nadzieję, że się rychło zobaczymy, więc do widzenia. Będzie pani tu pracować dużo — prawda? w kierunku, któryśmy obrali. Nauki przyrodnicze i arytmetykę niech pani zostawi, bo do tego koniecznie potrzeba pomocy, zresztą — nie ma szczególnego w mym wyjeździe... projektowałem to już dawno. Życzę pani dużo sił... dużo... do pracy... i dla dzieci.... Pani zna przecie moje przekonanie, że prócz pracy i dzieci — jeśli ktoś niemi obdarzony — żadnych nie mamy więcej obowiązków, żadnych ideałów, żadnych celów w życiu... Pielęgnuj więc pani swoje ideały i bądź szczęśliwa.

Bardzo było mu spieszno; uściśnął oburącz szybko, silnie dłoń Jadwigi, potem schylił się nad nią i usta swoje do niej przygniótł. Był to z jego strony pierwszy akt zwykłej grzeczności towarzyskiej.

Wyszedł, nieodprowadzony przez gospodynię i w sadzie wycałował Stefkę, główkę jej, oczy dołki w buzi, ramiona nagie, ucałował Olesia bez słowa pożegnania, i znikł.

Jadwiga siedziała chwil kilka nieporuszona, z wyschłemi oczyma. Potem rzuciła się do okna i dostrzegła jeszcze migającą na skrócie drogi jego

sylwetkę. Za kilka sekund straciła ją z oka, i wówczas łyzy gorące polały się po jej twarzy.

W oszołomieniu, w gorączce, we wirze szalonym przepędziła dni następne. Potem wybiegło jej na usta wyznanie:

— Ja go kocham!





XIV.

Wszystko, co dotąd przeżyła, co dotąd przecierpiała, wydało jej się błahem i nikłem wobec uczuć, które ją teraz nurtowały.

Nie miała na nie imienia, nie odróżniała pojedynczych różg, jakie na nią padały. Wszystkie splotły się, rozpały w ogniu wrzącej namiętności i smagały ją. Smagały jej ciało, torturowały myśl, szarpały serce... nerw każdy. Nigdy nie była w takim stanie. A czujna w niej samowiedza urągała jej cierpieniom, syczała z ironią:

— Panienko siedmnastoletnia... panieko siedmnastoletnia.

Potem budził się w niej duch buntowniczy, ten, który dany jej z urodzenia, wykształcił się później w teoryach i pytał:

— Czemu? czemu?

Dlaczego nie wolno jej marzyć — kochać — żyć... Czy pętające ją okowy wyssały z niej krew ludzką, rozbiły drgające serce, zmiażdżyły mózg myślący? Czyż mimo ustaw świata nie bije ono, nie czuje, nie cierpi? A czemu ma cierpieć?

Namiętność tak w niej wówczas rozpalala się, iż Jadwiga wpadała w halucynacyą. Dostrzegala przed sobą Teofila i z okrzykiem przypadała doń, oplatała go ramionami, od zmysłów odchodziła z upojenia nagłej radości. Dostrzegła go przed sobą i postradała wolę, rozum, względy; była tylko kobietą, w której siły żywotne, przez tyle lat gromadzone, obecnie tryskały krwią, buchały lawą, szły ślepo do tego, który swą potęgą brał je w posiadanie. Człowiekiem była i miotała się z rozpacz, z tęsknoty za tym, na którego tyle lat czekała, którego sama natura dla niej przeznaczyła, a długoletnia rozłąka, ciężkie burze, oddzielić nie mogła. Oddawała mu się, tonąc w falach rozkoszy.

Budziła się nad ranem, wyczerpana, wytrzewiona, z uczuciem żółciowego wstrętu do siebie. Piorunowała, grzmiała na się słowami najdzikszego kaznodziei i kąsała ręce z obrzydzenia, to znowu z bólu. Zlekka uspokojona zaczynała

przeżuwać swe myśli. Były one nielogiczne i gorzkie jak wszystko w niej, jak samo życie.

— Panienko siedmnastoletnia! — zazgrzytała zębami. I wczynała litanią:

-- Tak nisko upadłam, takam mała, nędzna..
Nakoniec to wieczyste:

- Czemu?...

Oddawna nie była zwolenniczką cnoty w teologicznem znaczeniu, miała jednak naturę łabędzia. Była w duchu czysta i nieskalana, a teraz rozszalałe zmysły, wyższe nad wolę i rozum, przerażały ją. Dalej dostrzegła stanowisko swoje w świecie, przyszłość dzieci i większy ją jeszcze strach opanowywał. Gdyby w tej chwili stanął był przed nią Teofil, padłaby mu na pierś.

— On by cię odtrącił z pogardą! odpowiadała sobie z rodzajem przyjemności, i wpatrywała się w jego obraz. Widziała oczywiście twarz jego posępną, słowa poważne, uścisk ręki chłodny.

— Szaleję, szaleję! — wołała. — On prócz życzliwości, prócz przyjaźni nic dla mnie nie miał... Ah, miał jeszcze i litość... Dlatego protegował mię, uczył... Nic nad to...

Padła na sofę, zasłaniała oczy dłońmi, a przed nią stawały wszystkie obrazy przeszłości. Każdy plastyczny, żywy, poprostu mówił do niej; mówił jego dźwięcznym organem, patrzył jego przeje-

mującym wzrokiem. Ostatnia scena — pożegnania — tak... mogła ją sobie tłómaczyć dowoli. I czuła rozpalone wargi na swojej dłoni, wibrujący ton w powietrzu...

— To miłość, to miłość! — wołała, czując że rozum jej się mąci z radości. Schyliła się nad jego głową...

Raz, tuż obok niej, zobaczyła Jadwiga... Kazimierza. Stał napiętnowany hańbą, trzymając w dłoni karty i kieliszek, i powtórzył chrypliwym głosem:

— Podły jestem, zbrodniarz... tyś mię takim zrobiła...!

Słowa te wypoliczkowały jej sumienie.

— Tyś mnie takim zrobiła... szeptało widmo i nie schodziło jej z oczu. Pozbyć się go nie mogła.

Z pewną przyjemnością myślała o niem. — Tak... Kazimierz był zwykłym człowiekiem. Ulegał namiętności, bo ona silniejsza od nas, ale nie był gorszym od innych. Wiem przecie jak względnie trzeba sądzić ludzi... Tak, gdyby nie moja bezwzględność, mój ekscentryczny idealizm, człowiek ten nie byłby moralnie umarł. Teraz — śmierć jego pada na me sumienie.

Tutaj powstawały w niej wszystkie skrupuły, wyrzuty i wspomnienia. Padała pod ich ciosami

bez słowa usprawiedliwienia. Oczywiście, winną jest, występna! Nie wypełniała swoich obowiązków a sama przecie podjęła się... sama... Podwójna więc podłość, w chwili przyjęcia odeń obrączki i w chwili odrzucenia jej. Podłość... oczywiście. On błądził — prawda. Ale potępiać go, gardzić, na to zdobędzie się człowiek, nieznający życia, i jego niebezpieczeństw. Taksamo dziecko bawi się śmiało i bezwzględnie prochem strzelniczym a starszy — nie... On błądził, a ona spychała go w przepaść. Gdyby posiadała prawdziwie dobre serce, gdyby była uczciwie myślała o obowiązkach, byłaby miała pobłażliwość... dłoń pomocną dla niego... Rodzina nie zostałaby rozbitą.

Snując podobne myśli, miała Jadwiga twarz marmurową, posępną, nieruchomą, jak surowy posąg sprawiedliwości. Czem bardziej myśli te ją bolały, tem głębiej nurzyła się w nich. Zaczęła cierpienia uważać za karę.

Te wyrzuty sumienia stawały się chwilowo tak straszne, iż odbierały Jadwidze przytomność. Przestała rozumować, analizować swą przeszłość; z pogardą odrzucała każdy fakt, świadczący na jej korzyść.

...Wymówki! — szeptała. — Wymówki! Jam go takim zrobiła. Bo i co? Nie panował nad na-

miętnością. A ja sama ulegam jej niewolniczo, służalczo, nikiem...

Tu następowała gwałtowna reakcja.

... Jak ja śmiem podobne snuć myśli! Uczucia moje profanować. On — i Teofil... Ja — i... miłostka. Kaprys, chuć — a potężna namiętność.. Szlachetny, wielki mój Teofil!

Pamięć wszystkich walk, wszystkich cierpień zmartwychwstała. Serce na chwilę znowu wchodziło w swoje prawo.

— I zabite ono na zawsze... — płakała z rozpaczą. — Między nami zapory nieprzeparte. Na zawsze my rozłączeni, na zawsze, na zawsze... A przy nim żyć, razem pracować, dla dzieci i drugich... Na to nie ma jednak rady, nie ma ratunku!

Poczucie swego nieszczęścia przepełniało Jadwigę, jak woda tonącego.

Tyle ciosów — tyle sprzecznych wichrów — a przecie żyła... Stan jej z przed pół roku, kiedy odretwienie zrobiło ją drewnem nieczułem... wydał jej się szczęściem.

Do tego przyłączyły się wypadki w domu.

Wiedziała, że w mieście mówią głośno o jej romansie z profesorem, i dziwną spętana siłą — nie mogła konsyliarzowej patrzeć w oczy. To drażniło ją niewymownie.

— Upadłą, upadłą jestem kobietą! — wniosko-
skowała.

Symptomata tego »upadku« przeraziły ją w stosunku do dzieci. Zmieniły się one znacznie w ostatnim półroczu, a dopiero teraz to zauważyła. Odstąpiła się od nich pogrążona w rozpacz po zdradzie Kazimierza; mało obcowiała z niemi — zaprzężnięta do maszyny, roztargnionym obrzucała je wzrokiem w ostatnich tygodniach Teofila.» Teraz dopiero rozumiała, że każdy jej uśmiech był bezwiedną pieczęcią, że każdy uścisk ręki był mimowolnem wyznaniem, tak dalece zaślepiona była jej świadomość. Oddawna go kocha!.. od lat wielu nie schodził jej z myśli, od wielu miesięcy — z przed oczu. Znikały natomiast dzieci i cierpiały na tem. Rosły, jak kwiaty, których przez czas dłuższy nie pielono i nie podlewano, dziczały. W towarzystwie innych malców nabrały jeszcze przywar i manier takich, iż Jadwiga ich nie poznawała. Zaczęły grymasić, nie słuchać.

— Czemu Oleś nie jada zupy? — pytała przy stole.

— Bo nie będę jadł, mamó — odparł czupurnie.

— Czemu?

— Bo nie chcę.

Matka podniosła się.

— Wiesz Olesiu, że »bo nie chcę« nie jest odpowiedzią. Powiedz mi jasno i zrozumiale, czy ci nie smakuje? czyś nie głodny?

— Bo, proszę mamy, ta sama zupa była wczoraj i przedwczoraj, to ja już nie chcę jej jeść.

— To nie Olesiu — odrzekła. — Małe dzieci nie powinny interesować się tem, co się gotuje. Zupa jest dobra i proszę jeść.

— Kiedy ja nie chcę...

— Oleś! Oleś nie słucha?

Kilkuchwilowe milczenie.

— Nie będę jadł.

Nigdy nie stawiał jeszcze takiego oporu.

Jadwiga wstała i wyprowadziła go z pokoju.

— Kiedy tak, to Oleś z nami nie będzie jadł obiadu.

Stefka patrzyła z rozwartą buzią to na braci-szka, to na mamę, a w małej jej główce nie mogło się pomieścić, jak można tak zuchwale odpowiadać mamie, i jak można kogoś odsunąć od stołu. Powoli drugi ten fakt, jako realniejszy, wziął górę w jej sercu. Podniosła łyżkę do ust, spojrzała na próżne krzesło i głośnym wybuchła płaczem.

— A to co znowu, Stefko?

Z drugiego pokoju wyskoczył Oleś, który dotąd milczał z zaciśniętymi wargami, uchwycił siostrzyczkę za rękę i z wyrzutem zmierzył matkę.

Ona, zamiast wytrwać jak zawsze w stanowczej konsekwencji, wzruszyła się nagle ich miłością — oddawna po raz pierwszy łagodnym uczuciem przytuliła dzieci do piersi, i po obiedzie w miejsce dawno skasowanej leguminy, dała im po kawałku czekolady.

Oleś i Stefka wraz z Frankiem sprawiły sobie bal, i długo rozprawiały na temat, iż nieposłuszeństwo uchodzi czasem bezkarnie, i że płaczem można wiele zyskać.

Te i tym podobne wypadki, nieznaczne a jednak decydujące w formowaniu się charakterów przysparzały Jadwidze coraz więcej zgryzot i ukłuc bolesnych. W dodatku były dzieci rozdrażnione. Po dziesięć razy na dzień pytały: kiedy pan Teofil przyjdzie?

Kiedy, i czy powróci, gdzie i zaczem przebywa? Te pytania nie schodziły jej z myśli, przewijały się wśród wszystkich udręczeń, wśród wszystkich gwałtownych prądów.

Okolo pierwszego września katusze jej osiągnęły zenitu.

Mówił wyraźnie, iż powrót jest niepewnym.

Czy uciekł przed nią? przed ogarniającą i jego miłością, którą osądził za beznadziejną? Czy...

Na to przypuszczenie dostawała zawrotu głowy. Być przez niego kochaną, jego lwia głowę swojemi

dłońmi pieścić, do niego należyć duszą, ciałem, całą istotą.. Ginąc w tej miłości, ale zaznać jej..! Porwana tą myślą zapominała o świecie, o dzieciach, o tym drugim, padała wyczerpana nadmiarem uniesienia miłosnego, padłaby tak przed nim...

...I to ja... ta sama istota, co przed kilku laty? Po burzach i troskach odzyskała była wówczas równowagę. Wytworzyła sobie była program postępowania, posiadała rodzaj przykazań, wzorów etycznych, podług których uregulowała czynny swój żywot. Teraz?

Teraz poznała, iż nie ma żadnej etyki. Tamta wystarczała jej wśród spokoju, monotonii i dobrobytu; namiętność wszedłszy w grę — roztrząskała jej tablicę z przykazaniami, potargała wszystkie teorye i przekonania. Zapanowała samowładnie.

Teofil zjawił się.

W tydzień po zapisie do szkoły ludowej wpadł Oleś z krzykiem, rzucił tabliczkę na ziemię i zaczął skakać:

— Pan Teofil jest... pan Teofil idzie...!

Jadwiga uchwyciła się stołu.

— Co? gdzie?

— A spotkałem go na drodze... Zaraz tu będzie.

Wybiegł ze Stefką do sadu, by go powitać, a Jadwiga skryła się w trzecim pokoju.

Otarła twarz mokrym ręcznikiem, robiła wszelkie wysiłki, aby zastanowić łyzy i ochłonąć. Była nawpół nieprzytomną.

Zmieniła się nagle, gdy ją z sąsiedniego pokoju doszedł głos jego. Uśmiech niewysłowionej rozkoszy rozjaśnił twarz jej, pochyliła się głową, falującą piersią ku drzwiom z drżącemi rękoma.

Zapukał, a ona uspokoiła się prawie całkowicie. Rumieniec tylko, przejrzysty szkarłat, okrywał twarz, czyniąc ją dziwnie świeżą i dziewczęcą, gdy wyciągnęła obie ręce i naturalnym, słodkim swym głosem wyrzekła:

— Witam pana...

On był poważny i nieśmiały, jak zawsze. Dotknął się podanej sobie ręki, potem odpowiadał długo na niewyczerpane pytania dzieci.

— Ale jakże pan zmieniony! — zaczęła Jadwiga przypatrując mu się uważnie ze sercem bijącym całkiem spokojnie. — Zmizerniałeś pan, nabraweś kolorów niezdrowych... Czyś pan miał jakie zmartwienie? natężyłaś się może zanadto w pracy?

— Ani jedno, ani drugie, łaskawa pani! -- odparł czesząc palcami brodę. — Przeciwnie,

czuję znaczny zasób sił i energii... Byłem przez cały czas w Zakopanem...

— W Za - ko - pa - nem...?

Tak, odpowiedział, gdyż stolice nie nęciły go, a biblioteki nie wszędzie otwarte. Natomiast powietrze górskie, wspaniała przyroda służyły mu bardzo dobrze... Nic przez cały czas nie robił, jeno porządkował notatki, z których chce zesta-
wić artykuł; żadnych więcej zmian ni nowości nie ma.

Podczas gdy dzieci bawiły się piłkami i siekierkami góralskimi, rozmawiali oni oboje tonem, jakby się wczoraj dopiero rozeszli w najlepszej komitywie.

Odszedł za pół godziny z dawnym pożegnaniem: Najbliższa lekcya w niedzielę. Do widzenia...

I zaczęli się znowu widywać regularnie, wśród tych samych warunków, co dawniej.

W Jadwidze dziwna zaszła zmiana. Dopóki była z nim razem, czuła się chłodną i swobodną; usta składały się zawsze do serdecznego uśmiechu, przepuszczały tkliwe przyjazne słowa, a bez śladu zakłopotania lub wzruszenia. Słuchała z wielką przyjemnością jego wykładów, rozumiała każde słowo, krytykowała je obiektywnie i logicznie. Gdy odszedł — wpadała w zupełny rozstrój. Błądła i rumieniła się przed sobą samą, szamo-

tała się z tysiącem widziadeł i rojeń, jakie ją dręczyły, stawała się pastwą żądz i tęsknot bezgranicznych.

Stan ten zmienił się powoli, w stopniach nieznacznych, ale dostrzegalnych dla nadzwyczaj uwrażliwionych jej organów. Oto Teofil stawał się z każdym dniem powściągliwszym i zimniejszym.

Godzina jego lekcyj powtarza się z systematycznością kupiecką. Przychodzi, wymienia słów kilka lub kilkadziesiąt o sprawach potocznych, obojętnych, lub o tem, co nowsze donoszą pisma, potem bierze do rąk jej wypracowanie lub dyktuje nowe.

Z czoła jego fałdy posępne nie schodzą.

Niepokój Jadwigi osiągnął punktu graniczącego z obawą o utratę zmysłów.

Straciła z przed oka widmo Kazimierza, zamknęła uszy na jego złorzeczenia; dała dzieciom nieograniczoną prawie wolność a chwilami wpadała w największe z ich impulsu rozdrażnienie; na wierzchu i na dnie wszystkich rzeczy, formą i treścią wszystkich myśli — był on...

Zebrane od ośmiu lat uczucia były w niej zamknięte i dotąd mrożone grubemi lodu warstwami; słońce padło na nie z całym żarem i sto-

pily się i wezbrały i pędzą rozszalałe, zniszczeniem, grożąc potopem.

W pewnych chwilach widziała te rozpędy całkiem jasno i znowu biczowanie się i znowu bezsilny gniew i żal następował. Potem wołała :

— A niech się stanie, co chce... Nie poto dała mi przyroda życie, abym się go dobrowolnie pozbawiła... Nie poto potężne te uczucia wybijały we mnie, by się w zółć i jad zamieniły... Okowy — ludzie — ciężą na mnie... Dobrzy ci sobie! Sprzedać się ostatniemu z nędzników tego świata wolno, połączyć się z tym, do którego wszystkie instynkty, głosy rozumu, porywy serca prą mię — nie wolno... A czemu? Czyż demoralizacją będzie, jeśli wraz z nim dzielnie i umiejętnie będę pracować dla dzieci? Przeciw połączeniu się z tym, który znikczemniał do ostatecznych rozmiarów — świat nie ma, tylko przeciw miłości prawdziwej... A niechże zaprzepaści się taki świat, a co najmniej — dla mnie, dla mnie nie powinienby istnieć; ignorować go, porzucić...

— Ale on tobą pomiata! wołał w tej chwili do niej z urąganiem głos inny. — Miał litość dla ciebie, bo jest szlachetny; możeś była dlań i interesująca, ale...

To »ale« stało się cierniem, tkwiącym w sa-

mem centrum duszy. Kosztem ostatnich wysiłków zdobyła się na zimne oblicze i patrzyła w jego oczy, wsłuchiwała się w jego ton. Może odcień, brzask gorętszy ujrzy...

Nie!

Wiele razy musiała uciec z pokoju lekcyi. Wiele razy, gdy chłodnym, profesorskim tonem zaczynał i kończył cały czas u niej spędzony, gryzła do krwi wargi, by nie wybuchnąć łzami; tamowała oddech, by nie krzyknąć głosem, coby całą duszę w sobie zawarł:

— Teofilu!

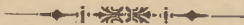
Nieśmiałość, bezwładność ogarniała ją jednak. Całemi nocami czuwając, układała tysiąc planów. Wypyta go serdecznie, po siostrzanemu, co mu jest, skąd ten wyraz cierpienia na jego twarzy, skąd pieczęć na ustach. Wypyta — poda mu rękę... Bo to pewno, że on nie jest szczęśliwy... Nie żył dotąd dla siebie, żadnej nie ma nagrody po łamaniu się z losem... Nie zaznał młodości, nie ma i teraz wokoło siebie ciepła, przyjemności, dźwięgni w życiu. Po tylu walkach, po tylu pracach stoi samotny, w pustkowiu...

Zapyta go o to...

Wskaże mu dzieci swe... Rosną niekierowane ręką mężczyzny; kto je podtrzyma, kto je popro-

wadzi? Ona czuje niemoc, nieudolność teraz już, a w czternastym roku życia potrzebują one bardziej ręki opiekuńczej, niż w siódmym...

— Oszaleję, oszaleję chyba... — kończyła w płaczu konwulsyjnym.





XV

Mysł o dzieciach należała do najcięższych utrapień smutnych tych tygodni. Szczególnie Oleś, od czasu zetknięcia się z kolegami szkolnymi, nasiąkał tyłu wadami, że Jadwiga głowę traciła. Nasiąkał — a może istniały w nim od dawna. Teofil wspomniał był kiedyś o dziedziczności. Jedyny to punkt wyjścia. Uczucia dodatnie, dobroć, słodycz, uczciwość, są miękkie, niewielkiej tęgości, i w procesie przekazywania znamion swych charakterów dzieciom ulegają może silnym, brutalnym popędom egoizmu, samowoli, drapieżności. Czyż i w życiu, w każdej walce o byt tak nie bywa? Więc Oleś miałby w sobie zadatki duszy ojca — nie matki?

Dotąd — nie objawiły się one... nie miały

pola. Cztery ściany domu, wygodne i rozkoszne, słodycz matki, uwielbienie siostrzyczki, poddaństwo towarzyszy zabaw — to wszystko nie wywoływało demonstracyi złych stron jego charakteru, a skrycie żywiło je... Ostatnie miesiące — zdrada Kazimierza — maszyna — Teofil — odciągnęły wzrok Jadwigi od niego. Potem zeszedł się w szkole z półsetką kolegów i zaczął z nimi się ścierać. Spoczywające w nim zarodki wyzwalały się...

Jadwiga sił nie miała.

Pożegnawszy ostatnim razem Teofila w przedpokoju, wróciła i zastała dzieci w kłótni.

Oleś zaperzony, w postawie wojennej, stał w środku izby. Jedną ręką przyciskał do piersi pudełko, drugą, w kułak zbrojną, wyciągał przed siebie.

— Nie, nie, i jeszcze raz nie! — krzyczał kogucim tonem. — To moje i ja się chcę tem bawić. Czemu ty sobie sama nie robisz?

Stefka uchwyciła pudełko, lecz cofnęła się przed młynkiem groźnej pięści.

— A nieprawda! — wołał ze swej strony Franek, który nietylko w słusznych sprawach, ale częstokroć i w niesłusznych stawał po stronie Stefki. — Niech Oleś odda, bo, dalibóg, powiem twojej mamie.

I on uchwycił pudełko, i nad nim zawisła pięść Olesia. Starszy i tęższy, z łatwością mógłby obalić przeciwnika, mimo to odskoczył z całą pokorą syna chłopskiego.

Tego Stefce było już zanadto. Rozplakała się na głos.

— Co się znowu stało, dzieci? — zabrzmiał głos Jadwigi u progu.

— To Oleś zabrał pudełko i stolik, co my sobie zrobili, i nie chce oddać, proszę pani.

— A nie dam! — krzyknął Oleś z iskrami w oczach. — My się teraz w gospodarstwo bawić nie będziemy, nie... ja nie chcę!

— Oddaj pudełko, proszę cię — rzecze matka spokojnie. — Jak nie chcesz się bawić w gospodarstwo, to nie baw się, ale im nie przeszkadzaj. Jak widzę, to ty chyba nie kochasz już Stefki, ciągle się z nią droczysz...

Oleś nie zmienił pozycji.

— A nie kocham jej i pudełka nie dam — odmruknął ze zmarszczonem czołem.

— Jeszcze raz cię proszę, oddaj pudełko...

Chłopak oburącz przycisnął je do piersi i usta zaciął. Aż drżał, w takim był uniesieniu.

Jadwiga podeszła, ujęła je ręką.

— Oleś! — wyrzekła surowo.

— Czego mama chce ode mnie? — zawołał

ze złością i płaczem. — To moje i ja nie dam. nie dam... Mama taka niedobra...

Stefka przeraziła się tem niesłychanem bluznierstwem.

— To ty niedobry! — zawołała.

— A ty głupia! — burknął pogardliwie.

Zdenerwowana Jadwiga utraciła zwykły w stosunku do dzieci spokój. Jedną ręką ujęła jego ściśnięte piąstki, drugą wyrwała zabawkę.

Czyniła to bez wysiłku, ale ręce, które poraz pierwszy gwałtownie spoczęły na dziecku, silnie drżały.

Oleś popatrzył na nią roziskrzonym wzrokiem; zdawało się, że podskoczy i wyrwie.

Ale mała Stefka ozwała się w tej chwili:

— Niech mu mama odda pudełko! Powiem panu Teofilowi, jaki on niegrzeczny...

Oleś w jednej chwili się zmienił. Rzucił się do matki, namiętnemi pocałunkami okrywał jej suknię, padł na podłogę z płaczem, by mu «dyamentowa mamusia jeszcze ten raz darowała» i nie powiedziała panu Teofilowi.

Takie i tym podobne sceny przejmowały Jadwigę do szpiku kości. Główna podstawa, na jakiej dotąd się opierała: energia i wiara w siebie; jedyny dotąd cel w życiu: dobre wychowanie dzieci — zachwiały się w posadach. A jedynym,

co był w stanie podeprzeć je, to — on...

On jednak zdawał się nie widzieć tego, nie myśleć o tem. Od pewnego czasu ograniczył swe wizyty i obojętniał względem dzieci. Wspominał o obciążeniu się pracą, o studyach — jakby tylko umysłem żył, jakby po za nim, nic więcej nie miał w życiu, nic...

A Jadwigę bojaźń ogarniała wobec niego. Ona, która tyle razy zdobyła się na czyny heroiczne, która do wszystkiego przykładała miarę krytyki i sceptycyzmu — teraz czuła, że wobec tego człowieka, wobec surowej, a aureolą szlachetności, i cieniem dziwnej melancholii okolonej twarzy, staje się inną kobietą, pokornieje, patrzy mu w oczy z potulną uległością, obawia się zmarszczenia jego czoła...

Wybuchła na siebie z całą siłą.

— Kobieta jestem, kobietą w najpodlejszem znaczeniu tego słowa! Bez siły, bez poczucia godności... Nieodłączna chorągiewka, zależna od poddmuchu męczyzny, nędzna...

Istotnie — kobietą tylko była; kobietą, w której ta «kobiecość», gnębiona przez lat tyle, skoncentrowana i silna, wyzwoliła się...

Natrafiała na Teofila, w pewnych chwilach zdawało jej się, że go nienawidzi, bo on — jej nie-szczęściem. Nie czuła atoli tej nienawiści, bo

oczy jego były niekiedy tak smutne, tak smutne...
iż serce jej pękało.

Kilka miesięcy tak upłynęło.

Po obiedzie wydała raz kucharce na kolacyą, aby mieć spokój, i zaczęła przechadzkę po bawialni. Stała przed zwierciadłem i odwróciła się, pełna wstrętu dla swej osoby. Dziwna! Bole, jakie ją nurtowały, nie piętnowały jej oblicza szpetotą i starością. Tęcza jej bogaty i wspaniale modelowany, szyja, ramiona, skronie tej jasnej świeżej, miękkiej białości, co olśniewa i nęci. We figurze jej była jakaś niemoc, ociężałość, jakby cała była rozmarzona, ociężałość, co dla mężczyzny mogła być słodką i czarowną... Oczy jej — jakby zmieniały kolor, stały się szafirowe, to fioletowe; wskazywały głąb jakąś przepaścistą, to rozstrzelone, błyskawicowe prądy, to spokój kryształowej tafli jeziora, owianej ciszą i wonią wieczorną, jaśniejącej gwiazdami...

Mimo srebrnych pasem włosów, które były tylko poto, by dodawały blasku kruczym, gęstym warkoczom i czyniły ją nieprzeparcie zajmującą — była Jadwiga w rozkwicie, w rozpromienieniu całej niepospolitej swej urody.

Zwierciadło to powiększało jej męczarnie.

Mówiła sobie o zestarzeniu się, o znużeniu życiem. Mówiła sobie, iż nie ma prawa do rojeń.

że zbrodnią jest chęć sprzęgania się z nim... złamana uciskiem tyłu rozczarowań, tyłu walk i cierpień, straciwszy siły żywotnie.

Zwierciadło kłam jej zadawało. Wskazywało to, co sama czuła w całym organizmie, we wszystkich żyłach, w tętnie serca: młodość, żary, rwące się szwały miłosne... miłosne...!

Zdawała się nieraz mdleć, zalana tym żarem, tą obfitością tryskających w niej soków.

I dziś miała taki dzień.

Odrzuciła przypiętą do stanika różę jesienną.

— Przekwitła, bez woni... — szepnęła z gorzkim uśmiechem.

Wyrzała przez okno. Teofil nadchodził.

Musiało zająć coś nadzwyczajnego. Nigdy nie przybywał o tym czasie. Skóra jej zrózowiała zlekka, ramiona drżały, jakby rozłożyć się miały i porwać w objęcia...

Zacięła usta, podała mu rękę.

Teofil trzymał plikę druków i szedł ze Stefką.

— Dzień dobry! Już mała rozpoczęła koło pana obłęzenie...!

— A jakże. Musiała przecie pochwalić się, że kończy duże abecadło.

Odłożył palto i przyniesione pisma.

— A ponieważ mowa o chwaleniu się, muszę i ja o sobie coś podobnego powiedzieć.

— Oh, to coś nadzwyczajnego...!

...Żeś się też zdecydował raz o osobie swej ze mną pomówić — chciała dodać, lecz umilkła, obserwując go ze swego krzesła z naprężoną ciekawością. Widząc, że sięga po papiery, zwiesiła smutnie głowę.

...Jak zawsze... — pomyślała.

Uwadze Teofila zmiana ta nie uszła.

— Naturalnie — powiada z uśmiechem — że ja, jako człowiek ulepiony z bibuły i z atramentu, tylko druki mogę pani prezentować. Tym razem coś istotnie ciekawego.

Podał jej gruby zeszyt.

— Oto ostatni numer warszawskiego «Przełądu naukowego», a w nim rozdział wstępny mojej «Cywilizacji w Polsce»

Jadwiga porwała zeszyt.

— Ah, to dobrze, to pięknie!

— A oto — ciągnął dalej, nie odrywając od niej wzroku — przysłał mi księgarz ostatnie numery tygodników i pism codziennych. Coś z dziesięć referatów i recenzji pomieszczono tutaj — dodam odrazu: bardzo przychylnych.

Jadwiga objęła go okiem promieniejącem. Usta jej rozchyliły się w uśmiechu szczęścia.

— Mówiłam to panu, przeczuwałam... Pokażże pan prędzej... Ależ to najwybitniejsi nasi

autorowie piszą o panu. Jakżeż to od razu przeczytać... Więc dobrze przyjęto pana?

Słowa jej i ruchy, świadczące o głębokiej radości, przejęły Kazimierza silniej, niż był pragnął. Wzdrygnął się i nagle stracił swobodę i humor.

— Co w tem szczególnego! Pobieżne notatki dziennikarskie, przez nieznawców pisane... Przyjęto mnie dobrze, tak dobrze, aż się boję.

Jadwiga oderwała oczy od gazet.

— Co znowu?

— Bo wszyscy mnie chwają — odrzekł, szarpiąc wąs. — To jednomysłne uznanie świadczy tylko, że autor jest miernotą. Gdyby posiadał własny indywidualizm, oryginalność poglądów, przekonania silnie uwydatnione, śmiało, spotkałby się z odporem, z przeciwnikami...

Ona odśmiejnęła się na to oczyma, które z poza długich rzęs snopem światła na niego pały, ustami pałowemi, całą twarzą różową i błogą.

— Dzikie masz pan pretensye, powodzenie zaczyna psuć pana. Słuchaj pan: «Jeżeli nauka i praca obywatelska są dziś jedynemi kolumnami naszego gmachu społecznego, na który ze wszech stron, z góry i z dołu ciosy padają — to dr. Zahradnik potężny zaczął budować filar. Fundament i plan architektoniczny, jakie już znamy, wska-

Teofil

zują na niepospolicie uzdolnioną, sumienną i dzielną rękę...»

Czytała, a głos jej brzmiał wzruszeniem i dumą i radością.

Teofil patrzył na nią; siwe jego oczy nabierały coraz ciemniejszych, odcieni, błyskiem stalowym prześlizgnęły się po głowie, po twarzy, po szyi czytającej i zatrzymały się, wpatrzone w jakiś punkt na dywanie.

— Pani łaskawa — wyrzekł grobowym tonem, — niech pani odłoży...

— Czemu? — zawołała z rodzajem przestraszenia.

— Dlatego... dlatego... bo doznaję wrażenia, jakby pisma i pani... paliły... kadzidła zmarłemu...

— Co panu się stało? I to pan mówisz? Obecnie — w sile swej twórczości, u progu pracy wielkiej i zasługi wielkiej? Pesymizmem chcesz się paraliżować, gdy się wszystko do pana uśmiecha, a życie dopiero zaczyna, doprawdy...

Nie dokończyła; twarz Teofila nagle zbladła i wargi drzeć mu poczęły, jak człowiekowi, tłumiającemu silne cierpienie.

Sama prądem takim porwana, uchwyciła jego rękę. Silnie, gorąco, obu dłońmi uściśnęła ją, stojąc obok niego tak blisko, iż niemal piersią go dotykała.

— Panie Teofilu, czy zawsze będziesz pan dla mnie tak zamkniętym, tak obcym? zawsze skrywać będziesz w głębi serca myśli swe i marzenia, troski i ból?

Zapłonęła wielkim ogniem, ręka Teofila elektryzowała ją całą magiczną siłą.

— Nie zasłużyłam na to, zaiste. Pan nie masz zapewne istoty na całym świecie, co by ci tak dobrze życzyła, jak ja, a może i zrozumieć potrafiła... A pan tak odsuwasz serce... siostry...

Spojrzała mu w oczy, zapłoniona, drżąca, a głos jej miękki, przytłumioną pieśczętą i błagalną prośbą brzmiący, przy ostatnim wyrazie zniżył się i ledwie zabrzmiał słodkim, tkliwym, ledwie dosłyszalnym tonem.

Zmartwiałe oczy mężczyzny błysnęły snopem iskier, głęboko wciągnął w siebie powietrze, jakby mu tchu zabrakło, jakby przed czynem heroicznym, lecz ostatni wyraz padł nań jak prąd zimny.

Gwałtownie wysunął swą rękę, odskoczył, poczem przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Pani łaskawa — zaczął po chwili — jak można brać na seryo mój bajronizm? Jak pani mogła głębsze nadawać znaczenie temu, co nie jest niczem więcej jak chwilowem zdenerwowaniem,

goryczą, płynącą z poczucia słabości sił i samotności na świecie...

Mówił urywanemi, fałszywemi dźwięki.

Na twarzy Jadwigi matowa osiadła białość.

— Rozumiem zupełnie — powiada — że do pytań powyższych nie miałam prawa, tembardziej do tajemnic...

Teofil usiadł ciężko tuż przy niej.

— Pani mię krzywdzisz temi słowy — odparł po chwilowem milezeniu. — Czyż potrzebuję zapewnić, że mam dla pani... cześć głęboką ?

Uciał, nie mógł, czy nie umiał inaczej się wyśłowić. W niej wszystkie uczucia skłębiły się, wezbrały.

W tej samej chwili drzwi pokoju się otwały.

Oleś wpadł z hałasem. Odrzucił na sofę torbę, czapeczkę i rozbierając się, wołał:

— A ja wiedziałem, że pan Teofil teraz tu będzie. Ja mam panu tyle opowiedzieć, tyle ciekawych rzeczy...

Srebrzysty, żywy głos jego wstrząsnął obojgiem. Ucałował rękę matki, ona twarz długo przycisnęła do jego główki.

— A gdzie Stefka? — zapytał. — Pójdę zawołać ją i będziemy znowu wszyscy razem. Dobrze?

— Nie, dziecko — wymówiła Jadwiga powoli
— Zostań teraz z nami...

— Miałeś przecie coś opowiedzieć? — do-
dała z wysiłkiem.

— Aha! — wykrzyknął, stając między dwo-
ma krzesłami, między gościem i matką. Podniósł
na nią błękitne, mądre swe oczy.

— Mamo, czemu każdy chłopiec ze szkoły ma
tata, a ja nie?

— Olu! — zawołała.

— Jak my wyszli z klasy — mówił chłopak
dalej — to każdy opowiadał coś o swoim tacie;
tylko ten Marczuk, ten, co teraz ubrany jak w le-
cie, bo bardzo biedny, mówił, że jego tato na
cmentarzu... A ja... ja nie nie mogłem powie-
dzieć...

Oczy jego zaszklily się nagle.

— Mnie się także pytali, a ja im powiedział,
że mam tylko mamę, że nie miał tata, to się
tak zaczęli śmiać ze mnie, mamo! i krzyczeli na
mnie, że chłopiec bez ojca...

Łzy popłynęły po twarzyczce, którą zwracał
od matki do Teofila.

Oni oboje w tej samej chwili, dla ukrycia
pomieszana, czy porwani uczuciem, skłonili gło-
wy nad włosami Olesia. Stało się to tak równo-

cześnie, że Teofil uczuł obok swej twarzy płonące, aksamitne lice Jadwigi.

Rzucił się wstecz gwałtownie, a malec uchwycił go za rękę.

— Wie pan co? Ja sobie pomyślałem: przyjdę do domu i poproszę pana Teofila, i on będzie moim tatem. Dobrze — prawda?

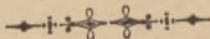
Tego było za dużo dla obojga. Jedną pchnięci potęgą, zatopili w sobie rozżarzone oczy, ujęli się za ręce.

Teofil zatrzymał ją z siłą, jakby zgromadzone od wieków uczucia chciał w nią przelać.

— Słyszysz Jadwigo? — szepnął. — Chcesz być moją?

— Jam już dawno twoja! — odrzekła, nie wiedząc prawie co mówi.

Zanim się potem opamiętała, zanim Oleś otworzył usteczka — nie było już Teofila w pokoju.





XVI

Y trzy dni po obopólnem wyznaniu wysłał Teofil do Jadwigi list następujący:

«Pani! Po tem, co zaszło, nie mogę dłużej się ludzić; albo będę żył z Tobą, albo muszę zakopać się gdzieś daleko i głęboko od Ciebie — bo obok Ciebie dłużej istnieć mi niepodobna.

Tak i przed dziesięciu laty. Byłaś pierwszą kobietą, do której serce me zabiło, goręcej i potężniej niż do wszystkich ideałów. Zmuszony opuścić Lwów, znalazłem był ulgę i ratunek w ciężkiej pracy. Po ośmnaście godzin na dobę pracowałem, by zdobyć dla osierociałej familii kawał chleba — egzystencyą dla siebie i bogatszy zasób wiedzy, a najbardziej — by zapomnieć...

Zapomnieć — nie zdołałem, jeno stłumić w sobie.

Wśród ciężkiej walki o byt -- wspomnienie o Tobie, Pani, było prawie jedyną rozkoszą żywota. Byłaś blaskiem słonecznym, wpadłym do nędznego poddasza głodnego studenta; czystem wcieleniem jego tęsknot i wizyj poetycznych; pierwszą duszą, na której kartach widziałem myśli swoje i cele wypisane jasnymi głoskami.

Bez namiętności, lecz nigdy bez wzruszenia, myślałem o Tobie, Pani, i o złotym śnie mej młodości; pewny, iż odtąd mogę w kobiecie widzieć li tylko obowiązek lub rozrywkę.

Traf chciał, żem przed piętnastu miesiącami przybył tutaj.

Spostrzegłem Cię, i oburzenie na łos, któregoś była igraszka, postawiło mię odrazu po Twojej stronie. Słyszałem opowieść ś. p. proboszcza, widziałem Cię zbliżoną, znalazłem się pod czarem Twego bezpośredniego wpływu — i jakżeż miałem Cię nie wielbić, Jadwigo...!

Stoję teraz w połowie zwykłego życia ludzkiego. Za sobą nic nie mam, coby mnie rozjaśniło i krzepiło, przed sobą widzę jedno chyba — pracę, ale pracę Syzyfa. Ani sobie, ani społeczeństwu korzyści przysparzać nie potrafię. Bo cóż wypłynie z duszy, zgorzkniałej, dręczonej i ranionej od pierwszej młodości we wszystkim, co jej najdroższe i najświętsze?

Z Tobą, Pani, ach, z Tobą...! Pisać nie mogę, rozum mi się mąci na samo wyobrażenie tego życia...

Słyszę jednak głos Twój — o niewoli; na rękach, które mi podajesz, brzęczą okowy. Wieleż to razy głową o nie tłukłem, obrazem rodzeństwa swego bronić się musiałem przed pokusą ostatecznych kroków rozpaczy. Nie opuszczałaś mnie w zgiełku pracy mej zarobkowej, towarzyszyłaś mi na szczyty Tatr, a dłoń nieubłagalnego losu, ciężąca nad Tobą, pchała mię tam na dno przepaści. Nie padłem atoli, musiałem wrócić do Ciebie, musiałem, mimo powziętego postanowienia, iż nie wrócę.

Teraz stoję przed pytaniem, które od chwili, gdy się przekonałem, iż miłość moja gorąca promieniując i Ciebie przenikła, jest jedyną treścią moich rozpamiętywań. Jak uregulować nasze życie?

Piszę tych słów kilka z całym możliwym spokojem i obiektywizmem. Nie jesteśmy w pierwszej wiosnie młodości i nie wolno nam haszyszem poezyi oszołamiać swych umysłów. Jestem też mężczyzną i potrafię przenieść raczej najboleśniej-sze następstwa rozłąki, aniżeli w przyszłości wyrzut sumienia, iż moja lekkomyślność zrobiła Cię bodaj na chwilę nieszczęśliwą.

Między mną a Tobą, Pani, jeden tylko może istnieć pomost: przekonania nasze. Tylko one mogą nas łączyć; oddzielić nas może tylko świat.

Znasz Pani moją etykę. Nie buduję jej na chrystyanizmie; lecz i Chrystus nie był Mołochem; nie żądał ofiar na całopalenie, a zwyrodniałe formy żądają ich; jego instytucje są dla ludzi, nie ludzie dla nich. Moja etyka wypływa ze zrozumienia praw przyrody i względu na dobro ogólnospołeczne. One mi mówią, że chleb i miłość są elementarnymi prawami każdej jednostki; że potrzeby te należy i można zaspokoić wszelkim kosztem, byleby ten nie służył chwilowemu egoizmowi osobnika, a mógł stać się normą postępowania dla całego społeczeństwa. Abnegacyi, glossy świętej Teresy — nie rozumiem!

W danym wypadku widzę jasno, iż zasady nasze, zamienione w kierownicze dla ogółu, byłyby dobroczynnymi. Pomogłyby mu do zwycięstwa w walce o byt, podniosłyby zdrowie i piękność jego generacyi, prawdę i miłość między obiema płciami, a temsamem dobrobyt jego i kulturę. Czy może istnieć wznioślejsza etyka?

Zasady te uświęcają naszą miłość, Jadwigo, i każą nam się połączyć. Pozwalają nam się połączyć, podczas gdy uczucia prą z całą siłą potęgi żywiołowej, podczas gdy wbrew nawet wszelkim

zasadom, nad wszystkimi zasadami, góruje we mnie jedna myśl: Kocham Cię, Kocham, Kocham...

Nie jest to rojenie młodzieńcze, ani kaprys starczy; twarda we mnie natura, skryształizowany rozum, wola nie łamiąca się tak rychło. A cóż mi one pomogą? Spokorniały, umilkły, jak ciury stoją przy boku pana, który samowładnie mną rządzi. A jest nim serce. I owszem, niech mi kto wskaże środek, jakby go poskromić, uwięzić, wygnać. Próbowałem, zbroilem się, walczyłem. To niemożliwe! Dopóki to niemożliwe, ma miłość nasza prawo do bytu.

Zaczynam rozprawiać, kwestyonować. POCO? Przed sobą usprawiedliwiać się nie potrzebujemy. Oprzeć się głodowi, oprzeć się chorobie, oprzeć się śmierci — nie zdołamy. Moje uczucie także tejsamej natury. Tylko że otwiera mi widoki tak świetlane, przyszłość tak piękną, bogatą w rozkosz, w szczęście, w pożytek...

Muszę odłożyć pióro.

Proszę Pani, czemu mamy paść ofiarami święta? Cóż zrobił on kiedy dla nas, lub co da w zamian? Gdyś bolała, zapasy o życie i śmierć toczyła, padała pod krzyżami — co miał on dla Ciebie? Budzi się z obojętności wtedy tylko, gdy ma rzucić na kogo kamieniem potępienia. I dla tego mamy obecnie...

Prawda, są dzieci.

Położenie Twoje, Pani, nie jest atoli tej miary, co przeciętnej kobiety. Inna, żyjąc z mężem, ma względem niego obowiązki; idąc za głosem kaprysu, za głosem egoizmu, za głosem dwóch naraz mężczyzn, jest występna, w obliczu prawdy, w obliczu dzieci, w obliczu społeczeństwa.

Ty, Pani, jesteś wolna! Jesteś wolna wobec przyrody, wobec każdego racjonalnego człowieka. Ten, z którym się rozstałaś przed sześciu laty, nie ma prawa do Ciebie, a ogólna norma etyczna każe Ci szukać szczęścia tam, gdzie czyste jego źródło, szukać dźwigni w życiu, oparcia dla dzieci, wychować je dobrze, i ślubem miłości i wspólnej pracy związać się z tym, który bez Ciebie możeby i żyć nie mógł...

Wszak prawda, szlachetna, droga Jadwigo?

Innego zdania jest świat, a właściwie większość jego. Większość składa się zawsze z ludzi niemysłących, a ich reprezentantami są ci, co mają dosyć egoizmu i sprytu, by wyzyskać sytuacją.

Tacy przeważnie ludzie układali ustawy, które nas nazewnątrz obowiązują. Ich kodeks prawny nie jest kodeksem moralności. Nasze ustawy rzucają na Ciebie okowy, których — czyż nie straszne to wypowiedzieć! — kodeks ten, wzorowany na pa-

pieskim, w żaden sposób rozkuć nie chce. Pozwała na separacyą, ale po śmiertelnych trudach, a i po niej daje pierwotnemu małżonkowi prawo oskarżania kobiety o niewierność... jego cieniowi. Jestto najohydniejszy wybryk fizycznej przewagi mężczyzny w prawodawstwie, mężczyzny, który nigdy kontrolować się nie daje, a żonę uważa za rzecz swoją, za własność. Dawniej palono ją po jego śmierci na stosie wraz z koniem i zbroją; dziś każą umierać jej powoli... jeszcze za jego żywota. Czyż nie tak z Tobą?

Wobec tego błagam Cię, Pani, na nadzwyczajne zło — zdecyduj się użyć nadzwyczajnego środka. Nadzwyczajnym jest on w codziennych stosunkach, ale Ty, Jadwigo, jesteś wyższa, szlachetniejsza i biedniejsza...

Dwie drogi nam pozostają, aby mózdz żyć w naszym społeczeństwie.

W Austrii jest rozwód niedopuszczalnym, lecz możliwym jest we Węgrzech, dla obywateli węgierskich religii protestanckiej. Tam musielibyśmy zamieszkać z dziesięć miesięcy, wystarać się o obywatelstwo tameczne, a potem — prawnie zaślubieni, moglibyśmy osiąść w Galicyi, w innem mieście, dokąd postaram się zostać przeniesionym. Droga ta jest przykrą — wiem o tem; są po niej liczne kłamstwa konwencyonalne, ale na-

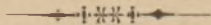
tury czysto formalnej, nie duchowej. Przytaczam ją ze względu na dzieci, które mogłyby cierpieć, gdybyśmy pozostawiali poza obrębem ustaw i przesądów, ogólnie u nas panujących.

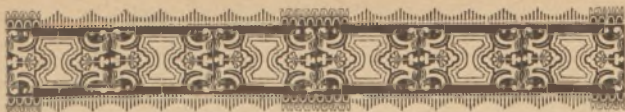
Jest i druga. Wyjeżdżajmy do Warszawy. Potrafię tam być użytecznym czasopiśmiennictwu naukowemu i zapewnić nam egzystencją.

W każdym z tych wypadków należy i można zmusić pana Zimowieckiego do aktu separacji i do zrzeczenia się prawa opieki nad dziećmi.

Z całym szacunkiem, należącym się szlachetnemu Twemu charakterowi, i z całym uczuciem głębokiej mojej miłości proszę Cię, Jadwigo, położyć kres obopólnym naszym cierpieniom i wybierz. Nie jestem teraz młodzieńcem romantycznym ale wierzę w miłość, bo muszę w nią wierzyć, widząc Twój obraz, bo silniejsza ona ode mnie, który z nią tak długo się łamałem. A jeżeli głos mój za słaby, i masz jeszcze jakie obawy, niech dzieci Twoje za mną przemówią.

Słowa te piszę, nie chcąc wywierać na Ciebie presji przez suggestyą bezpośrednią. Przeczytaj, rozważ, rozstrzygnij.»





XVI

Naraz po wysłaniu listu tego przez stróżowę, która niejednokrotnie nosiła do Jadwigi książki i pisma, otrzymał bilecik z trzema słowami:

«Czekam niecierpliwie. Jadwiga.»

Popędził jak szalony. Było to o godzinie południowej, pod koniec listopada. Mrzyło, ciemniało, a w pokoju jasno oświetlonym, wesołym i uśmiechniętym, stała Jadwiga, oparta o stół, z wyrazem twarzy, który nie był ani szczęsnym, ani burzliwym, lecz promiennym, jak chwilowy błysk słońca z za skłębionych chmur.

Teofil odrazu to dostrzegł i przystąpił z drżeniem. Powoli rozjaśniły się wielkie, szafirowe jej oczy, rzucając na całe oblicze niewymowną bło-

gość i słodycz. Przemiany te zaszły w ciągu kilku sekund, ale nie mogły ująć przeczulonym jego zmysłom.

Silnie zbudowana, męska jego postać schyliła się nad wyciągniętymi ku sobie obiema dłońmi.

— Dziękuję! — wyszepnął, podnosząc je do ust.

Ona jeszcze do słowa nie przyszła. Walcząc ze wzruszeniem, wyrzekła nakoniec:

— Patrzaj, mój drogi!

Podowała mu papier, który dotąd uważał za swój list. Rzucił na niego okiem.

— «Moja Jadwigo!»

Teofilowi zbladł i spojrzął na podpis.

— Wczoraj jeszcze to odebrałam — objaśniła słodkim, cichym swym głosem. — Nie pokazałeś się, a jam się bała zaprosić ciebie. Tak to wszystko stało się dziwnie i nagle...

Teofilowi serce topniało od jej słów. Gorączkowo zaczął czytać.

«Nie chcę ci sprawić znowu niespodzianki i uprzedzam cię, że temi dniami przyjadę. Chcę uniknąć niepotrzebnej irytacji i ambarasów i tobie to samo radzę, Jadwisiu.

«Przedewszystkiem zawiadamiam cię, że fortuna znowu się do mnie obróciła. Przed tygodniem zrobiłem kilka partyjek w naszym klubie

z pewnym hrabią ze Lwowa. Wygrałem piękną sumkę, a resztę miał mi za dwa dni spłacić. Dowiedziałem się jednak, że w jego kieszeni sucho, i powiedziałem mu, że ręka rękę myje i że mu dług daruję, jeśli mi da porządne miejsce w Banku Uniwersalnym, gdzie siedzi w radzie nadzorczej. Jakoż się stary zgodził i tak się to stało, że twój mąż jest teraz posiadaczem ładnego kapitaliku i pierwszym kasyerem Banku we Lwowie.

Teofil zgrzytnął zębami.

« A teraz moja droga, posłuchaj! — brzmiał list dalej. — Znam twój rozum i twoje serce, więc dużo słów nie stracę. Chcę stanowczo zmienić tryb życia, które mi już dyabło dało się we znaki, a zapewne i tobie. Dosyć dla nas biedy i cygańskiej tułaczki. Podaję ci rękę do zgody.

« Wierz mi, Jadwigo moja, że życie mnie dużo nauczyło. Wiem dobrze, że takiego anioła jak ty świat nie ma. I dzieci moje z pamięci mi nie schodzą. Czuję zbliżającą się starość i chcę spokojne i porządne życie prowadzić. Nie robię ci wyrzutów za przeszłość, zapomnijmy o niej oboje, postarajmy się, aby teraz było dobrze.

« Spodziewam się, żeś już nauczona doświadczeniem, i przystaniesz na mą propozycją. Przeprowadzimy się do Lwowa, otworzymy dom i będziemy żyli w zgodzie. Dzieci będą miały le-

psze wychowanie aniżeli to, które ty im dać możesz w dziurze powincjonalnej, bez pieniędzy w dodatku.

«W razie, gdybyś dotąd jeszcze była taka fantastka i ekscentryczna, jak dawniej, to muszę ci powiedzieć, że prawa do dzieci nie straciłem jeszcze, że ty sama zerwałaś nasz związek, że mnie nic złego nie można udowodnić. bo cały klub poświadczy, że jestem najporządniejszy człowiek i sąd musi mi dzieci oddać.

«Mam nadzieję, że jesteś dosyć rozsądna i praktyczna i do tego ekstremu nie przyjdzie. Zapomnijmy o przeszłości, tak jak ja o wszystkim zapominam i przysięgam ci, że całe życie poświęcę, by ciebie i drogie nasze dzieciętki uczynić szczęśliwymi. Twój — Kazimierz.»

Teofil skończył. Zobaczył przed sobą drogą twarz jej bladą jak kreda i kurczącą się z bólu.

— A ty co na to? — zapytał.

Ona drżała.

— Ja się tak boję, Teofilu, tak się boję... — wyrzekła urywanemi tony i nagle łzy trysnęły jej z oczu. — Gdybyś wiedział, com ja ucierpiała od niego! Ale nigdy tak się nie bała jak teraz...

Namiętym ruchem zarzuciła mu obie ręce na szyję, przytuliła się do jego piersi.

— Bo cię kocham... bez granic!

Teofil przylgnął do jej ust. Przez chwilę stali tak w niemym uścisku.

W kuchni dały się słyszeć silne kroki męskie. Bez poprzedniego zapukania drzwi się otwarły.

— To on! — zawołała i zsunęła się. Nie wytrzymała ciosu — omdlała.

Pierwszy przyskoczył Teofil.

— Pani!

Objął jej kibić, dźwignął i drugą ręką sięgnął do karafki.

Kazimierz przypadł również, odrzuciwszy kapelusz. Grube jego policzki trzęsły się, kocie oczy biegały po całym pokoju.

— Czyste awantury! — mruknął.

— Pani! Jadwigo! — powtórzył Teofil, nacierając jej twarz zmoczoną chustką. — To do rozpacz może dopro...

Kazimierz tymczasem się zorientował.

— To pan zapewne doktor Zahradnik — syknął gniewem nabrzmiały. — Doprawdy, tego już za dużo... tu, przy mnie...

Teofil zmierzył go wzrokiem wściekłym.

— Prędko... zawołaj pan kobietę z kuchni! — krzyknął. — Niech kto do lekarza poskoczy... trzeba ją rozpiąć...

Kazimierz miał minę, jakby go nogą chciał kopnąć. Szarpnął rękę Teofila, przesuwaną się

po alabastrowym obliczu omdlełej i położył dłoń na jej piersi.

Ona, jakby prądem galwanicznym uderzona, zerwała się.

Wciągnęła powietrze, odskoczyła.

— Precz, precz stąd! — zawołała, wystawiając przed się obie ręce.

Kazimierz sfałdował czoło. Kilka sekund spoglądał na oboje i zaczął mrugać powiekami.

— To do pana! Rozumiesz pan? — zwrócił się do Teofila.

— Do pana mówię! — przerwała wyprostowawszy się i odzyskawszy rozkazujący ton i energią wewnętrzną. — Nie znam pana i znać nie chcę. Ostatniego bezwstydu potrzeba, ażeby teraz tu przyjść do mnie, po ostatniej wizycie. Nie chcę pana na oczy widzieć... nie chcę!

Kazimierz spojrział na nią z podełba, przeszedł się po pokoju, potem powoli odłożył palto i przysunął sobie krzesło.

— Wielkie zrobiłaś postępy w ostatnich czasach, moja droga! — wycedził z naciskiem. — No, no, nie mamy sobie wzajemnie nic do wyrzucenia...

W Teofilu zakipiało.

— Panie! — powiada stłumionym głosem. — Słyszałeś pan? Pani... Jadwiga stanowczo nie

życzy sobie obecności pańskiej. Czy trzeba jeszcze wyraźniej?

— A ja życzę sobie, abys pan natychmiast pokój opuścił! — krzyknął Kazimierz, odtrąciwszy z hałasem krzesło. — Rozumiesz pan?

— Zostań pan, panie Teofilu! — zawołała Jadwiga. — A pan — tu zwróciła się z suchemi oczyma i płonąca twarzą ku Kazimierzowi — pamiętaj pan, com mówiła. Jeszcze raz to powtarzam, a jestem gotowa użyć najgwałtowniejszych środków. Znajdzie się jeszcze na pana sprawiedliwość!

Kazimierz dyszał ciężko z irytacji.

— Dyabła mi tam z całą waszą gadaniną! — krzyknął podniesionym głosem. — Ja tu jestem panem! Rozumiesz! Ja jestem głową rodziny, ja rozkazuję! A jeżeli wyjdę z tego domu, to ty z bębniami musicie pójść do mego hotelu! Rozumiesz?

W środku pokoju stał wyprostowany, z zaciśniętymi pięściami, groźny, bez isierki człowieczej w sobie — jak sam kodeks, co przez niego przemawiał.

Do pokoju w tej chwili wpadły dzieci od Franka.

— Mamusiu, mamusiu! — wołały już z kuchni. — Coś nowego się stało. U Franka kanarek...

— Pan Teofil także jest! — pisnęła Stefka i

podskoczyła ku niemu. — Kanarek dostał takie małe... — zaczęła.

— Dajżeż i mnie się przywitać z panem Teofilem! — ozwał się Oleś, odpychając ją.

Kazimierza wściekłość ogarnęła.

— Cicho bębny! — krzyknął chrypliwie. — Czy mam to panu dużo razy powtórzyć, panie Zahradnik?

Dzieci odskoczyły.

— Mamo, co to jest?

Oleś przystąpił do niego, kierując mądre swe oczęta to na niego, to na Teofila. Stefka trzymała się sukni matczynej.

— Ja się boję, mamo, ja się boję!

— Na litość, toż dzieci w pokoju! — zawołała Jadwiga zdławionym głosem i zwróciła się do Teofila:

— Rozstaniemy się teraz — powiada, wyciągając do niego rękę. — Jutro zobaczymy się znowu.

A widząc niewzruszoną jego postać, dodała:

— Ja proszę pana o to! Potrafię dać sobie radę i zachować spokój. W pierwszej tylko chwili przeraziłam się... Do widzenia, panie Teofilu!

— Dobrze! — odrzekł, uściskawszy silnie dłoń jej. — Ja wychodzę, aby działać. Idę wprost do konsyliarza, który zna trochę przeszłość tego pana,

i potem do adwokata. Dziś jeszcze będzie odpowiedź na pretensye tego pana...

Ucałował dzieci i wyszedł.

Kazimierz usiadł ciężko na fotelu i zaczął świdrować ją swym wzrokiem.

— Ah, to tak daleko zaszło między wami! — wyrzekł sapiąc. — Rozumiem już cię teraz gołąbku...

Jadwiga nie odpowiedziała, była zajęta dziećmi. Stały dotąd bez ruchu, po twarzyczce Stefki ciche łzy spływały.

— Czego chce tutaj ten pan, mamó? — zawołał nareszcie Olesz rezolutnie. — Dlaczego wyprzedził pana Teofila?

Jadwiga ujęła oboje za ręce.

— Proszę cię, Olesiu, pójdźcie znowu na kwadransik do Franka. Widzicie, że mam gościa, i nie przeszkadzajcie mi... Zabawcie się jak możecie...

Poprowadziła je ku drzwiom, lecz Kazimierz uchwycił ją za rękę.

— Ja nie chcę tego, Jadwigo! — zawołał. — Niech zostaną, chcę się z niemi zaznajomić.

— A ja pana proszę, odłóżmy to na jutro...

Nie wyrzekłszy słowa, położył Kazimierz rękę na główce Olesia.

Ten rzucił się, jak ukąszony.

Jadwiga chciała coś wyrzec, gdy Kazimierz objął Stefkę.

— Cóż to, dzieci, wy mnie nie znacie? — zaczął tonem, który miał brzmieć pieszczotliwie, a był syczącym. — Toż ja jestem waszym papą. Prawda, że tęskniliście do papy, że będziecie kochać papę?

Twarz jego wykrzywiła się grymasem.

— Żebyście wiedzieli, jakie ładne zabawki ja wam przywiózł! Aż z Wiednia. Zaraz przyniosą mi kufer z kolei i rozpakuję...

Jadwiga stała ze splecionymi rękoma, jak posąg.

— Ja nie chcę, nie chcę, nie chcę! — zawołał Oles w najwyższym rozdrażnieniu. — Pan jesteś brzydki i niedobry — ja nie chcę takiego papy. Naszym tatą będzie pan Teofil. Ja go już nawet o to prosiłem...

— Olesiu! — przerwała Jadwiga. — Daj spokój. Nic złego tobie się nie stanie...

A do Kazimierza:

— Jeszcze raz proszę pana o kilka godzin cierpliwości. Toż sam sobie szkodzisz. Zajdź pan teraz do hotelu, jutro się rozmówimy. Postąpmy rozsądnie i uczciwie...

Kazimierz rzucił się na sofę.

— Ani mi się śni — burknął. — Tutaj zostaję na noc a jutro wyjedziemy do Lwowa.

Zapanowało milczenie. Cień Jadwigi na ścianie zaczął mocno chwiać się, potem znikł wraz z dziećmi.

Kazimierz pozostał sam. Zapalił sobie cygaro i zaczął przechadzać się po pokoju. W świetle lampy błyszczała łysina jego, błyszczała twarz cała, jak łój zabarwiony, i zęby fałszywe z ust mu błyszczały, ilekrotnie dym puszczał.

Z rękoma w kieszeniach i czołem zmarszczonym czekał.

Za kwadrans wróciła Jadwiga w towarzystwie mężczyzny wysokiego wzrostu o szpakowatych wąsach i poważnem obliczu.

— Pan doktor Olszewski, pan Zimowiecki — wyrzekła, przedstawiając ich.

Kazimierz ukłonił się sztywnie, konsyliarz nie wyciągnął ręki.

Jadwiga usiadła blada, ale spokojna, i wskazała obu mężczyznom miejsce.

— Proszę pana — zaczął doktor. — Pani Jadwiga w czasie ciężkiej choroby wtajemniczyła mnie w historią swego pożycia z panem, a teraz... dodała jeszcze trochę szczegółów, tak, że... jestem o wszystkim poinformowany. I dobrze tak, bo pani Jadwiga... jest... zbyt szlachetna, by

się bronić... z całą bezwzględnością, a ja jestem mężczyzną... Zresztą, spodziewam się, że do bezwzględności uciec się nie będziemy potrzebowali... Przyjechał pan tutaj, więc możemy uregulować jakoś te... smutne stosunki, zawrzeć umowę co do dzieci i ustalić los pani... którą znamy od przeszło sześciu lat i szanujemy głęboko.

Poczciwy konsyliarz odchrząknął zmęczony niezwyklej perorą.

— Proszę pana — odparł Kazimierz chmurnie, cedząc arystokratycznie słowa przez zęby — ja panu dziękuję za fatygę, ale między mną a żoną żadnego nie potrzebuję pośrednictwa.

— A ja ostrzegam pana — wtrąciła się Jadwiga stanowczym tonem — że korzystniejby było załatwić sprawę prywatnie, aniżeli oddać ją do sądów. Ja się bronić muszę, wszelkimi siłami, a dla pana może to się smutnie skończyć. Czemu nie dotrzymałeś pan słowa w lutym? Czemu wydałeś pan odemnie podstępem pieniądze? Czemu porzuciłeś pan mnie niegodnie?

— Powiadam ci raz jeszcze, Jadwigo, że do sporu małżeńskiego żadnej osoby trzeciej nie dopuszczę.

— Pan konsyliarz nie jest obcym. On uratował życie dzieciom, gdy pan...

— Więc dopłacę honorarium, i basta.

Konsyliarz wstał gwałtownie.

— Mój panie — powiada — jeżeli sądzisz, że możesz bezkarnie dręczyć i prześladować tę kobietę, to się jutro przekonasz, że nie. Jest sprawiedliwość na świecie...

— A ja jeszcze raz błagam, nie zawlekajmy tych brudów do sądu.

Kazimierz wyciągnął nogi przed się i spróbował ziewnąć.

— Będziemy mieli dosyć czasu do pomówienia, Jadwisiu! — wyrzekł. — Teraz jestem zmęczony z podróży. Wszak przeznaczasz mi tę sofę na noc?

Ona znowu drzeć zaczęła.

— Nie i nie, powiadam panu. To coś okropnego.

— Ha, ha, ha!, Dobraś ty sobie... Użyjesz gwałtu?

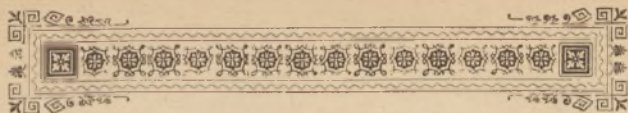
— Pani droga! — przemówił konsyliarz, ujmując ją z rękę. — Z takim... uporem rady sobie nie damy. Jeżeli ten pan... uznaje za stosowne, niech tu zostanie. Pani z dziećmi będziesz łaskawa przyjąć u mnie gościnę... Do jutra... Jutro wnoszę skargę przeciw temu panu o oszustwo...

— Zwracam zaraz te głupie ośm tysięcy...

— A pan Zahradnik jedzie jutro do Ostroga, gdzie się przeprowadzi śledztwo w sprawie tej... uwiedzionej.

Wyszli a Kazimierz pozostał, jak skamieniały.





XVII

W Ostrogu Maryska, córka nieboszczki starej Szymczykowej, dochodziła tymczasem kresu swego bytu — w kierunku, w jaki ją pchnął był pan Zimowiecki, a za nim logika stosunków, ślepa i nieubłagana, jak bałwany morskie, igrające z drewnianą, bez sterownika łódką.

Maryska ani w sobie, ani z zewnątrz żadnego nie miała steru. Jak wszystkie twory nierozwinięte, żyła biernie, przyjmowała to, co świat jej dawał a sama na niego nie wpływała. Nie było to zresztą możliwem nawet dla istoty więcej uświadomionej — w takim Ostrogu.

Oprócz pana kontrolora, który zobojętniał dla niej, a potrzebował jej usług, jak potrzebował chustki do nosa, nie znała żadnego mężczyzny;

oprócz żydówek, które wieczne miały z nią obra-
chunki — żadnych bliżej kobiet. A między temi
dwoma kategorjami — stał Michaś, drobna
istota, jak ów gość na ucztę nieproszony, którego
się przez cały czas ignoruje, a który daje uczu-
wać swą obecność jedzeniem i kiedy chce odejść.

Maryśka kręciła się dzień cały leniwie przy
ługu, kociołku lub mydlinach. Wielka twarz jej,
zawsze regularna i przystojna, miewa wyraz
chmurny, znudzony, zaspany, oczy zmartwiałe,
usta ścięte. A kilkakrotnie na dzień rozlega się
z nich krzyk :

— Michaśko ! A gdzież ten bajstruk szczeł
znowu ?

Inaczej go nie nazywała. Zgryźliwość, podsyc-
cana nadmiarem trunków, stawała się jej naturą,
wyradzała się w złość. A ofiarą padał malec.

Rozwijał on się nadzwyczaj szybko i energic-
znie, jak wszystkie dzikie rośliny.

Barchanowe, postrzępione jego spodnie dobrze
są znane całemu zaułkowi. Wystaje z nich głó-
wka mała, czarniawa, o nosku zadartym i o cie-
mnych, nadzwyczaj ruchliwie i sprytnie po świe-
cie biegających oczkach. Usta mu się nigdy nie
zamykały, ręce nie próżnowały. Popęd każdego
dziecka do ruchu, do zabawy, do roboty, przez
rodziców zazwyczaj krępowany, a u niego nieo-

graniczony, niczem nietamowany, wyrobił się w nim do niezwykłych rozmiarów.

Wychowywał się na ulicy.

Od ukończenia trzeciego roku życia, gdy nabrał sił w nogach i rozplątał sobie jakoś język, puszczał się w długie wędrówki, naprzód po zaułku, dalej na pole, potem na rynek. Ten zrobił na nim nadzwyczajne wrażenie, bo w samym środku stała wysoka dwupiętrowa kamienica, przed którą spacerował zawsze żołnierz z błyszczącym karabinem.

W dzień jarmarczny przyciskał się malec do muru i patrzył wielkimi oczyma na fury i konie, na gospodarzy i bydło, na żydów i paki towarów. Wszystko to naumyślnie przed nim defilowało, lśniło, pstrzyło się kolorami, rozbrzmiewało wrzawą. W dzień powszedni siadywał sobie na rynku tam, gdzie było najwięcej piasku i gdzie kury i gęsi najrzadziej odbywały promenady, i patrzył całemi godzinami na błyszczący karabin i kaszkiet «żołmirza». Do niego przyłączał się jeden, drugi, trzeci kamrat, i wszyscy obserwowali bacznie szyldwacha, a czasem mieli szczęście widzieć na własne oczy złote czako oficera, lub całą armią, z kilkudziesięciu wojowników złożoną, maszerującą na plac ćwiczeń. Naturalnie, Michaś wiernie jej towarzyszył, a później naśladował wykrzyk

każdy, ruch każdy, wymachując w powietrzu pierwszym lepszym patyczkiem, zmienionym przez rozwijającą się bujnie fantazyą w strzelbę i bagnet.

Rynek — dostarczał więcej jeszcze odkryć i nauki z poglądu. Obróciwszy się na miejscu swej obserwacji — miał Michaś «żołmirza» za sobą, a «prosto nosa» — wspaniałą wystawę sklepu Sosi Pufelesowej, »pierwszego magazynu towarów norymberskich, delikatesów, korzennych i różnych innych»; po prawej ręce «ciocię Łysakową» z jej straganem, pełnym idealnych przysmaków, a po lewej — stacyą furmanek miejscowych, dokąd przybywali podróżni z dalekich światów, i skąd starsi «baciarze» mieli szczęście wyruszać z końmi do wody.

Czyż potrzeba większej i wielostronnejszej akademii?

Czteroletni Michaśko uczęszczał też na nią regularnie i studyował z wzorową pilnością. Uczył się najlepszą metodą — pogładową, w kłopotcie radził sobie w sposób najlepszy — samopomocą, i rósł na dzielnego ucznia, oddanego jej ciałem, marzeniami sennemi, najtajniejszymi życzeniami małego serca.

Matka w pewnych chwilach nie interesowała się tem wcale. Malec, w lecie wybiegłszy rano,

wracał nieraz późną nocą, a co to jej szkodzi? Dyabli go nie porwą. Od czegoż ma oczy? Niech uważa na fury, to go nie przejadą. Co on jadł przez cały czas? Eh, taki syn bajstruczy da sobie zawsze radę.

Czasem jednak brak jego dawał się uczuć w domu. Potrzeba odnieść bieliznę, skoczyć do sklepu, wylać lub napełnić cebrzyk, a «juchy nie ma, ta nie ma», pędzi światem i tylko chleb je «za durno»... No, tego Maryśka nie może już tolerować.

I w imieniu tej zasady porywa przy nadarżającej się sposobności chłopaka za czuprynę «włochatą» i rzuca na ziemię, albo mokrym, skręconym kawałkiem bielizny rznie, gdzie trafia. Równocześnie z razami idzie w parze kazanie moralne, w którym każdy ustęp kończy się refrainem:

- A bodajś pękł!
- Bodajś szczeł!
- Żeb' cię wyrwało!

Czteroletni Michaśko przyjmował te admoni-cye bez czynnego protestu. Czasem milczał, to uciekał, lub skulał się w kącie, zasłaniając się czem i jak można było przed cięgami, niebardzo zresztą bolesnemi. Czasem kwiczał przy tej operacyi i wył żałośnie, jeśli do łaskotania okładów matki przyłączał się głód niezaspokojony. A jeśli

nie był głodny, to popłakiwał ot, tak dla formy, dla prędszego ukończenia głupiej ceremonii — i dalej broił po dawnemu.

Z wiekiem robił coraz większe postępy w filozofii stoickiej; uczył się znosić, aby dużo umieć, uczył się cierpieć, by innym cierpienia mózdz zadawać. Wieleż to batogów chłopskich i furmańskich śmigalo jego plecy! Wiele kopnięć i szturchańców oberwał on od starszych i młodszych «baciarzy» — profesorów zwyczajnych swej akademii! Skóra jego, często garbowana, znieczuliła się, ale najwięcej pomagała mu właśnie filozofia. Było to przecie całkiem w porządku, gdy on, młody praktyk, brał cięgi od majstrów. Za to przeniknął prędko tak dobrze wszystkie arkana akademii miejscowej i taką u nadzwyczajnych jej uczniów uzyskał przewagę, iż niespełna sześć lat mając, został naczelnym hersztem czeredy uliczników, między którymi i starsi byli.

Ideałem jego był rudy Jaśko.

Kilkunastoletni ten obywatel wyszedł był właśnie z «iwanowej chaty» za następującą sprawkę.

Zbliżył się raz na targu do baby, mającej kopę jaj na sprzedaż

— A ileż tu macie, matko? — zapytał tonem kupującego. — A no, niechaj przeliczę. Kupię dla tego żyda z hotelu. Złóćcie ino matko ręce!

Babsko splotło ręce na piersiach, a on wyłożył na nich kilkanaście jaj, koszyk z resztą porwał i ucieka co sił.

— Łapajcie złodzieja! — wołała baba, sama jednak nie ruszyła się, by ułożonych na rękach jaj nie rozsypać, żydowskie straganiarki zaś, widząc armią rezerwową Jaska w pogotowiu do plądrowania, nie goniły, uciekającego. Złapano go wprawdzie w kilka dni później i zapakowano «do ciupy», lecz on osiągnął cel swój: został uznany i uwielbianym mistrzem całej szajki hultajskiej.

Po nim najzdolniejszym i najwpływowszym był o połowę młodszy Michaśko «marysiny». Sprytny i przedsiębiorczy, nad wiek wybujały we wzroście i sile, a doskonale obznajmiony z warunkami lokalnymi — rokował on wielkie na przyszłość nadzieje. Ciasniejszym kołom był znany ze strony najpochlebniejszej — jako młodzieniec, posiadający już pewną przeszłość za sobą.

Gwiazdą tej przeszłości było zorganizowanie napadu na stół grubej rzeźniczki. Michaśko niechcący potknął się o niego, przewrócił, poczem kamraci jego przyskoczyli ratować i wymierzili sobie za fatygę kilka łekci przepysznej kiełbasy — naturalnie, bez wiedzy właścicielki.

Dodawszy do tego wyrobiony spryt przemysłowy, objawiający się w wycyganieniu chleba czy

grosza u innych, w wygrywaniu przy grze «w kiczki», w praktykowaniu na słabszych prawa silniejszej pięści i w zdobywaniu temi sposobami środków egzystencyi poza domem — był Michaśko, jak na swój wiek, jednym z niepospolitych bohaterów, na którego złożył się ojciec-szlachcic i matka, pół-chłopka.

W maju wrócił raz do domu w niezwykle dobrym humorze, miał bo dzień przewyborny. Dostał zaszczytu, iż sam pojechał pławić parę koni — a czynność ta równała się pasowaniu na skończonego łobuza. Dumny i szczęśliwy sześciolatek Michaśko wbiega, a Maryśka, jak trzymała w ręku zwinięte prześcieradło, tak spuściła je z impetem na jego plecy.

Michaśko, przestraszony, uchwycił je za drugi koniec, szarpnął, a w tej chwili matka starciła równowagę i runęła na posadzkę. Zatrzepała rękoma i nogami, by się podnieść, jęła coś bełkotać, a nadmiernie skonsumowana dziś wódka i gorąca juszka kartoflana buchnęła jej z gardła.

Michaśko stał, zdumiony patrzył na czerwoną twarz swej rodzicielki, na cuchnącą kałużę koło jej ust, następnie wydał usta z niezrównaną pogardą i tonem kordyalnej poufałości, który przejął od swych mistrzów, zauważył:

— Ależ ty, stara, pijana, jak *szwec*.

«Stara» oprzytomniała, z wściekłością rzuciła się na niego, ale on odepchnął ją z łatwością i, lordowskim krokiem opuszczając stancję, wyrzekł flegmatycznie:

— *Megaj* spać lepiej!

Od tego czasu przestał już się z matką liczyć. W niej powstała świadomość, wyrażająca się nie-pohamowanym gniewem «na małego hycła». Następnie zapłonął w niej duch religijny. «Kajała» się Bogu i uroczyście postanowiła pójść do cerkwi; z oczu jej nie schodziła jednak groźna postać księdza. Drogą bardzo logicznych refleksyj doszła do poznania smutnego swego ogólnego stanu i przedsięwzięła wyzwolić się z niewoli u żydówek, robić, latać, błagać ludzi i Boga, aby jakoś... co? nie wiedziała sama... aby jakoś było inaczej...

Z tych wszystkich pięknych zamysłów wykonała tylko jeden: wylewała gniew swój gorzki na Michaśka.

Ale on się radykalnie zmienił.

Pierwiej był względem niej całkiem obojętny. Potrzebował jej łaski dwa lub trzy razy w czasach, jakie sobie przypomina, to jest wówczas, gdy mu sprawiła buty, «czapicę» i szarawary, zresztą — obchodziła go ona bardzo mało. Teraz, gdy w ścisłe chciała wejść z nim stosunki, wy-

wrząc wpływ na niego stanowczy, musiał on zająć pewne stanowisko, i zajął -- pozycją obronną...

Przychodziło często do walnych bitew między dwudziestosiedmioletnią matką a pólśiodmarocznym chłopakiem. Walka wczynała się od pojedynków na języki, a zwycięstwo wahało się między matką a odświeżającym coraz na rynku zapasy synkiem. Potem następował ogień tyralierski. Matka rzucała nań czemkolwiek lub pojedyncze dawała razy pięścią, pralnikiem albo skręconym kawałkiem bielizny, naco on odpowiadał kopnięciem, ukąszeniem lub ciśnięciem w nią także jakimś przedmiotem. Tak rozgrzewali się oboje i przyskakiwali do siebie. Zagrzmiała gęsta kano-nada obustronnych wykrzyków, przezwisk i przekleństw, a nakoniec — atak na bagnety. A ponieważ ręce Maryski były dłuższe i silniejsze niż jej synka, przeto wpadł on na genialny pomysł — skakał do jej włosów, wieszał się z tyłu na warkoczach, lub rozpuszczał je i zaplątywał w nich ręce. Wobec tego musiała matka się poddawać i — literalnie — padać mu do nóg. Małą to dla niej było pociechą, iż przeciwnik zostawiał jej w każdym razie plac boju...

Szło tak przez całe lato.

Rozpiła się jeszcze bardziej, zaniedbała w pracy

zdziechała. Kontrolor był teraz najważniejszym źródłem jej utrzymania.

W sierpniu zaszedł fakt ogromnej doniosłości.

Pan kontrolor się ożenił. Córka pana inspektora wyrosła już, zupełnie dlań dojrzała i została mu oddana. Wziął ją i wyjechał.

Marysce zdawało się, że ją wszyscy dyabli porwą. Wszystkie uczucia były w niej stępione, nieczułe, w stanie zaniku, jedno tylko czuła: obawę... Chodziła przez kilka dni, jak opętana. Jak zwierzę głodny — z wytrzeszczonymi oczyma, nadętą twarzą i z głuchym pomrukiem włóczyła się z miejsca na miejsce, rozżarta, wężąca...

Co ona teraz pocznie — co pocznie...

W tym czasie odwiedziła ją jejmość, znana w mieście pod przezwiskiem «babci». Stara, otyła, pomarszczona, rodem pono aż ze Lwowa, gdzie handlowała ongi sobą, prowadziła teraz w Ostrogu podobny proceder z innymi. Maryska dawno już jej wpadła w oko, teraz nadszedł czas...

Po szóstej wizycie — wiedźma osiągnęła cel swój.

Maryska odrestaurowała i umeblowała swoje mieszkanie. Ustawiła tam stół, dwa krzesła i łóżko, nad którym obok świętych patronów gruchało kilka par miłosnych.

W pokoju tym, dość czysto utrzymywanym,

zaczęła przyjmować wizyty, składane sobie przez mężczyzn z całego miasta — wszelkiego wieku i stanowiska.

Nazywano ją «Maryską-czarnuszką».

Co w niej było jeszcze niezgrabnem, nieśmiałem i nieświadomem — to rozprószyli w krótkim czasie goście. Rozzuchwaliło ją nareszcie powodzenie. Z końcem trzech pierwszych tygodni — miała gotówką pięć reńskich. Fakt to był niesłychany w bogatym jej życiu.

Sprawiła sobie wełnianą spodnicę i zaczęła paradować nawet po mieście. Dla pozorów zajmowała się jeszcze praniem, ale djabelnie mało o nie dbała.

Czwartego tygodnia spotkało ją nieszczęście.

Zeszła się przy maglu ze znajomą praczką i usłyszała od niej słowo «publika»!

Rzuciła się wówczas Maryska na nią, jak wilczyca, oberwała porcyą guzów, a w dodatku — zaskarżona — dostała wyrok. Skazano ją na tydzień więzienia za bitkę, a na dwa — za omińnięcie ceremonii sanitarnych, połączonych z jej specjalnością.

Nie było apelu ni rady.

— Słuchaj, ty hycłu — wyrzekła do Michaśka idąc odsiedzieć karę. — Masz tutaj *ryński* i żryj i pij, co ci się podoba. Ale pamiętaj, domu mi

pilnuj, jak oka. Ślipie z ciebie wydrę, jak mi zajdzie szkoda.

Po trzech tygodniach — a było to pod koniec listopada — wieczorem wyszła z aresztów, ostatecznie zdemoralizowana i zbydlęcona. Skierowała się wprost do szynku. «Golnęła» kilka kieliszków «śmierdziuchy», połknęła porcyą «drehli» i poskoczyła do domu. Natrafiła właśnie na wspaniały bal. Michaśko podejmował przyjaciół swych, mistrzów i podkomendnych. I wódka była na stole i kielbasa.

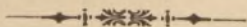
Wściekłość ją ogarnęła, a wzrosła do rozbestwienia, skonstatowawszy, że «bajstruk» sprzedał żydowi wełnianą jej spodnicę.

Rzuciła się na niego, padła z nim na ziemię, i zaczęli się wzajemnie kopać, grzmocić, szarpać, gryźć...

Nagle odskoczyła matka.

Michaśko, broniący się dotąd zawzięcie a w milczeniu, krzyknął na nią... Wykrzyknął słówko, na które wzdrygnęły się w niej wszystkie resztki rozumu i uczucia, wszystko, co w niej ludzkim jeszcze było.

.





XVIII

Tego samego wieczora przybył pan Zimowiecki do Ostroga.

Przedwczoraj we Wiedniu — wczoraj w Lipnikach — dzisiaj w Ostrogu, a wśród jak dziwnych i denerwujących okoliczności...! Kazimierz był w stanie niezmiernej irytacji.

Stanął w jakimś hotelu żydowskim, najściślejsze zachowując incognito.

Kelner zapalił w «numerze» lampę, dał świeżą pościel i zapytał:

— Czy wielmożny pan jeszcze co rozkaże?

Kazimierz miał plan gotowy. Za wszelką cenę musiał usunąć tą przeklętą dziewczkę, jeżeli jeszcze żyje. Gdy ta, namówiona przez jego «wrogów», zażąda odeń sądownie alimentów — nota bene,

jeśli dzieciak żyje — to separacya nieunikniona. A z utratą Jadwigi — pożegna się z nadzieją otworzenia salonów we Lwowie, prowadzenia «porządnego» życia...

— *Wie heissen Sie?* zapytał kelnera po niemiecku, aby nie być poznanym.

— Adolf.

— Słuchaj Adolfe. — Jak mi dziś jeszcze lub jutro rano, ale to bardzo rano, dowiesz się, gdzie mieszka pewna osoba, której potrzebuję, dam ci suty tryngeld.

Kelnerowi zaświeciły się przebiegłe, sprytne oczka.

— Niech wielmożny pan rozkaże.

— Przed kilku laty, przeszło sześć lat temu, mieszkał tu pewien pan Zimowiecki...

— Z Zimowic... Pamiętam.

— A u niego służyła... dziewczka, Maryśka, Maryśka Szymczyk...

Kelner uśmiechnął się dyskretnie.

— Maryśka-czarnuszka, znam ją.

Pan Zimowiecki stracił równowagę.

— Znasz? A możesz ją tu przyprowadzić?

— Do usług wielmożnego pana — odrzekł kelner z poważną miną. — Ale... ale... może wielmożny pan każe... przyprowadzić porządniejszą?

— Co? Więc ona...

Adolf potwierdził.

— Tem lepiej. Niech tu przyjdzie, a prędko. Kwadrans nie minął, a wołana weszła.

Głowę jej i ramiona okrywała wielka chusta w czerwone i czarne pasy.

— Dobry wieczór! wyrzekła.

Wielkiemi oczyma popatrzyła na stojącego przy stole pana. Jakżeż uderzająco podobnym był on do kontrolora... Tylko że tamten nie miał łysiny... Jej to zresztą nie obchodzi. Poraz pierwszy znajduje się dzisiaj u takiego gościa, a tu czuje, że wódka z niej bije, że w głowie brzęczy, a w sercu jucha kipi... kipi i bulkocze poprostu, jak w tym kotle z bielizną. To nie... Gdyby «babcia» dowiedziała się, iż odmówiła «hotelowemu», sprawiłaby jej łaźnię... A przecie... Drży jeszcze cała. Ot, jak szła tu ulicą, napadła ją ochota rzucić się do błota, tarzać się w błocie i krzycheć przytem co sił... krzycheć... Potem nieprzeparta wzięła ją chęć obicia kelnera, kelnera, który ją tu gwałtem przyciągał, a gadał o nagrodzie dla siebie podwójnej. Przyszła wreszcie, a robi jeszcze szczękami, a końce jej palców drgają — bo rozbestwienie w niej i zgroza...

— Dobry wieczór! powtarza raz jeszcze i siada na sofie. Blask lampy, stojącej naprzeciwko na stole, pada na jej twarz wielką, czerwonawą, na

oczy ciemnym ogniem lśniące, na długi, regularny nos i usta, wydymające się niespokojnie. Kazimierz pozostał przy oknie, w cieniu.

Zrzuciła chustę i zaczęła rozpinąć perkalikowy kaftanik. — Kazimierz wzdrygnął się uczuciem wstępu.

— Daj spokój! wyrzekł. — Daj spokój... nie trza...

Maryśka wstała.

— To nie pan mnie wołał? powiada zdławionym głosem.

— Ja! odparł — ale po coś innego. Słuchaj. Ty służyła kiedyś u pana Zimowieckiego...

Rzuciła się jak ukłuta.

— *Abo co?*

— I... miałaś tam dziecko?

Jej zmięszanie spotęgowało się.

— A cóż pan chce odemnie? wykrztusiła, podchodząc bliżej.

— Zaraz się dowiesz, uważaj tylko i bądź rozsądną. — Czy dziecko żyje?

— ... Żyje...

— To źle! Hm...

Maryśka stanęła przy stole, oparła się ręką i spróbowała ogarnąć wzrokiem całą postać indygującego ją pana, a równocześnie nogi jej się chwiały.

— Słuchaj! przemówił Kazimierz znowu. — Ty jesteś teraz biedna i nieszczęśliwa — prawda? Dosyć źle z tobą, jak musisz tak zarabiać... Ale masz swój rozum, uważaj więc. Dam ci pieniądze, dużo pieniędzy, dwieście, czterysta guldenów...

Cyfry te uderzyły w jej głowę, sprawiając zamęt niesłychany.

— A za to... uważaj dobrze! Jak cię będą wołali do sądu, jak cię zapytają, od kogo masz to dziecko, to nie powiesz, że od pana Zimowieckiego... Rozumiesz? Dostaniesz pięćset papierków! Jak ci każą przysięgać, to powiesz, że masz je... od jakiegoś parobka... Rozumiesz?

Czy ona rozumie? Nie. Chaos ją ogarnia, oczy w słup stanęły.

— Albo... dodaje za chwilę Kazimierz — jeszcze lepiej. Jesteś zapewne sama, tylko z tem dzieckiem... wiesz co? wyjedź stąd ze mną! Dodam ci pieniędzy, zawiozę, dokąd chcesz, nie pożałujesz tego... ale wyjedź... Pomyślę o przyszłości dziecka... wszystko zrobię! ale wyjedź, dzisiaj jeszcze, najbliższym pociągiem... Zgoda?

Ona stała ciągle przy stole, z oczyma w niego utkwionemi. Nogi pod nią dygotały, z krtani słowa wydobyć nie mogła. Nakoniec wydała raptownie okrzyk gwałtowny, dziki, hysteryczny:

— Aah!

Jednym susem stanęła przy Kazimierzu.

— To pan..! pan Zimowiecki!

Zbliżyła się doń, iż piersią go dotykała a ręce podniosła.

— Toś pan tera przyjechał... tera? A jak ja tyle razy prosiła, jak ten pies zdychała pode drzwiami, toś pan mnie kazał wyrzucić... A tera pan przyjechał! Jak ja już, niby ta ostatnia publika...

Tu tchu jej nie stało. Mówiła z początku ochryplym sykiem, potem podnosiła głos, przy ostatniem słowie, które ją znowu do głębi wstrząsnęło, bo przypomniało wykrzyk Michaśka, przybrała odcień charczący... z wściekłości i wódki.

Kazimierz przestraszył się, tak dziko wyglądała.

— Ależ kobieto! wyrzekł, cofając się mimowoli. — Nie bądźże głupia, ja ci zapłacę...

— Ja... głupia! Ty mi... zapłacisz? Aah...

Niewyraźny łkaniem i śmiechem bełkoczący pomruk wydobył się jej znowu z krtani, dyszała i trzęsła się cała jak w paroksyzmie hysteryi. Nawpół nieprzytomna porwała nagłym ruchem ze stołu lampę i cisnęła na Kazimierza.

Zwierzęcy jakiś, przeszywający ryk przeszył powietrze. Na korytarz hotelu wypadł pan Zimo-

wiecki... płonąca pochodnia. Upadł, tarzając się konwulsyjnie, a płomień ruchomym węzłem okręcił się naokoło niego.

* * *

Teofil, który nad ranem przyjechał do Ostroga, słyszał już na stacyi opowiadanie o sensacyjnym wypadku śmierci jakiegoś przejezdnego, który umarł wśród strasznych męczarni nawpół zwęglony przez płomień naftowy.

Kelner hotelu, do którego zajechał, wymienił mu imię sprawczyni. Ponieważ ona sędziemu podała imię zmarłego, którego zresztą papiery znaleziono w małej walizce podróźnej, tożsamość osoby nie ulegała kwestyi.

Pierwszą czynnością Teofila było wysłanie wiadomości do czekającej pod opieką konsyliarza Jadwigi.

«Bądź pani całkiem spokojna — telegrafował. — Rzeczy wzięły nadzwyczajny obrót i pani jesteś wolna!».

Potem udał się do sądu. Przed furtką więzienną stały gromady, snujące najróżniejsze domysły na temat dramatu, którego osoby były im znane. Przy samej furtce wskazywano na małą, skuloną postać, która przytulona głową do żelaznego oku-

cia drzwi, trzęsła się w płaczu i jęczała rozdzielającym głosem.

— To jej chłopak... objaśniali ludzie.

Teofil stał długo w ponurem zamyśleniu. Widział przed sobą całą kartę ze współczesnego życia, kartę czarną, krwawemi zapisaną literami. Przed jego oczyma przesunęła się Jadwiga, to ta... nieszczęśliwa, a za niemi setki, tysiące siostrzy — w okowach. A czemu?

Teraz Jadwiga wolna, a tę... czeka szafot.

— Podle to społeczeństwo — szepnął Teofil — w którym jedyna śmierć wyzwala z oków życia...!

...A gdyby — myślał dalej — kosa ta nie była przecięła oków Jadwigi? Musiałaby żyć jako niewolnica. A ta... w upodleniu i nędzy. A ów chłopak... co on winien, że na nim wyryte już piętno nieszczęścia? W danych warunkach — chyba głodowa czeka go śmierć...

...Hańba takim stosunkom!

Schylił się z wyrazem głębokiego smutku i społecznego nad skulonym w instynktowo zwierzęcej rozpaczki Michaśkiem.

— Chodź chłopcze ze mną...

KONIEC.

Kraków, 22 czerwca 1890.



11 90, -

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

090795

Biblioteka WSP Kielce



0167244